

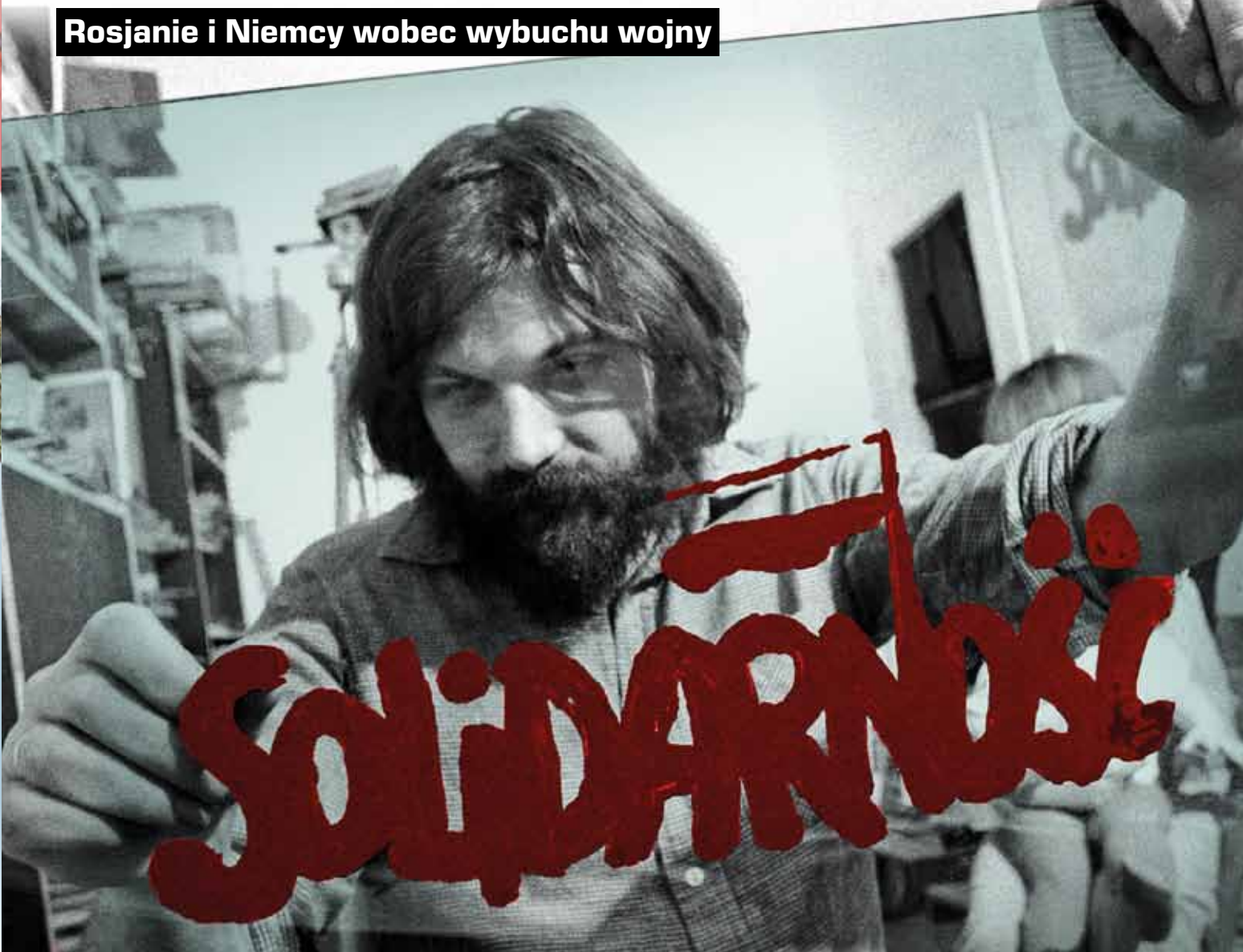
BIULETYN IPN

nr 9 (42)/2015

pamięć pl

Niemiecka odpowiedzialność

Rosjanie i Niemcy wobec wybuchu wojny



Solidarność

Znak polskiej wolności

Cena 6 zł (5% VAT)

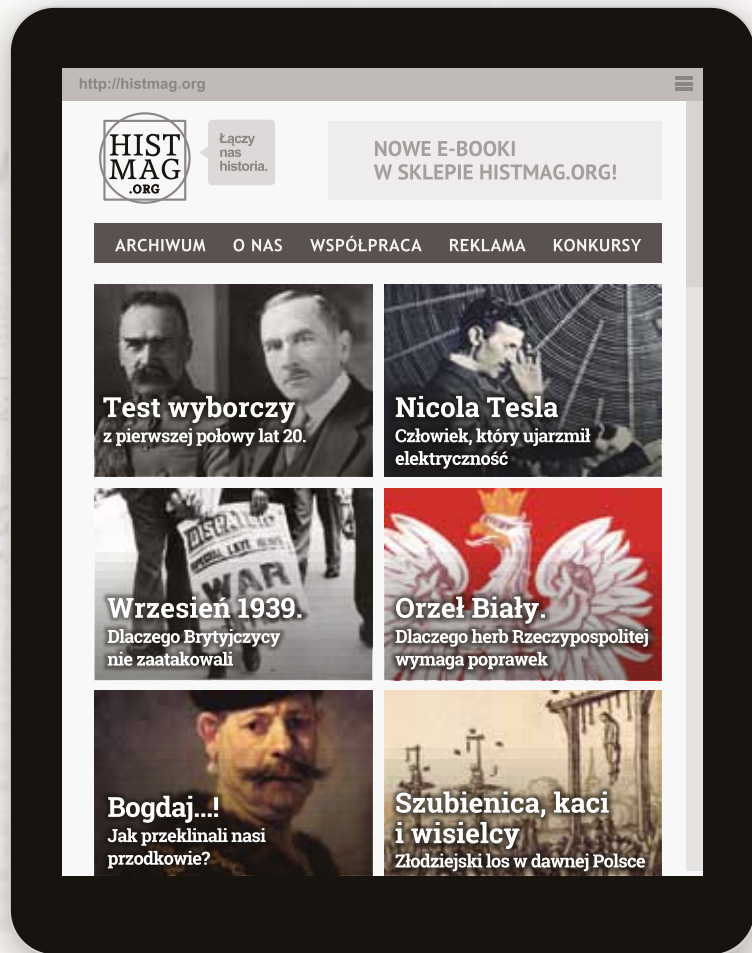
ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521
nakład 11 500 egz.

Dodatek specjalny:
przyponka
na 35-lecie Solidarności





Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!



Łączy nas historia!
www.histmag.org

MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI”



Popularyzujemy historię od 57 lat!

TEMAT MIESIĄCA: TAJEMNICA ŚMIERCI GENERAŁA CZERNIACHOWSKIEGO

PONADTO:

- rozmowa z Michałem Laskiem, weteranem 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej, uczestnikiem bitwy pod Arnhem
- rozmowa z prof. Andrzejem Nowakiem o jego najnowszej książce *Pierwsza zdrada Zachodu i ślepej uliczce polityki appeasementu*
- Kozacy w Paryżu
- miasto i nowoczesność
- nowy dodatek edukacyjny „Dziedzictwo dawnej Rzeczypospolitej” oraz recenzje i nowości historyczne

„Mówią wieki” można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u, wersja elektroniczna dostępna na stronie internetowej księgarni Bellony: ksiegarnia.bellona.pl. Zamów prenumeratę: kolportaz@bellona.pl

Zapraszamy także na nasze strony internetowe: www.mowiawieki.pl oraz www.facebook.com/mowiawieki



- 2** AKTUALNOŚCI IPN
- 4** KALENDARIUM
- 6** Z PIERWSZEJ STRONY

FELIETON

- 8** Krzysztof Gottesman, Urban z ochroniarzem

STOP-KLATKA

- 10** Tomasz Stempowski, Walka o Danzig

Z ARCHIWUM IPN

- 14** Grzegorz Wołk, Informator osobowy

WYWIAD

- 16** Znak polskiej wolności – rozmowa z Jerzym Janiszewskim, twórcą logo Solidarności
- 19** Nieliczni zrozumieli, że trzeba było umierać za Gdańsk – rozmowa z włoskim historykiem Marco Patricellim
- 24** Chcemy się dowiedzieć, kim byli – rozmowa z Andrzejem Ossowskim i Marcinem Zwolskim o poszukiwaniach ofiar zbrodni systemów totalitarnych

PAMIĘĆ O WOJNIE

- 28** Gerhard Gnauck, Niemiecka odpowiedzialność

WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU

- 32** Sławomir Kalbarczyk, Sceptycyzm „wyzwolicielei”
- 37** Marcin Przegiętka, Wątpliwości zwycięzców
- 42** Dawid Zagził, Młot na „reakcję”



Fot. AIPN



Fot. AIPN

Fot. PAP/Barbara Ostrowska



Fot. Maciej Emyś



Fot. ze zbiorów Tomasza Zawistowskiego



Fot. East News/AP

Fot. ze zbiorów MW/P



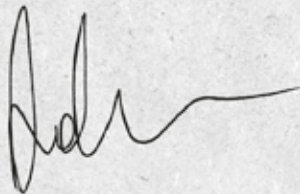
- 45** Jakub Szumski, Pożar wagi państwowej
- 49** Andrzej Czyżewski, „The Day After” – wybory alternatywne
- 54** Patryk Pleskot, Trochę strachu, trochę nadziei
- PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU**
- 58** Jerzy Eisler, *Hubal*
- Z BRONIĄ W RĘKĘ**
- 61** Michał Mackiewicz, „Złośnik” z RAF-u
- ORZEŁ BIAŁY**
- 64** Tomasz Zawistowski, Policyjne orły z wytwórni platerów
- EDUKACJA HISTORYCZNA**
- 68** Wojciech Sieroń, Jesień Narodów na planszy
- 70** Andrzej Czyżewski, Historia na wyciągnięcie ręki
- 71** RECENZJE
- 73** BIBLIOTEKA IPN

Szanowni Czytelnicy!

Po Internecie krąży mem, w którym wykorzystano archiwalne zdjęcie z końca lat trzydziestych XX wieku przedstawiające zlot partyjny NSDAP: wielotysięczna rzesza Niemców zgromadzona pod sztandarami ze swastyką w oczekiwaniu na przemówienie Führera. Sarkastyczny komentarz pod nim nawiązuje do pojawiającej się od jakiegoś czasu tzw. narracji, że za zbrodnie II wojny odpowiadają nie miliony obywateli III Rzeszy, lecz garstka jakichś „nazistów”, Niemcy zaś byli ich pierwszą ofiarą. Artykuł Marcina Przegiętki, który publikujemy w tym numerze, wyraźnie pokazuje, jak masowe poparcie miał w latach trzydziestych i czterdziestych Adolf Hitler. Na podstawie raportów policji politycznej można przytoczyć zaledwie pojedyncze głosy niechęci wśród społeczeństwa. Czy był to rezultat nazistowskiego terroru? Wątpliwe. Ale mem ten nie powstał przecież w próżni – jest odpowiedzią na politykę historyczną rozmywającą odpowiedzialność za II wojnę światową. O tej odpowiedzialności, a także o wiedzy dzisiejszych Niemców na ten temat pisze niemiecki historyk i dziennikarz Gerhard Gnauck w cyklu „Pamięć o wojnie”. Jego zdaniem, dla większości Niemców jest oczywiste, że to ich przodkowie odpowiadają za grozę lat 1939–1945. Czy jednak takie podejście do tego fragmentu przeszłości jest zgodne z tym, jakiego oczekujemy? Warto się wsluchać w głos drugiej strony.

We wrześniu 1939 roku Polskę zaatakowało także drugie państwo o ustroju totalitarnym – Związek Radziecki. Podobnie jak w przypadku III Rzeszy tak i tu badanie nastrojów społeczeństwa, odsianie tego, co jest wynikiem propagandy i terroru, od rzeczywistych postaw nie jest zadaniem łatwym. Próbę podjął Sławomir Kalbarczyk, którego artykuł zamieszczamy w tym numerze. Temat Sierpnia '80 i jubileuszu powstania Solidarności rozlewa się także na wrzesień. O odbiorze tego, co wówczas wydarzyło się w Polsce, w państwach bloku komunistycznego, pisaliśmy w poprzednim numerze, tym razem Patryk Pleskot opisuje – delikatnie mówiąc – wstrząsające reakcje Zachodu. Logo NSZZ „Solidarność” to symbol walki o wolność i równe prawa znany na całym świecie. O okolicznościach jego powstania, inspiracjach i przesłaniu rozmawiamy z jego twórcą, Jerzym Janiszewskim. Do numeru dołączyliśmy też przypinkę na jubileusz Solidarności, nawiązującą do oryginalnego znaku.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski




Fot. Marcin Węgliński

■ 31 lipca na Cmentarzu Garnizonowym w Gdańsku zakończył się drugi etap **prac poszukiwawczych i ekshumacyjnych ofiar terroru komunistycznego**, prowadzonych przez zespół dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka z IPN.

Od połowy 1946 roku do początku lat pięćdziesiątych na terenie cmentarnej kwatery 14 pochowano bezimiennie ok. 80 osób, straconych lub zmarłych w areszcie przy ul. Kurkowej w Gdańsku. W czasie ubiegłorocznych prac ekshumowano szczątki trzydziestu osób. Dzięki badaniom genetycznym udało się potwierdzić tożsamość Danuty Siedzikówny „Inki”, sanitariuszki 5. Wileńskiej Brygady AK. Tym razem z ziemi podjęto jedenaście szkieletów. Osoby te były chowane w drewnianych skrzyniach bez wieka. Niektóre ze szczątków mają ślady po kulach. Prace były prowadzone w ramach śledztwa prokuratorskiego Okręgowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Gdańsku. – Chcielibyśmy wrócić tu w przyszłym roku – deklaruje Szwagrzyk.



Fot. Marcin Węgliński

pamięć.pl

Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa: dr hab. Adam Dziurak,
dr Krzysztof Kaczmarski, dr Maciej Korkuć,
dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki,
dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz,
dr Waldemar Wilczewski,
dr hab. Joanna Wojdon,
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Andrzej Czyzewski,
dr Dawid Golik, Krzysztof Gottesman,
dr Joanna Hytrek-Hryciuk,
Agnieszka Jaczyńska,
dr Konrad Rokicki,
dr Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka,
Michał Siedziako, Emilia Świętochowska,
dr Daniel Wicenty
Redakcja: Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. 22 581 87 98;
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak,
Jakub Gołębiowski, Andrzej Sujka,
Karolina Wichowska
Sekretariat: Maria Wiśniewska
e-mail: maria.wisniewska@ipn.gov.pl
tel. 22 581 88 19
Korekta: dr Magdalena Baj
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska
Skład i łamanie: Sylwia Szafrąńska
Redakcja techniczna: Marcin Koc

Siedziba redakcji: ul. Postępu 18b,
Warszawa

Adres do korespondencji:
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa
www.ipn.gov.pl

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne
„Zapolex” sp. z o.o.
ul. gen. Sowińskiego 2/4, 87-100 Toruń

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.



■ IPN oraz Instytut Historii PAN już po raz dziewiąty ogłosili **konkurs im. Władysława Pobóg-Malinowskiego na Najlepszy Debiut Historyczny Roku**. Uprawnieni do udziału są autorzy niepublikowanych prac magisterskich i doktorskich poświęconych historii Polski i Pola-

ków w XX wieku, obronionych między 1 października 2014 a 31 października 2015 roku. Prace oceni Komisja Konkursowa w składzie: prof. Tomasz Szarota, prof. Andrzej Paczkowski, prof. Andrzej Chojnowski, prof. Antoni Dudek, prof. Tadeusz Wolsza, prof. Jerzy Eisler, prof. Marek Kornat, dr hab. Krzysztof Kosiński i dr Władysław Bulhak (sekretarz). Wyniki zostaną ogłoszone do 1 maja 2016 roku. Laureaci I nagrody w obu kategoriach otrzymają dyplom okolicznościowy oraz honorarium: 10 tys. złotych w przypadku najlepszej pracy magisterskiej i 25 tys. zł w przypadku najlepszej pracy doktorskiej. Nagrodzone prace zostaną wydane w formie książkowej przez IPN i IH PAN. Zgłoszenia konkursowe należy nadsyłać w postaci wydruku obronionej pracy (bez żadnych zmian dokonanych później) **do 30 listopada** (decyduje data stempla pocztowego) na adres: Instytut Pamięci Narodowej, ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa, z dopiskiem „Konkurs na Najlepszy Debiut Historyczny Roku”. Szczegółowy regulamin znajduje się na stronie www.pamiec.pl w zakładce Edukacja/Konkursy. Dodatkowych informacji udziela Piotr Sieczkowski (tel. 22 581 85 53, e-mail: piotr.sieczkowski@ipn.gov.pl).

■ Od 30 sierpnia do 26 października w Galerii Otwartej Szczecin (dawna Aleja Kwiatowa) przy pl. Żołnierza Polskiego w **Szczecinie** można oglądać plenerową **wystawę „Stocznia Szczecińska. Historia nie tylko polityczna”**, przygotowaną przez miejscowy oddział IPN. Ekspozycja składa się z czterech modułów tematycznych, poświęconych zagadnieniom gospodarczym, społecznym, politycznym (związany z oddziaływaniem władz komunistycznych) oraz opozycyjnym. Autorom udało się dotrzeć do mało znanych materiałów oraz zdjęć, prezentujących m.in. pionierski okres funkcjonowania stoczni za kadencji dyrektora Jerzego Jendzy (1950–1962), pierwsze strajki w zakładzie czy błyskotliwą karierę stoczniowego zespołu jazz-rockowego Stowarsi. Wystawa będzie prezentowana przy wykorzystaniu oryginalnego systemu ekspozycyjnego, nawiązującego swoją konstrukcją do sekcji kadłubowych statku.



■ Do 16 września w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia” (ul. Marszałkowska 21/25) w **Warszawie** można oglądać **wystawę fotografii Ireny Hauck „Spojrzenia wstecz. Zdeterminowani”**. Obraz współczesnej Polski został tu ukazany na tle zdjęć z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Stare fotografie, zestawione z nowymi, pokazują, jak wiele zmieniło się w Polsce od upadku żelaznej kurtyny. 15 września o 18.00 odbędą się finał wystawy i spotkanie z Ireną Hauck.



Z kolei od 18 do 30 września w stołecznym „Przystanku Historia” będzie prezentowana **wystawa „Rzeczpospolita utracona”**. Ukazuje ona nieistniejący już świat wielokulturowego społeczeństwa polskiego. To podróż po

utraconych Kresach z ich bogactwem świątyń, zamków, pałaców, cmentarzy – ostatnich świadków społeczności skazanych na zagładę przez dwa totalitaryzmy.

Wernisaż odbędzie się 18 września o 17.30. O ekspozycji opowie jej autor – dr Tomasz Łabuszewski, naczelnik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie.



■ 25 września o 13.00 w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w **Łodzi** przy ul. Piotrkowskiej 282 odbędzie się otwarcie **wystawy „First to fight. Polacy na frontach II wojny światowej”**. Ekspozycja przypomina o wysiłku militarnym Polski w II wojnie światowej, jest również hołdem złożonym tym wszystkim żołnierzom polskim, którzy walczyli o niepodległą ojczyznę. Polska była pierwszym państwem, które zbrojnie przeciwstawiło się III Rzeszy. Żołnierze polscy brali udział w kilku największych operacjach militarnych w Europie i Afryce. Walczyli u boku aliantów w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie oraz na froncie wschodnim, w formacjach wojskowych podporządkowanych Armii Czerwonej. Wystawę przygotowali pracownicy Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Łodzi. Wykorzystano zdjęcia z archiwów polskich i zagranicznych (m.in. Imperial War Museums, Instytutu Pamięci Narodowej i Narodowego Archiwum Cyfrowego). Ekspozycję będzie można zwiedzać do 15 listopada.

POSTAĆ MIESIĄCA

2 września 1945: Pułkownik Jan Rzepecki stanął na czele konspiracyjnego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Jako nastolatek działał w tajnym skautingu i Związku Strzeleckim. W czasie I wojny światowej służył m.in. w Legionach Polskich, a od listopada 1918 roku – w rodzonym Wojsku Polskim. Wziął udział w walkach z bolszewikami. We wrześniu 1939 roku był oficerem w sztabie Armii „Kraków”. Nie podporządkował się decyzji o kapitulacji oddziałów polskich pod Tomaszowem Lubelskim i przeszedł do konspiracji. Był szefem sztabu komendy Okręgu Warszawa-Miasto Służby Zwycięstwu Polski, a następnie Związku Walki Zbrojnej. Od jesieni 1940 roku stał na czele Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej ZWZ, a później Armii Krajowej. W znacznym stopniu kształtował oblicze prasy AK. Był także jednym z pomysłodawców pionu propagandy kierowanej do Niemców. Po upadku Powstania Warszawskiego dostał się do niewoli niemieckiej. W lutym 1945 roku, tuż po wyjściu na wolność, powró-



Fot. AIPN

► Pułkownik Jan Rzepecki (1899–1983)

cił do konspiracji. Wobec aresztowania przez Sowieców gen. Leopolda Okulickiego i gen. Augusta Emila Fieldorfa to jemu przypadło kierowanie polskim podziemiem poakowskim. Wiosną 1945 roku został

Delegatem Sił Zbrojnych na Kraj, a we wrześniu prezesem Zarządu Głównego WiN. Miała to być organizacja konspiracyjna, zajmująca się głównie działalnością polityczną i informacyjną na rzecz pełnej niepodległości Polski. Rzepecki apelował, by nie prowadzić już czynnej walki zbrojnej – skazanej na porażkę – lecz powrócić „do pracy nad odbudową kraju”. 5 listopada 1945 roku został aresztowany w Łodzi. Ujawnił Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego nazwiska podwładnych, ulegając fałszywym zapewnieniom, że ludzie ci nie będą represjonowani. 3 lutego 1947 roku został skazany na 8 lat więzienia, ale kilka dni później odzyskał wolność, ułaskawiony przez prezydenta Bolesława Bierut. Choć nie angażował się już w konspirację, w styczniu 1949 roku został ponownie zatrzymany i był więziony do grudnia 1954 roku. Później pracował w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk. W 1995 roku płk Jan Rzepecki został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Wałęsę Orderem Orła Białego.

12 września 1945: Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej uznał konkordat ze Stolicą Apostolską za nieobowiązujący. W pierwszych latach po II wojnie światowej (do wiosny 1947 roku) priorytetem dla rządzących w Polsce komunistów była walka z legalną opozycją polityczną i zbrojnym podziemiem niepodległościowym. Przeciwno Kościołowi katolickiemu nie prowadzono jeszcze otwartej kampanii. **Przedstawiciele nowych władz brali wręcz udział w uroczystościach religijnych,** chcąc w ten sposób przypodobać się społeczeństwu. Już wówczas zdarzały się jednak wrogie działania i gesty wobec Kościoła. Zaliczała się do nich uchwała TRJN w sprawie konkordatu zawartego między Polską a Stolicą Apostolską w 1925 roku. Władze w Warszawie twierdziły, że to papież jednostronnie zerwał konkordat w czasie II wojny światowej. Miało o tym świadczyć powierzenie biskupom niemieckim funkcji administratorów apostolskich na ziemiach polskich włączonych do Rzeszy. Był to jedynie pretekst. „Tzw. anulowanie konkordatu przez stronę rządową miało wspomóc władze w planowanym »rozdzieleniu Kościoła od państwa«” – tłumaczy w książce *Kościół a władza w Polsce (1945–1950)* prof. Jan Żaryn. I dodaje, że w realiach roku 1945 oznaczało to przede wszystkim próbę wyeliminowania religii ze szkół i zastąpienia ślubów kościelnych cywilnymi. Nowy konkordat między Polską a Stolicą Apostolską został podpisany dopiero w 1993 roku. Wszedł w życie pięć lat później.

18 września 1950:

Komandor porucznik Zbigniew Przybyszewski został aresztowany przez oficerów Głównego Zarządu Informacji pod nieprawdziwym zarzutem szpiegostwa.

Zasłużeni oficerowie Marynarki Wojennej RP, którzy po II wojnie światowej wrócili do kraju z niewoli niemieckiej, zostali powołani do służby i szybko objęli w wojsku wysokie stanowiska. Gdy jednak władza komunistów okrzepła, postanowiono brutalnie pozbyć się tych ludzi – uformowanych jeszcze w niepodległym państwie i wyznających zasady obcej ideologii narzuconej Polsce przez Stalina. Zatrzymanie Przybyszewskiego uruchomiło lawinę kolejnych aresztowań. W ciągu nieco ponad roku jego los podzielili komandorowie: Stanisław Mieszkowski, Robert Kasperski, Wacław Krzywiec, Jerzy Staniewicz, Kazimierz Kraszewski i Marian Wojcieszek. Zostali poddani brutalnemu śledztwu i bezpodstawnie oskarżeni o udział w spisku wojskowym. 21 lipca 1952 roku Najwyższy Sąd Wojskowy w Warszawie orzekł kary śmierci i dożywotniego więzienia. W grudniu tego samego roku Mieszkowski, Przybyszewski i Staniewicz zostali zabici strzałami w tył głowy i bezimiennie pogrzebani. Wyroki uchylono w roku 1956. Szczątki komandorów Mieszkowskiego i Przybyszewskiego odnaleziono dwa lata temu w kwaterze „Ł” Cmentarza Wojskowego na warszawskich Powązkach.



Fot. AIPN



Fot. AIPN

17 września 1980: W Gdańsku zapadła decyzja o utworzeniu NSZZ „Solidarność”.

Podpisując na przełomie sierpnia i września 1980 roku porozumienia z międzyzakładowymi komitetami strajkowymi w Szczecinie, Gdańsku i Jastrzębiu, władze komunistyczne zgodziły się na powstanie w PRL niezależnych związków zawodowych. Porozumienie z 11 września, kończące strajk w Hucie Katowice, przesądziło z kolei o tym, że nowe związki będą mogły powstać wszędzie tam, gdzie będą sobie tego życzyli pracownicy. Przed liderami rodzącego się ruchu stanął jednak problem wyboru formuły działania. Nie było bowiem jasne, czy powstanie jednolita organizacja związkowa, czy może wiele struktur regionalnych i zakładowych z własnym statutem. „Perspektywa wielu związków o różnej specyfice, znajdujących się pod różnymi wpływami, była więc bardzo realna i tworzyła także poważne niebezpieczeństwo bałaganu, rywalizacji, wzajemnych sporów” – pisze w książce *Revolucja Solidarności 1980–1981* prof. Andrzej Friszke. Rozstrzygające decyzje zapadły w gdańskim klubie „Ster” – na spotkaniu około dwustu organizatorów związków z trzydziestu miast całej Polski. Jan Olszewski i Karol Modzelewski przeferosowali wówczas koncepcję jednolitego związku. Przeważył argument, że tylko taki związek będzie



Fot. Zbigniew Trybek/ze zbiorów Ośrodka KARTA

dostatecznie silny w negocjacjach z władzami. Przyjęto nazwę zaproponowaną przez Modzelewskiego: Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”. Organizacje regionalne miały zachować daleko idącą suwerenność. Wybrano też jednak tymczasowe władze centralne – Krajową Komisję Porozumiewawczą. Na jej czele stanął Lech Wałęsa – lider niedawnego strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. W krótkim czasie Solidarność skupiła prawie 10 milionów Polaków.

19 września 1940: Witold Pilecki pozwolił się aresztować Niemcom, by dostać się do KL Auschwitz w celach wywiadowczych.

W okupowanej Warszawie ppor. Pilecki był szefem sztabu Tajnej Armii Polskiej – organizacji konspiracyjnej pod komendą mjr. Jana Włodarkiewicza. „Aresztowania wśród żołnierzy TAP, osadzenie coraz większej liczby osób w założonym przez hitlerowców obozie koncentracyjnym Auschwitz i rozszerzająca się zła sława tego miejsca skłoniły dowództwo TAP do podjęcia decyzji o przeprowadzeniu działań wywiadowczych na terenie obozu” – pisze Jacek Pawłowicz, autor albumu *Rotmistrz Witold Pilecki 1901–1948*. Do wypełnienia tej trudnej misji ochotniczo zgłosił się Pilecki. „Dnia 19 września 1940 roku [...] o godzinie 6.00 rano szedłem sam i na rogu Alei Wojska [Polskiego] i Felińskiego [na warszawskim Żoliborzu] stanąłem w »piątce« ustawiane przez esesmanów z łapanych mężczyzn” – relacjonował kilka lat później. Do Auschwitz został przywieziony w nocy z 21 na 22 września 1940 roku. Utworzył tam konspiracyjny Związek Organizacji Wojskowej. Już w październiku przesłał podziemiemu pierwszą wiadomość, przekazaną następnie do Londynu. Zagrożony aresztowaniem, zbiegł z Auschwitz wiosną 1943 roku. Na wolności spisał tzw. raporty Pileckiego, będące ważnym świadectwem ludobójstwa w Auschwitz i obozowego ruchu oporu. Dla komunistów Pilecki, kontynuujący po wojnie działalność niepodległościową, był jednak wrogiem, a nie bohaterem. W marcu 1948 roku został skazany na karę śmierci przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie. Wyrok wykonano dwa miesiące później w stołecznym więzieniu przy ul. Rakowieckiej (anulowano w 1990 roku). W 2006 roku rtm. Pilecki został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Orderem Orła Białego, a dwa lata temu awansowany przez ministra obrony narodowej Tomasza Siemoniaka do stopnia pułkownika.



Fot. Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau

20 września 1920: Rozpoczęła się operacja niemeńska – ostatnia wielka bitwa wojny polsko-bolszewickiej.

Po klęsce pod Warszawą w sierpniu 1920 roku Michaił Tuchaczewski, dowódca bolszewickiego Frontu Zachodniego, wciąż wierzył w zwycięstwo nad Polską. Wycofał swoje wojska na li-



Fot. NAC

nię rzek Niemna, Szczary i Świsłoczy, ściągnął posiłki i rozpoczął przygotowania do kolejnej ofensywy. Planował liczącymi ponad 70 tys. żołnierzy, uderzyć na Białystok i Brześć nad Bugiem, a następnie zająć Lublin. Marszałek Józef Piłsudski uprzedził jednak te zamiary. 20 września siły polskiej 2. Armii gen. Edwarda Rydza-Śmigłego ruszyły na Grodno. Dwa dni później wydzielona grupa manewrowa tej armii wkroczyła na Litwę z zamiarem wyjścia na tyły wojsk bolszewickich, a 23 września 4. Armia gen. Leonarda Skierskiego wyprowadziła natarcie na Wołkowysk. Jeszcze przed końcem miesiąca Wojsko Polskie zajęło m.in. Grodno, Pińsk i Lidę. Oskrzydłonym oddziałom Tuchaczewskiego udało się wyjść z okrążenia, ale nie były już zdolne do kontrofensywy. Walki nad Niemnem przypieczętowały losy wojny. 18 marca 1921 roku Polska i Rosja bolszewicka (formalnie też podporządkowana jej Ukraińska Socjalistyczna Republika Rad) podpisały w Rydze traktat pokojowy. Ustalona w ten sposób granica wschodnia

Rzeczypospolitej w przybliżeniu pokrywała się z linią II rozbioru Polski z 1793 roku. Po stronie polskiej znalazły się m.in. Grodno, Brześć i Lwów.

SŁOWO POMORSKIE

Dziennik i Gazeta Toruńska

Express Poranny

Francja i Anglia u boku Polski

weszły w stan wojny z Niemcami

4 września 1939 roku

„Francja i Anglia u boku Polski wczoraj weszły w stan wojny z Niemcami” – donosił „Express Poranny” (nr 244) z 4 września 1939 roku.

„Rzeczpospolita Polska – jak długa i szeroka – od granicy wschodniej do odebranego Niemcom Zbąszczyńa i od gór do bohaterskiego Westerplatte – przeżyła wczoraj wielki dzień. [...] Dzień ten jest triumfem polskiej myśli politycznej, która broniąc własnej wolności i niosąc jednocześnie wolność innym narodom podbitym lub agresją zagrożonym – znalazła u swych sojuszników nie tylko pełne zrozumienie, ale i poparcie czynem” – czytamy w artykule.

Warszawski dziennik ogłosił, że powstał „pełny front wolności przeciw germańskiemu barbarzyństwu”. „Honor i wolność – wolność i honor – oto są hasła, dookoła których staną wszystkie narody świata w obronie zagrożonej – przez dziedz niemiecką – cywilizacji, kultury i chrześcijaństwa. Adolf Hitler – przerechnował się! Nie umiejąc dotrzymać słowa – nie rozumiejąc, co to honor – nie wyznając żadnych zasad moralnych – według swojej miary chciał ocenić Francję i Anglię. Popenił błąd, który historia określi jako przyczynę zguby narodu niemieckiego. [...] Siła Polski, wzmocniona o Anglię i Francję, doprowadzi tego szaleńca, który podpalił 1 września świat [...] do miejsca, w którym szaleńcy winni przebywać. Krwiożerczość, pycha i duma – zostaną ukarane” – zapewniał anonimowy autor.

Na dalszych stronach informowano o wielotysięcznej demonstracji warszawiaków przed ambasadą Wielkiej Brytanii przy Nowym Świecie. „Niech żyje Anglia! Niech żyje król Jerzy! Wiwatom nie ma końca. Ludzie wprost szaleją z radości. Kobiety płaczą, zupełnie obcy ludzie rzucają się sobie w ramiona” – relacjonowała gazeta. I dodawała, że podobne sceny rozegrały się przed ambasadą Francji: „Tak przyjęła Warszawa wieść najbardziej dla niej i dla całej Polski w tej chwili radosną: że sprzymierzeńcy nasi stanęli z nami ramię w ramię do walki z germańskimi hordami, usiłującymi zalać naszą Ojczyznę”.

Radość mieszkańców stolicy okazała się przedwczesna. Wielka Brytania i Francja, owszem, wypowiedziały wojnę III Rzeszy, ale nie przyszły Polsce z tak oczekiwaną odsieczą.

26 września 1922 roku

W lutym 1920 roku Polsce przyznano – na mocy ustaleń traktatu wersalskiego – 140 km bałtyckiego wybrzeża, na którego terenie znajdowała się m.in. osada rybacka – Gdynia. Ponad dwa lata później, 23 września 1922 roku, Sejm RP przyjął ustawę o budowie portu morskiego właśnie w tej niewielkiej, bo liczącej jedynie ponad tysiąc mieszkańców wiosce. Związany z Narodową Demokracją toruński dziennik „Słowo Pomorskie” z 26 września 1922 roku informował (pisownia oryginalna): „Budowa [portu w Gdyni] ma być wykonana stopniowo, corocznie ma się wstawiać do budżetu niezbędne kredyty. Mimo żądania sejmu, rząd nie przedłożył od razu tej ustawy, ponieważ Ministerstwo Spr. Zagranicznych budową portu w Gdyni nie chciało narazić na szwank naszego stosunku do [Wolnego Miasta] Gdańska. Mimo jednak tej ugodowej polityki stosunek nasz do Gdańska jest dziś ostrzejszy. Tem bardziej potrzeba nam portu w Gdyni, już choćby z tego względu, że stary gdański port nie nadaje się do obsługiwanania tak wielkiego państwa jak Polska, a koszta przerobienia go byłyby wyższe niż budowa portu na naszym własnym wybrzeżu. Warunki Gdyni dają nam możliwość nieznanym kosztem do 50 milionów marek złotych [właśc. marek polskich] dojść do znośnego portu o głębokości 14 metrów, podczas gdy w Gdańsku największa głębokość wynosi 8 metrów. Port taki będzie mógł obsłużyć prawidłowo Polskę. Budowę wykonuje się narazie z balów drzewnych, które się zasypuje kamieniem. Ustawę przyjęto w drugim i trzecim czytaniu”.

Dzisiaj wiemy, że budowa portu gdyńskiego, połączonego zresztą szybko magistralą kolejową z bogatym w węgiel Górnym Śląskiem, to jedno z największych osiągnięć II Rzeczypospolitej. Głównym projektantem portu był inż. Eugeniusz Kwiatkowski, od 1926 roku minister przemysłu i handlu. Port tymczasowy otwarto w kwietniu 1923 roku, a cztery miesiące później do Gdyni przyплыła pierwszy pełnomorski statek. Z czasem w rozwijającej się błyskawicznie Gdyni (we wrześniu 1939 roku liczyła ona ponad 120 tys. mieszkańców) powstały stocznia oraz trzy porty: towarowy, rybacki i pasażerski. Już w 1930 roku uruchomiono pierwszą regularną linię pasażerską łączącą Gdynię z Nowym Jorkiem. Pięć lat przed wybuchem II wojny światowej Gdynia stała się najnowocześniejszym portem w Europie, a zarazem największym pod względem wielkości przeładunków portem nad Bałtykiem.

W październiku 1939 roku, po bohaterskiej obronie Westerplatte, Gdyni, Kępy Oksywskiej i Helu, polskie Wybrzeże dostało się pod niemiecką okupację. Ogromną większość gdynian Niemcy zmusili do opuszczenia miasta, o czym przypominia odsłonięty niespełna rok temu pomnik Wyssiedlonych Gdynian.

Rok II

kiego

dzie.

nr 244

Niech żyje Anglia i Francja!

żywiłowe manifestacje w stolicy

Dzień tryumfu

Rzeczpospolita Polska – jak długa i szeroka – od granicy wschodniej do odebranego Niemcom Zbąszczyńa i od gór do bohaterskiego Westerplatte – przeżyła wczoraj wielki dzień.

stana wszystkie narody świata w obronie zagrożonej – przez dziedz niemiecką – cywilizacji, kultury i chrześcijaństwa.

Był to dzień, do którego od dawna zmierziała polska polityka zagraniczna, aby na wypadek gdy zły sąsied

23 września 1953 roku

Wyrok w procesie członków antypaństwowego i antyludowego ośrodka – to tytuł relacji zamieszczonej na pierwszej stronie „Dziennika Polskiego” 23 września 1953 roku. Dzień wcześniej Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie osądził członków „nielegalnej organizacji”, na której czele stał jakoby bp Czesław Kaczmarek, ordynariusz diecezji kieleckiej. Sąd skazał go na 12 lat więzienia oraz utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na 5 lat. Kary więzienia orzeczono również wobec księży Jana Danielewicz, Józefa Dąbrowskiego i Władysława Widłaka oraz siostry zakonnej Walerii Niklewskiej. Sąd wymienił „okoliczności obciążające” bp. Kaczmarka – „jego kierowniczą rolę w ośrodku oraz fakt, iż zajmując wysokie stanowisko w hierarchii kościelnej [...] wykorzystywał autorytet tego stanowiska dla przestępczej działalności”. Jako okoliczność łagodzącą sąd podał „przyznanie się oskarżonego Kaczmarka do winy i jego wysiłek w kierunku zrozumienia ogromu szkody wyrządzonej przez państwu, narodowi, Kościołowi i wiernym”. Biskup kielecki został skazany „za kolaborację z Niemcami, usiłowanie obalenia ustroju PRL i propagandę na rzecz waszyngtońsko-watykańskich mocodawców”.

Procesowi biskupa Kaczmarka poświęcono ponad trzy strony. W gazecie zamieszczono całą mowę obrońcą adwokata biskupa, a także obszerny komentarz redakcji pod tytułem *Proces został zakończony...* Autor pisał, że biskup Kaczmarek i jego współpracownicy „pomagali imperializmowi”. Podkreślono, że nie tylko „próbowali wznieść waśnie w społeczeństwie polskim i hamować dzieło odbudowy i rozwoju kraju, ale poszli dalej, [...] dostarczali amerykańskiej ambasadzie i amerykańskiemu wywiadowi informacji wojskowych i gospodarczych”. Biskup i jego współpracownicy „zdradzali własne państwo i naród”. W artykule przedstawiono także zarzuty wobec innych „reakcyjnych biskupów” – że „nie zgodzili się na propagowanie w kościołach Państwowej Pożyczki Odbudowy Kraju”, zbieranie przez księży ofiar na odbudowę Warszawy i wykorzystanie „wież kościelnych do pomiarów kraju”. Wskazanie tak kuriozalnych win biskupów świadczy o tym, że władze szukały pretekstu, by oskarżyć Kościół i przejąć kontrolę nad jego mieniem i finansami.

Sfingowany proces biskupa Czesława Kaczmarka był jednym z najważniejszych procesów pokazowych, które komuniści wytoczyli duchowieństwu w Polsce. Zeznania biskupa Kaczmarka, złożone w śledztwie, zostały wymuszone torturami, a zarzuty postawione jemu i innym duchownym były nieprawdziwe. Celem władz komunistycznych było zniszczenie niezależności Kościoła w PRL. Biskup Kaczmarek wrócił do swojej diecezji dopiero w 1957 roku. Do końca życia był prześladowany przez władze, które domagały się jego usunięcia z Kielc.

Proces został zakończony...

Wielki wiek jest dziełem dokumentów i faktów, które agendami i czołgami pierwszy raz ujawnił gen. Władysław Gomułka. Władza w Polsce przy stosunku do siebie, ale jakże wyrozumiały. Władza w Polsce przy stosunku do siebie, ale jakże wyrozumiały. Władza w Polsce przy stosunku do siebie, ale jakże wyrozumiały.

Obrot...
Narod...
Lud...
W kra...
wiązkow...
Złon...
owe...
muja...
ciagu...
Jazd...
owsze...

16 września 1984

„Zamek Królewski w Warszawie przekazany społeczeństwu” – brzmiał tytuł artykułu w Warszawskim Tygodniku Ilustrowanym „Stolica” z 16 września 1984 roku. Redakcja relacjonowała uroczystości otwarcia odbudowanego zamku, które odbyły się 30 i 31 sierpnia. „Zamek Królewski w Warszawie, znak naszej państwowości i kultury, niemal w całości (trwają jeszcze prace w Sali Balowej) został udostępniony do użytku publicznego. Odbudowa trwała trzynaście lat i siedem miesięcy. Uroczystości przekazania budowli społeczeństwu nieprzypadkowo połączono z obchodami 45. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Na posiedzeniu prezydium Rady Naczelnej ZBoWiD [Związek Bojowników o Wolność i Demokrację], które odbyło się 31 sierpnia w Sali Senatorskiej, przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński określił sens odbudowy Zamku: »Oznacza ona dla nas wszystkich, szczególnie dla kombatantów, że jeszcze jedna, i to szczególnie bolesna, rana wojenna została zablizniona. Jeszcze jedno zwycięstwo pracy nad siłami zniszczenia, przekreślające skutki hitlerowskiej zbrodni«”.

W drugim dniu uroczystości przeniesiono serce Tadeusza Kościuszki do zamkowej kaplicy. „Wydarzeniu temu towarzyszył piękny ceremoniał wojskowy. [...] Wartę honorową przy urnie ustawionej na podium przed skrzydłem południowym pełnili żołnierze w mundurach z czasów Insurekcji i w mundurach LWP. Po wymianie dokumentów między dyrektorem Muzeum Narodowego, prof. Juliuszem Burszem, a dyrektorem Zamku Królewskiego, prof. Aleksandrem Gięsztozem, urna z sercem Naczelnika, przechowywana ostatnio w Łazienkach, powróciła do Kaplicy Zamkowej, w której znajdowała się w latach 1927–1939. Wojciech Jaruzelski, Henryk Jabłoński, Stanisław Gucwa i Jan Dobraczyński złożyli przed urną w Sanktuarium wiązanki kwiatów. [...] Wieczorem na tymże [zarkowym] dziedzińcu odbyła się manifestacja pokojowa, stanowiąca, jak podkreślił prezydent m.st. Warszawy, gen. dywizji Mieczysław Dębicki, wyraz hołdu Polakom, którzy walczyli, a później odbudowywali kraj ze zniszczeń. Pozdrowienia od kobiet z całego świata przekazała przewodnicząca Światowej Demokratycznej Federacji Kobiet, Freda Brown, a w imieniu delegacji miast-bohaterów wystąpił przewodniczący Komitetu Kierowniczego Światowego Związku Miast Męczeńskich, Miast Pokoju, Guido Bonino”.

Zamek Królewski został zbombardowany przez Niemców 17 września 1939 roku, a wysadzony w powietrze pięć lat później. Po wojnie komuniści zwlekali z rozpoczęciem odbudowy, dopiero w styczniu 1971 roku sejm podjął decyzję w tej sprawie. Aż do 1980 roku odbudowę finansowano wyłącznie ze składek społecznych. W 1974 roku budynek był już w stanie surowym. Część wnętrz wykańczano jeszcze cztery lata po oddaniu zamku do użytku.

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE WYSPÓŁCZENSTWU

oprac. FG, JG, AS, KW

Urban z ochroniarzem

Krzysztof Gottesman



Coroczny przełom sierpnia i września do końca życia będzie mi się kojarzyć z gdańską stoczną imienia Lenina, Wałęsą i Solidarnością. Z dziwnym czasem, w którym uwierzyliśmy, że niemożliwe może się ziścić, i w którym wszyscyśmy się wówczas pomylili. I choć marzenia kilka lat później częściowo się spełniły, to miały one już zupełnie inny smak. Niesłusznie jednak, i jest mi tego żal, w społecznej świadomości stoczniowy strajk i pierwsza Solidarność są głęboko ukryte.

Pamiętam tę niedzielę 31 sierpnia 1980 roku. W słoneczny, ciepły dzień stałem w tłumie pod bramą stoczni i przez głośniki słuchałem, jak są podpisywane kolejne punkty z listy 21 postulatów. Pamiętam oklaski i aprobatę, gdy przemawiali przedstawiciele Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego – Wałęsa, Gwiazda, Lis – i gwizdy, gdy ktoś ze strony rządowej próbował rozmyć przygotowane do podpisu punkty, jeszcze coś ugrać i zachachmęcić. Tak było, gdy mówiono o aresztowanych

niedawno opozycjonistach. Ostateczne podpisanie porozumienia przez Wałęsę i wicepremiera Jagielskiego oglądałem już w telewizji w Warszawie. To, co utkwiło mi najlepiej w pamięci z tego dnia i kilku kolejnych, to poczucie, że uchyliły się bramy do nieba i teraz wszystko będzie inaczej, lepiej, mądrzej.

Tak rozpoczął się czas nazywany przez wielu karnawalem Solidarności. Nie lubię tego określenia, choć wiem, że w znacznym stopniu oddaje ono tamte nastroje. Karnawał prawdziwy polega na beztrudnej zabawie, maskaradach,



bałach, ale z tkwiącym w tyle głowy poczuciem, że nie trwa wiecznie, lecz tylko od Trzech Króli do Środy Popielcowej. Nasz karnawał miał już nigdy się nie skończyć, być coraz piękniejszy, bardziej kolorowy i weselszy, trwać wiecznie.

A jak miało wyglądać to „inaczej, lepiej, mądrzej”? Tu jest właśnie problem. Nad tym pytaniem, chcieliśmy – tak to widzę dzisiaj – jak najdłużej głębiej się nie zastanawiać. Oczywiście, pragnęliśmy sprawiedliwości, godności, prawdy. Słowem – wolności.

Nie sądzę, by kiedykolwiek mogły powtórzyć się te niekończące się dyskusje o Polsce. We wszystkich środowiskach. Dyskutowali robotnicy, inżynierowie, plastycy, historycy, filmowcy, rolnicy. Byłem wtedy dziennikarzem „Tygodnika Solidarność”, przez pewien czas pracowałem w dziale listów. Codziennie samochód z poczty przywoził jeden, dwa lub trzy worki listów i kartek. Później jako reporter jeździłem po całym kraju, byłem na I zjeździe Solidarności w gdańskiej hali Olivia. Wszędzie byłem świadkiem ludzkiej krzywdy, którą trudno jest sobie nawet wyobrazić, krzywdy uczynionej przez dziesięciolecie pojedynczym ludziom, grupom, instytucjom, przez system, przez państwową biurokrację, przez partyjnych aparatczyków, przez milicję. Ale obok tych skarg – albo należałoby raczej napisać, że mimo tych skarg – była w listach nadsyłanych do redakcji i rozmowach przede wszystkim nadzieja, że teraz będzie inaczej. My to zrobimy.

Wszystcyśmy żyli tą nadzieją. Na przekór faktom, sytuacji politycznej w Polsce i na świecie. Jak właśnie w karnawale, jeszcze jeden taniec, jeszcze jeden kieliszek szampana. A przecież „czerwony” był wtedy naprawdę silny. Czasami, w chwilach poważniejszej rozmowy, głębszej zadumy, wielu z nas dochodziło do wniosku, że to się nie może udać. Że jest ściana, której tylko pragnieniami i największym nawet poczuciem słuszności przebić się nie da. Ludzkie nadzieje, pragnienia, najprostsze przecież marzenia muszą przegrać z rzeczywistością podzielonego świata, stref wpływów, brutalnej siły, również oporu rodaków, z których jedni się po prostu boją, a inni, mocno wrośnięci w system, wcale nie myślą łatwo oddawać przypisanych im przywilejów i władzy.

I tak się rzeczywiście stało. Środa Popielcowa w roku 1981 wypadła 13 grudnia. Karnawał został brutalnie przerwany. I nie powtórzył się już nigdy w takiej formie. Pięknej i niezapomnianej, szalonej. Jak to karnawał, od którego nie można przecież oczekiwać, że będzie rozsądny, wstrzemięźliwy, a uczestnikom

czasem nie zechce się poprowadzić kowrowodu poza wyznaczone granice. Nam się wtedy zachciało.

Co z tego karnawału zostało? Przypadek sprawił, że zadałem sobie to pytanie niedawno, w połowie sierpnia, chyba dokładnie w tym samym dniu, w którym przed 35 laty w stoczni imienia Lenina rozpoczął się strajk. Wtedy właśnie w warszawskiej księgarni przy Wiejskiej zobaczyłem smutnego, starego człowieka. Był to Jerzy Urban, z żoną oglądali książki, coś kupili. W czasach karnawału, a zwłaszcza później, Urban był największym, najbardziej nieprzebiegającym w słowach przeciwnikiem Solidarności. Jako rzecznik rządu, jeden z najbliższych ludzi Jaruzelskiego, nie tylko ją zwalczał politycznie, ale wyśmiewał, szydził, drwił z uwięzionych. Kłamał sto razy częściej i paskudniej niż socjalistyczny rząd węgierski na początku XXI wieku. Urbanowie w księgarni nie byli sami. Od lat już Urban chodzi po Warszawie w towarzystwie ochroniarza, który nawet w księgarni pilnuje, by nie stała mu się krzywda. Później prowadzi do samochodu i wiezie do domu. Luksusowej posiadłości pod miastem.

Co z tego wynika, jak to ocenić? Kto wygrał, kto przegrał? Nie ma jednej, prostej odpowiedzi. Słusznie wielu drażnią miliony Urbana, jego ostentacyjny luksus. Mnie bardziej boją i nie pozwalają na udzielenie jednoznacznych i łatwych odpowiedzi popularność wydawanego przezeń pisma, ciągła obecność w mediach, traktowanie jako autorytetu.

Chcieliśmy w karnawale, by każdy mógł wyrażać swoje poglądy, prowadzić interesy. Urban to robi. Trudno, taki koślawy wymiar przybrała również nasza wolność, nie dopilnowaliśmy, gdy była na to pora. Ale gdy patrzyłem na starego, smutnego Urbana – strzeżonego przez ochroniarza – widziałem w nim człowieka, który przegrał i ma tej porażki świadomość. Bo nigdy nie zatracił się w żadnym karnawale. ❗

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN

W ubiegłym roku Instytut Pamięci Narodowej pozyskał cenny album fotograficzny, który dokumentuje przyłączenie Gdańska do III Rzeszy. To już druga tego typu kolekcja zdjęć w zbiorach IPN.

W przemówieniu wygłoszonym 1 września 1939 roku w Operze Krolla w Berlinie Adolf Hitler po tyradach skierowanych przeciwko Polsce przedstawił cele wojny: „Jestem zdecydowany, po pierwsze – rozwiązać problem Gdańska; po drugie – problem »korytarsza«, po trzecie starać się o to, żeby w stosunku Niemiec do Polski nastąpił zwrot, który zagwarantuje pokojowe współżycie”. I choć był to tylko pretekst do napaści na Polskę, to nazistowskiej propagandzie udało się zaszczerpić w świadomości wielu ludzi przekonanie, że to spór o Gdańsk stanowił główną przyczynę konfliktu. Niemcy nie zaakceptowali rozstrzygnięć traktatu wersalskiego z 1919 roku, a utworzenie Wolnego Miasta pod zwierzchnictwem Ligi Narodów uznawali za narzucony im niesprawiedliwy dyktat. Byli przekonani, że wcześniej czy później Gdańsk połączy się z ich państwem.

Walka o Danzig

Tomasz Stempowski



1

Fot. AIPN



2

Fot. AIPN

1 września o 4.45 pancernik „Schleswig-Holstein” oddał z dział pokładowych salwę, która była znakiem do rozpoczęcia inwazji na Polskę. Scenę, utrwaloną na filmie i fotografii, zobaczyły miliony ludzi. I choć w rzeczywistości nie były to pierwsze strzały oddane tego dnia, to w sferze wizualnej II wojna światowa zaczęła się w Gdańsku.

Spółeczeństwo niemieckie przyjęło przyłączenie miasta do Rzeszy z radością wyrażaną w przemowach przywódców nazistowskich i podczas publicznych uroczystości. Upamiętniono ten fakt okolicznościowymi opracowaniami kilku autorów o wiele mówiących tytułach: Artur Bassarek, *Danzigs Befreiung. Ein Tatsachenbericht mit Bildern* (Wyzwolenie Gdańska. Sprawozdanie ze zdjęciami); Hugo Landgraf, *Kampf um Danzig. Mit Mikrophon und Stahlhelm an der Danziger Front* (Walka o Gdańsk. Z mikrofonem i hełmem stalowym na froncie gdańskim); Hans Sponholz, *Danzig – deine SA! Einsatz und Bewährung im Polenfeldzug* (Gdańsk – twoje SA! Akcje i zasługi w kampanii polskiej); Friedrich Heiss, *Danzig im Reich* (Gdańsk w Rzeszy); Günther Sawatzki, *Danzig ist deutsch* (Gdańsk jest niemiecki). Ważną rolę we wszystkich tych publikacjach odgrywały fotografie.

Niemcy bardzo starannie przygotowali się do wojny także w sferze propagandowej. W Wehrmachcie utworzono specjalne oddziały, których zadaniem było dostarczanie na bieżąco atrakcyjnych materiałów na potrzeby prasy, radia i filmu. Podlegały one dowództwu wojskowemu, ale otrzymywały instrukcje z Ministerstwa Propagandy i Oświecenia Publicznego. Na terenie Wolnego Miasta Gdańska działała Kompania Propagandowa 689 pod dowództwem ppor. Tschimpkego, wchodząca w skład 4. Armii gen. Hansa Günthera von Klugego. Jednak już pobieżna lektura wymienionych wyżej książek pokazuje, że to nie Kompania Propagandowa 689 dostarczyła najbardziej znanych obrazów z pierwszych dni wojny w Gdańsku. Wśród autorów zdjęć powtarzają się dwa nazwiska – Hansa Sönnkego i Waltera Ot-



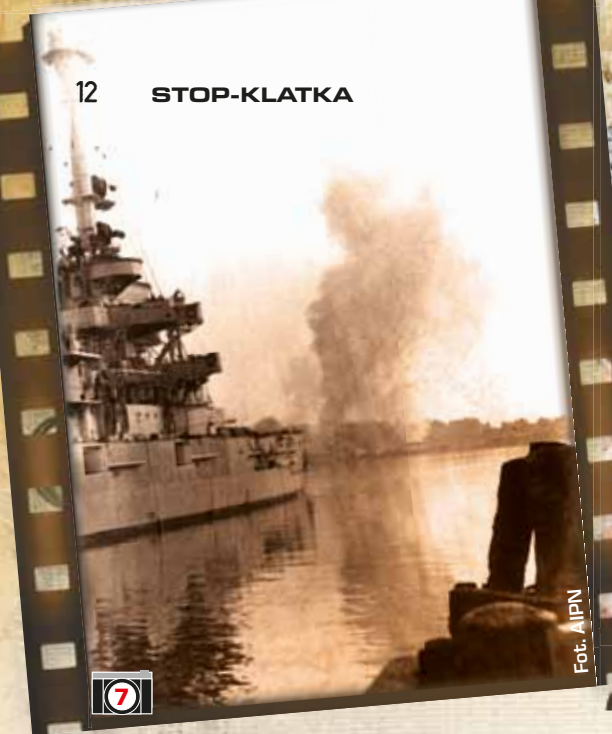
tona Lulinskiego, posługującego się także nazwiskiem Luben. Obaj prowadzili w Gdańsku zakłady fotograficzne, robili zdjęcia dla prasy, publikowali widokówki, a 1 września 1939 roku przeistoczyli się w fotoreporterów wojennych.

Bardziej znany z tej dwójki jest Hans Sönnke. Oprócz tego, że jego fotografie były reprodukowane w prasie i książkach, opublikował je także własnym sumptem. Przygotował około stu egzemplarzy albumu *Befreiung Danzigs* (Wyzwolenie Gdańska), zawierającego 44 podpisane odbitki fotograficzne. Niektóre z nich, jak ujęcia niemieckich żołnierzy przełamujących szlaban graniczny w Kolibkach lub pancernika „Schleswig-Holstein” ostrzeliwującego Westerplatte, stały się prawdziwymi ikonami fotograficznymi symbolizującymi początek II wojny światowej.

Seria Sönnkego do niedawna wydawała się najliczniejszym zbiorem fotografii jednego autora, dokumentującym przyłączenie Gdańska do III Rzeszy. Jednak w zeszłym roku Biuro Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN pozyskało album, który na 33 kartach zawiera 105 podpisanych zdjęć oraz reprodukcję fragmentu planu Gdańska. Niektóre z tych fotografii były już publikowane, ale większość była nieznana. Twórcą albumu był najprawdopodobniej Walter Otto Lulinski. Sugerują to pieczątki: „Foto Luben” oraz „Foto-Lulinski” znajdujące się na odwrocie kilku odbitek.

Tak jak w przypadku serii Sönnkego, album Lulinskiego tworzy przemyślaną całość. Oklejoną tkaniną okładkę zdobiją herb Gdańska i wytłaczany złotą gotycką czcionką napis *Kampf um Danzig* (Walka o Gdańsk) (fot. 3). Zdjęcia zebrane





wewnątrz układają się w trzy rozdziały. Pierwszy pokazuje wydarzenia sprzed 1 września 1939 roku, drugi – działania zbrojne, trzeci – triumf armii niemieckiej.

Album otwiera fotografia Alberta Forstera, gauleitera NSDAP w Wolnym Mieście Gdańsku, wręczającego 18 sierpnia 1939 roku sztandar oddziału SS-Heimwehr Danzig jego dowódcy, SS-Obersturmbannführerowi Hansowi-Friedemannowi Götzemu. Dalej zostały pokazane przebieg tej uroczystości (przemówienie Forstera, przegląd jednostki i defilada) oraz służba patrolowa i postunki graniczne przed wybuchem wojny.

Druga, najliczniejsza grupa zdjęć, przedstawia przebieg działań zbrojnych na terenie Wolnego Miasta Gdańska. Rozpoczyna się od fotografii gdańskiego policjanta stojącego przed Dworcem

Głównym z tabliczką: „Stać! Niebezpieczeństwo! Możliwy silny ostrzał”. Na kolejnych ujęciach można zobaczyć naklejanie plakatów z proklamacją Alberta Forstera o włączeniu Gdańska do Rzeszy (fot. 1), zajęcie dworca i Polskiego Komisarjatu.

Sześć kart albumu zostało poświęconych walkom o zdobycie Poczty Polskiej. Na zdjęciach widać m.in. wozy pancerne Heimwehry (fot. 2), ostrzał z dział, zniszczenia budynku poczty, kłęby dymu po jego podpaleniu (fot. 4) oraz wziętych do niewoli obrońców (fot. 5). Na dwunastu stronach zaprezentowano walki o Westerplatte: ostrzał składnicy (fot. 7), niemieckich żołnierzy w drodze na pozycje (fot. 6), zniszczenia po ostrzale i polskich jeńców (fot. 8), w tym

kpt. Franciszka Dąbrowskiego (fot. 9) – faktycznego dowódcę obrony placówki.

Kolejnych dziesięć stron przedstawia zajmowanie Gdyni. Na większości zdjęć widać żołnierzy (fot. 10), broń i zniszczenia. Uwagę przykuwa scena kręcenia filmu przez żołnierzy oddziału propagandowego. Na ostatnim obrazie tej serii widać niemieckiego policjanta kierującego ruchem ulicznym (fot. 11). Podpis „Niemiecki porządek w Gdyni” dobrze oddaje nastawienie autora albumu. Kilka następnych stron zawiera fotografie pokazujące zniszczenia wojenne w Tczewie i na Oksywiu.

W końcowej części albumu, obejmującej osiemnaście stron, zostały zgromadzone zdjęcia z oficjalnych uroczystości i wizyt po przyłączeniu Gdańska do Rzeszy.



Fot. AIPN

11

Najwięcej miejsca poświęcono odwiedzinom Adolfa Hitlera w Gdańsku, Gdyni (fot. 12), na Westerplatte i Oksywiu. Zostały także udokumentowane uroczystości żałobne ku czci gen. Wernera von Fritscha (fot. 13) i przemówienie przywódcy Niemieckiego Frontu Pracy Roberta Leya w stoczni. Ciekawostką jest zdjęcie słynnej reżyserki Leni Riefenstahl w Gdyni (fot. 14). Na końcu została umieszczona seria ujęć przedstawiających uroczysty powrót oddziałów Heimwehry do miasta.

Lektura albumu skłania do postawienia kilku pytań. Po pierwsze, jak to się stało, że zwykły właściciel sklepu fotograficznego mógł fotografować w rejonie działań zbrojnych oraz że dopuszczono go w pobliżu najważniejszych przywódców nazistowskich, w tym samego Adolfa Hitlera. Niestety, na temat Lulinskie-

go niewiele wiadomo. Adres jego sklepu i laboratorium fotograficznego można znaleźć w gdańskiej książce adresowej, ale brakuje bliższych informacji biograficznych. Ponieważ jednak w wielu wypadkach robił on zdjęcia w tych samych miejscach i okolicznościach co Sönnke, być może także ich losy w tym okresie ułożyły się podobnie.

W 1976 roku Hans Sönnke złożył zeznania w Prezydium Policji w Lubece. Wyjaśnił w nich, że 31 sierpnia 1939 roku w hotelu Danziger Hof pojawił się porucznik lotnictwa, który nakazał gdańskim fotografom, dziennikarzom i radiowcom zameldować się następnego dnia o 4.45. Gdy Sönnke wraz z dwoma pomocnikami stanął się w wyznaczonym miejscu, został wcielony do jednostki propagan-

dowej Grupy Eberhardt, w której służył mniej więcej do 19 września. W tym okresie był kierowany jako fotoreporter tam, gdzie coś się działo. Po rozwiązaniu oddziału propagandowego wrócił do pracy w swoim zakładzie. Można przypuszczać, że Lulinski trafił do tej samej jednostki propagandowej.

Kolejna kwestia: dla kogo ten album był przeznaczony? Nie ma w nim żadnych dedykacji ani dodatkowych dokumentów, które pozwoliłyby na jednoznaczną odpowiedź. Skoro jednak rozpoczyna się i kończy sekwencjami pokazującymi żołnierzy SS-Heimwehr Danzig, a w środku udokumentowano kilka wydarzeń, w których brali oni udział, być może wykonano go dla jednego z nich. 🍷

Tomasz Stempowski – historyk, pracownik Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN

Fot. AIPN

12

13

Fot. AIPN

14

Fot. AIPN

Sprawne pozyskiwanie wiedzy pozwala służbom specjalnym przeciwdziałać zagrożeniom. Jednak w państwie komunistycznym mechanizm zbierania informacji został rozbudowany do rozmiarów niewyobrażalnych.

Informatory osobowe

Obywatel państwa niedemokratycznego – którym była PRL – na ogół doskonale wiedział, że Służba Bezpieczeństwa może się nim zainteresować nawet z błahego powodu. W epoce, w której nie było Internetu i przepływ informacji był zdecydowanie wolniejszy niż dziś, tworzenie opracowań wewnętrznych i skryptów typu „Who is who?” należało do klasyki działań tajnych służb. Komórki analityczne były jednymi z najważniejszych w całym systemie informacyjnym. Dobrze sporządzone dossier „wroga” pozwalało bowiem lepiej przygotować się do jego neutralizacji. Służba Bezpieczeństwa – oprócz dokumentacji operacyjnej, do której miały dostęp pojedyncze osoby – tworzyła także różne zbiorcze analizy i opracowania, które przesyłano tzw. kierownictwu partyjno-rządowemu. Z uwagi na dość duży rozdzielnik, dzięki któremu czytały je nawet setki osób, często nie wprowadzano do nich informacji uznawanych za „ściśle tajne”. Działał typowy dla służb mechanizm ochrony źródła. Oceny, ile można ujawnić, dokonywał funkcjonariusz SB.

Warto odnotować, że informatory opracowywane przez SB powstawały przez wiele lat. Takie zbiorcze *dossiers* najczęściej obejmowały konkretne grupy będące obiektem rozpracowania przez SB. Możemy więc dziś w archiwach IPN odnaleźć opracowania na temat emigracji politycznej, ugrupowań opozycyjnych czy uczestników zbrojnego podziemia niepodległościowego.

Prezentowany informator powstał na podstawie dość nietypowego materiału źródłowego. Służba Bezpieczeństwa najczęściej sporządzała dokumentację tego typu, wykorzystując informacje pozyskane drogą operacyjną (donosy agentów, podsłuchy pokojowe i telefoniczne czy poufnie prze-

glądane akta administracyjne). W tym przypadku za główne źródło posłużyły ankiety wypełnione przez bohaterów opracowania. SB przejęła bowiem – po wprowadzeniu stanu wojennego – całą część dokumentacji Solidarności, którą później wykorzystywano w toczących się postępowaniach sądowych czy różnych kombinacjach operacyjnych skierowanych przeciwko członkom Solidarności.

Czerpanie przez SB wiedzy z ankiet pochodzących z archiwum NSZZ „Solidarność” widać chociażby w konstrukcji przygotowywanych not biograficznych. Każdy zyciorys rozpoczął się od podania numeru mandatu na I Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność”, który odbywał się w gdańskiej hali Olivia w dwóch turach: od 5 do 10 września oraz od 26 września do 7 października 1981 roku.

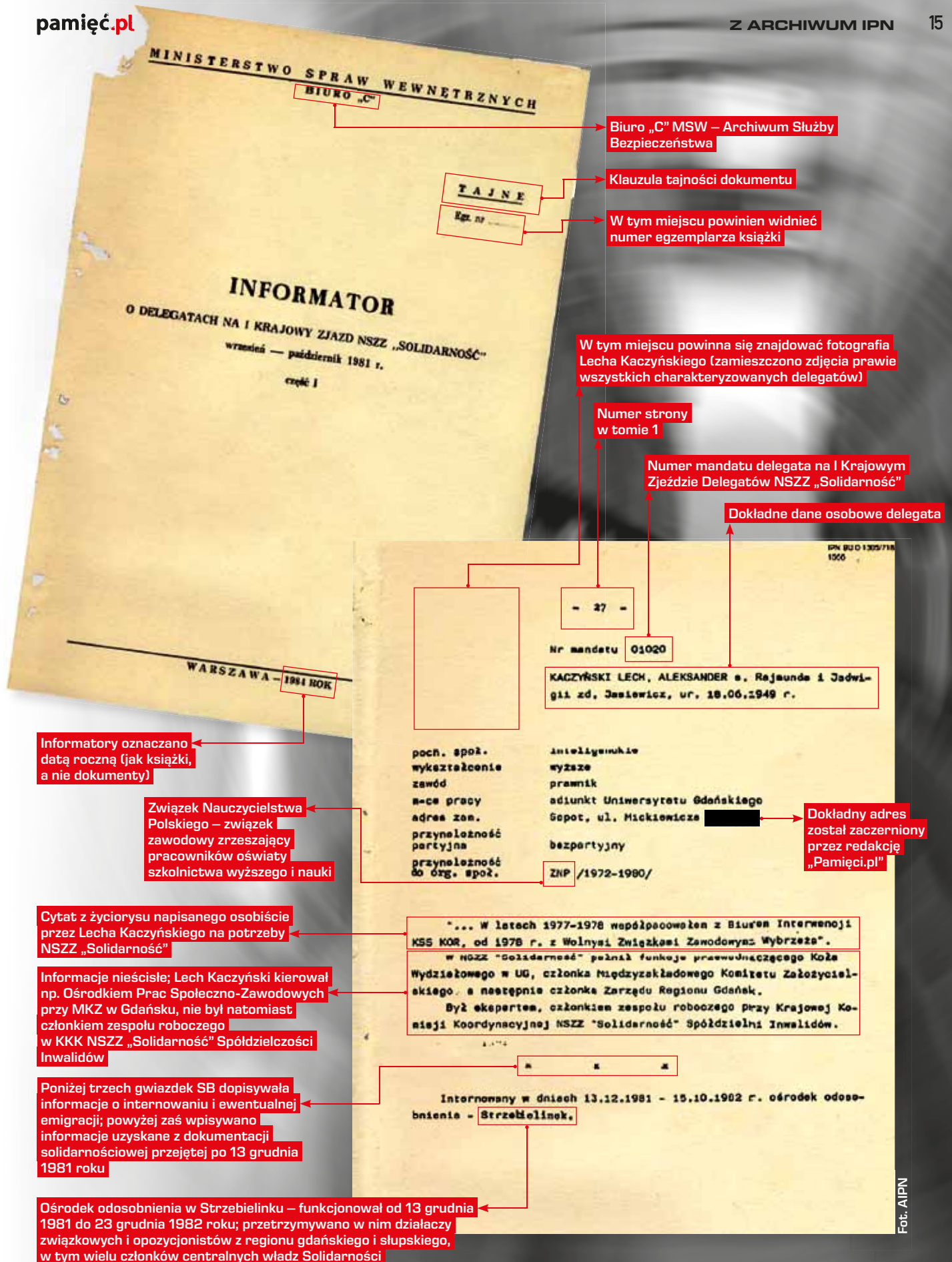
Polecenie opracowania informatora na temat kierowniczych gremiów Solidarności wyszło bezpośrednio od gen. Wojciecha Jaruzelskiego, premiera i I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Prace prowadzono w Wydziale II Biura „C” MSW. Była to komórka archiwalna, zajmująca się na co dzień magazynowaniem najważniejszej dokumentacji SB: teczek agentury, spraw operacyjnych i obiektowych, a także sprawozdań jednostek operacyjnych. W 1983 roku Wydział II sporządził dwa opracowania/informatory dotyczące oliwskiego zjazdu. Najpierw przygotowano zestawienie zagranicznych dziennikarzy biorących w nim udział. Kolejnym był *Informatory o delegatach na I Krajowy Zjazd NSZZ „Solidarność” wrzesień – październik 1981 r.*

Składał się z dwóch części i obejmował dane biograficzne 894 osób biorących udział w zjeździe. Całość została wzbogacona zestawieniami statystycz-

nymi na temat pochodzenia społecznego delegatów, ich wykształcenia, zawodu, miejsca pracy, adresu, przynależności partyjnej oraz karalności. Dodano także informacje o internowaniu i ewentualnej emigracji po 13 grudnia 1981 roku. Wydawnictwo wzbogaciło również fotografie osób opisywanych. Bezpośrednio z zyciorysów dostępnych w materiałach związkowych wybierano „przeszłość i postawę polityczną delegata” – jak tłumaczono we wstępie publikacji. Dlatego oprócz suchych faktów możemy tutaj znaleźć także emocjonalne opisy opozycyjnego zaangażowania, pochodzące bezpośrednio od samych bohaterów.

Co ciekawe, w opracowaniu nie zostały wykorzystane dokumenty zgromadzone w teczkach z rozpracowania poszczególnych delegatów. Powstało w wielu egzemplarzach, miało do niego dostęp wielu funkcjonariuszy i prawdopodobnie dlatego – ze względów konspiracyjnych – nie podano informacji o inwigilacji delegatów oraz ich ewentualnej współpracy z SB. Mimo tych braków jest to źródło wartościowe. Zwłaszcza że powstało na podstawie nieistniejących dziś ankiet. Pojedyncze ich egzemplarze – np. z regionu środkowo-wschodniego Solidarności – udało się odnaleźć w archiwach IPN. Jednak nie wiemy, co się stało z pozostałymi. Tym cenniejsze jest więc ich cytowanie w omawianym informatorze.

Jako przykład wybrałem biogram Lecha Kaczyńskiego, który – poza brakiem fotografii – nie wyróżnia się konstrukcyjnie na tle pozostałych. Zawiera także najważniejsze elementy, na które zwracała uwagę SB. Jest więc w nim mowa o działalności w Komitecie Obrony Robotników i współpracy z Wolnymi Związkami Zawodowymi Wybrzeża, funkcjach pełnionych w Solidarności oraz internowaniu podczas stanu wojennego. Nie ma natomiast informacji o działalności po 13 grudnia 1981 roku. ■



Biuro „C” MSW – Archiwum Służby Bezpieczeństwa

Klauzula tajności dokumentu

W tym miejscu powinien widnieć numer egzemplarza książki

W tym miejscu powinna się znajdować fotografia Lecha Kaczyńskiego (zamieszczono zdjęcia prawie wszystkich charakteryzowanych delegatów)

Numer strony w tomie 1

Numer mandatu delegata na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność”

Dokładne dane osobowe delegata

Informatory oznaczano datą roczną (jak książki, a nie dokumenty)

Związek Nauczycielstwa Polskiego – związek zawodowy zrzeszający pracowników oświaty szkolnictwa wyższego i nauki

Cytat z życiorysu napisanego osobiście przez Lecha Kaczyńskiego na potrzeby NSZZ „Solidarność”

Informacje nieściśle; Lech Kaczyński kierował np. Ośrodkiem Prac Społeczno-Zawodowych przy MKZ w Gdańsku, nie był natomiast członkiem zespołu roboczego w KKK NSZZ „Solidarność” Spółdzielczości Inwalidów

Poniżej trzech gwiazdek SB dopisywała informacje o internowaniu i ewentualnej emigracji; powyżej zaś wpisywano informacje uzyskane z dokumentacji solidarnościowej przejętej po 13 grudnia 1981 roku

Ośrodek odosobnienia w Strzebielinku – funkcjonował od 13 grudnia 1981 do 23 grudnia 1982 roku; przetrzymywano w nim działaczy związkowych i opozycjonistów z regionu gdańskiego i słupskiego, w tym wielu członków centralnych władz Solidarności

Dokładny adres został zaczerpnięty przez redakcję „Pamięci.pl”

Znak polskiej wolności

Chciałem w prostej formie graficznej zawrzeć wszystko to, co widziałem w trakcie sierpniowego strajku w Stoczni Gdańskiej: bunt wobec niesprawiedliwości, pragnienie wolności, determinację protestujących robotników – mówi Jerzy Janiszewski, twórca logo Solidarności, w rozmowie z Andrzejem Brzozowskim

Stworzył Pan logo, które stało się znakiem rozpoznawczym strajkujących robotników. Najpierw była grafika czy nazwa związku?

Znak „Solidarność” zaprojektowałem w sierpniu 1980 roku, w czasie strajku w Stoczni im. Lenina w Gdańsku. Związek jeszcze nie istniał, a tym bardziej jego nazwa. Powołanie niezależnego od aparatu władzy związku zawodowego robotników było dopiero jednym z 21 postulatów. Nie chodziło o symbol rozpoznawczy strajkujących, chodziło mi o coś więcej – o zawarcie w prostej formie tego, czego byłem świadkiem: rodzącego się i rozszerzającego buntu wobec niesprawiedliwości, pragnienia wolności, determinacji strajkujących i osób wspomagających

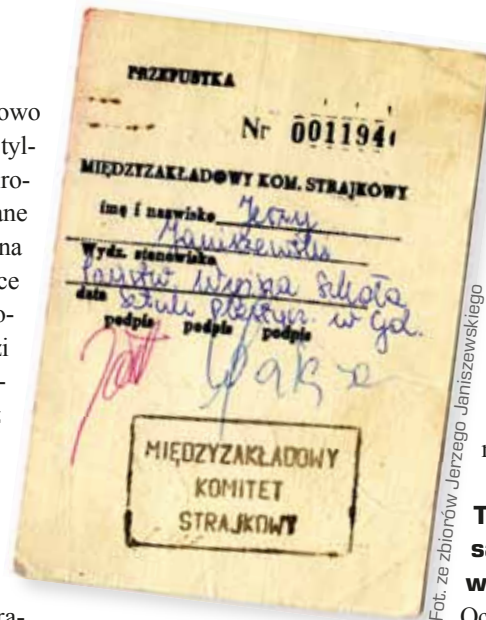
Jerzy Janiszewski (ur. 1952) – projektant grafik, absolwent Wydziału Projektowania Graficznego Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych (dziś ASP) w Gdańsku. Jest autorem słynnego logo Solidarności. Otrzymał honorowe członkostwo w NSZZ „Solidarność”. Zaprojektował m.in. winiętę „Tygodnika Solidarność”, typografię tytułu filmu *Człowiek z żelaza* Andrzeja Wajdy i logo Dni Sierpniowych Gdańsk–Gdynia '81. W czasie stanu wojennego emigrował do RFN. W 1983 roku uzyskał stypendium artystyczne w Paryżu. W latach 1996–1998 prowadził studio Ograf w Sopocie. Później osiedlił się w Hiszpanii. Zajmuje się m.in. znakami graficznymi, identyfikacją wizualną, plakatem. Realizuje przestrzenne instalacje plenerowe, kolaże. W 2011 roku przygotował logo polskiej prezydencji w Unii Europejskiej, a także aktualne logo oraz identyfikację wizualną Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

strajk, niesłuchanej solidarności wszystkich ludzi bez względu na pochodzenie, wiek, zawód, wyznanie.

Jak powstało logo Solidarności?

Od pierwszego dnia strajku w Gdańsku, od 14 sierpnia, byłem pod stocznia i dzień po dniu obserwowałem przebieg wydarzeń. Po kilku dniach udało mi się zdobyć przepustkę i dostać na teren stoczni. Wśród strajkujących, w sali BHP, gdzie zbierał się Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, na bieżąco obserwowałem, słyszałem i przeżywałem wszystko to, co się działo. Byłem pod ogromnym wrażeniem niesamowitej energii wydarzeń. Chciałem, musiałem coś zrobić – coś, co mogłoby wspo-

móc strajk, podtrzymać duchowo strajkujących. Nie wiedziałem tylko, co – plakat, znak? Zainspirowały mnie odręczne, malowane pędzlem i farbą napisy i hasła na murach stoczni, powtarzające się w różnych kontekstach słowo „solidarność”, tłumy ludzi stojących, idących, trzymających się razem, widoczne już wszędzie flagi biało-czerwone. Zdecydowałem się wybrać słowo „solidarność” i po kilku szkicach wrzuciłem w nie wszystko to, czego byłem świadkiem. 20 sierpnia w pracowni u mnie w domu pędzelkiem, czerwoną farbą na białym papierze formatu A5 zrobiłem znak. Zanim zabrałem się do stoczni, otrzymałem zgodę na druk i rozpowszechnienie. Z przyjaciółmi zorganizowaliśmy papier, farbę i przy użyciu prostego ręcznego sitodruku zrobiliśmy pierwsze odbitki znaku z napisem „Gdańsk sierpień ‘80”. Były one drukowane codziennie w nakładzie ok. 200 egz. do końca trwania strajku. Powstało też kilka pierwszych białych koszulek ze znakiem oraz mały nakład plakacików z napisem „21xTAK”. Pierwsze wydruki, które zawiozłem do stoczni w Gdańsku, zostały rozlepione. Były wręcz rozchwytywane: reprodukowane, filmowane – znak poszedł w świat. A 31 sierpnia podpisano w stoczni porozumienie, w Trójmieście skończyły się strajki. Później dowiedziałem się z prasy, że powstał NSZZ „Solidarność”, a mój znak stał się jego graficznym wizerunkiem.



Fot. ze zbiorów Jerzego Janiszewskiego

Jako twórca symbolu znienawidzonego przez władze komunistyczne stał się Pan chyba jednym z najważniejszych „celów” bezpieki i władz państwowych. Czy były jakieś szykany ze strony władz lub SB? W 1982 roku wyjechał Pan z Polski...

Współpracowałem blisko z NSZZ, ale nie czułem się szykanowany. W stanie wojennym nie zostałem internowany, ale po jakimś czasie dostałem powołanie do wojska – no i tak sprowokowano mnie do wyjazdu z Polski.

To chyba nie było wezwanie do odbycia zasadniczej służby wojskowej? Miał Pan już wtedy 30 lat...

Oczywiście, zasadnicza służba wojskowa to nie była, studiując nie odbyłem wcześniej żadnej. Zresztą – jaka mogła być w stanie wojennym? Albo karna, albo „pilnowanie porządku”: z bronią przeciwko protestującym ludziom.

Nie było kłopotów z wyjazdem?

Znajomi zorganizowali wystawę w Sindelfingen w RFN i po kilkumiesięcznych problemach dostałem paszport, ale pod pewnym warunkiem: „żadnej Solidarności, żadnych wywiadów”. Udało mi się jednak przewieźć plakaty i projekty związane z NSZZ. Zainteresowanie ludźmi prosto z Polski było w tym okresie ogromne – tym, co mówią, robią i myślą. Jeszcze większe w moim odczuciu w Paryżu, gdzie zatrzymałem się na dłużej.

Logo Solidarności to chyba jedyny polski znak – i jedyny niekomercyjny w ogóle – który jest rozpoznawalny na całym świecie. W czym tkwi jego siła?

Znak ten nie powstał na zamówienie, nie powstał z pobudek komercyjnych. Stał się później symbolem walki o wolność, a przez wiele lat świat śledził i podziwiał naszą determinację i solidarność. W ten sposób zapisał się w pamięci milionów ludzi. ➤

➤ Byli internowani oczekując na Jana Pawła II, Warszawa, 17 czerwca 1983 roku; transparent wykonany solidarycą



Stworzył Pan coś więcej niż tylko logo związku zawodowego – czy zgodzi się Pan z opinią, że Pańska „Solidarność” jest równie ważna jak kotwica Polski Walczącej?

Powtórzę: znak nie powstał na zamówienie związku zawodowego ani nawet z myślą o nim, lecz pod wpływem wydarzeń w 1980 roku. Nie zapomnę sytuacji, kiedy w tramwaju podarowałem starszej nieznamącej pani jeden z pierwszych znaczków „Solidarność”. Ona milcząco ucałowała go i schowała w mocno zacisniętej dłoni. Wtedy chyba po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z tego, jak ważny stał się ten znak.

Jak, Pana zdaniem, wygląda dziś na Zachodzie wiedza na temat Solidarności i Polski? Logo polskiej prezydencji zaprojektował Pan w nawiązaniu do logo Solidarności. Czy było to czytelne dla ludzi na Zachodzie?

Dziś na Zachodzie, po 35 latach, tylko starsi kojarzą logo Solidarności i tamte wydarzenia w Polsce. W Hiszpanii, gdzie obecnie mieszkam, zawsze więcej było informacji o Ameryce Południowej niż o wschodnich krajach Europy. Logo polskiej prezydencji było prawie niewidoczne, rzadko wyrażano o nim opinie, zainteresowaniem cieszyło się raczej w kręgach profesjonalnych. O Polsce można w Hiszpanii usłyszeć bardzo przychylnie słowa, ale jako o kraju dobrze wykształconych i zdolnych ludzi, kraju, który dokonał szybkiego rozwoju w wielu dziedzinach... plus program stypendialny Erasmus, piłkarskie mistrzostwa Europy z 2012 roku, fajne wrażenia po pobycie w Polsce.

Krój pisma, solidarycę – a zatem i całą symbolikę oryginału – wykorzystuje się często przy zapisach innych haseł. Czy stworzył Pan kompletny alfabet?

Znak Solidarności poza wyjątkową wartością historyczną jest formą integralną, chronioną przez prawo autorskie. Niedopuszczalne, niezgodne z prawem jest jego zniekształcanie, projektowanie



► Upamiętnienie 21 postulatów MKS przed siedzibą Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku

innych znaków, tytułów, napisów, wszelkich form graficznych powstałych na jego podstawie. Tylko autor może w wyjątkowo ważnych okolicznościach – jak np. dwudziestopięciolecie wolności, rocznice Solidarności – posłużyć się tzw. solidarycą.

Ale jednak takie wykorzystania się zdarzały – szczególnie w PRL i okresie transformacji, kiedy nikt o prawach autorskich nie myślał. Z jakim najciekawszym, najdziwniejszym, a może szczególnie niewłaściwym wykorzystaniem solidarycy się Pan spotkał? Swego czasu, jeśli się nie mylę, była wódka „Solidarność”...

W okresie tuż po powstaniu NSZZ, w stanie wojennym czy w czasie wyborów w 1989 roku rzeczywiście nikt nie myślał o prawach autorskich – i jest to chyba zrozumiałe. Byłem szczęśliwy, widząc hasła na ścianach pisane solidarycą. Dopiero po latach, po wyborach, w okresie transformacji, zacząłem zwracać uwagę na wykorzystanie znaku, jego komercjalizację, deformację... Wszystkie wykorzystania solidarycy, z którymi się spotykam, a które albo nie są mojego autorstwa, albo powstały bez mojej zgody – są nielegalne. Była i jest wódka, były papierosy, majtki, biżuteria, inne znaki graficzne itd. Online można kupić różne artykuły ze znakiem, na lotniskach w Polsce również – nigdy nie widziałem tam właściwej, oryginalnej formy znaku, jedynie same jego zniekształcenia i transformacje – kto więc dzisiaj wie, jak on wygląda? ❗

Fot. ze zbiorów Jerzego Janiszewskiego



► Plakat z okresu strajku w Stoczni Gdańskiej z podpisami m.in. Henryki Krzywonos, Anny Walentynowicz i Lecha Wałęsy



Fot. AIPN

Fot. Jerzy Mąkowski/ze zbiorów ośrodka KARTA

Nieliczni zrozumieli, że trzeba było umierać za Gdańsk

Z **Marco Patricellim**, autorem książek *Umierać za Gdańsk* i *Ochotnik. O Rotmistrzu Witoldzie Pileckim*, rozmawiają Maciej Foks i Tomasz Sudol

Historia Polski jest dla Pana...

...namiętnością, a z nią jest jak z piękną kobietą. Jak mnie pytają, dlaczego mi się podoba... Podoba mi się po prostu.

Porozmawiajmy zatem o tej namiętności. Jak Pan ocenia politykę Wielkiej Brytanii i Francji wobec Polski w latach trzydziestych?

To polityka dwóch państw, które nie chcą wojny. Również wtedy jej nie chcą, kiedy wydaje się niezbędna, by uratować pokój. Francja wydaje miliardy na budowę linii Maginota. Zakłada, że jeżeli już do wojny dojdzie, to będzie to dla niej wojna obronna. Wielka Brytania ma malutką armię, jest również opóźniona w zbrojeniach. Potrzebuje czasu. Chamberlainowska polityka *appeasementu* trwa zbyt długo. Winston Churchill za późno dochodzi do władzy. Właściwie aż do zajęcia Sudetów przez Niemcy panuje przekonanie, że Adolf Hitler nie robi nic innego, tylko przywraca Niemcom to, co niemieckie (Zagłębie Saary, Nadrenia, Austria i Sudety – to części byłego imperium Habsburgów lub regiony, w których występowały ludność pochodzenia niemieckiego, niemiecki język i kultura), że tylko „koryguje” traktat wersalski, co wydawało się ceną do przyjęcia w zamian za utrzymanie pokoju. Kiedy po raz pierwszy Hitler próbuje anszlusu Austrii, z państw europejskich sprzeciwiają się tylko Włochy. Benito Mussolini jest wówczas bliżej Francji i Wielkiej Brytanii, a Hitler jest przez niego źle widziany.

Niewielu wie, że podczas wojny o Abisynię w latach 1935–1936 Hitler oficjalnie popierał Mussoliniego, ale pod stołem sprzedawał broń cesarzowi Hajle Sellasje. Wystarczyło wtedy pozbawić Włochy dostaw ropy, aby zmusić je do zakończenia wojny. Wielka Brytania jednak tak daleko nie miała zamiaru się posunąć.

Stawia Pan tezę, że w latach 1933–1934 najrozsądniejszym rozwiązaniem byłaby wojna prewencyjna z Niemcami.

Tak jak chciał Józef Piłsudski. Armia niemiecka wówczas się nie liczyła, nie była silną armią nawet w 1938 roku, kiedy za-

Marco Patricelli (ur. 1963) – włoski historyk, specjalizuje się w historii XX wieku, II wojny światowej i najnowszej historii Polski. Wykładał na Uniwersytecie Gabriella D'Annunzia w Chieti-Pescarze.

W 2010 roku za biografię rotmistrza Witolda Pileckiego *Le volontaire* (w Polsce opublikowaną przez Wydawnictwo Literackie pt. *Ochotnik. O Rotmistrzu Witoldzie Pileckim*) otrzymał najbardziej prestiżową włoską nagrodę za książkę historyczną, XLIII Acqui Storia.



Fot. Maciej Foks

jęła część Czechosłowacji. W wojsku była znacząca opozycja wobec Hitlera. Niestety dla nas i dla naszej wspólnej historii wszystkie blefy Hitlera okazały się skuteczne. Dodajmy też, że opozycja w łonie Wehrmachtu nie korzystała z żadnej zachęty zewnętrznej – myślę o Francji i Wielkiej Brytanii. Hitlera można było zatrzymać, i to więcej niż raz. Może nawet jeszcze w 1939 roku była na to pora, ale tylko pod warunkiem, że Francja by uderzyła. I przy okazji dochowałaby wierności swoim zobowiązaniom wobec Polski.

Czy według Pana Polska miała szansę na porozumienie z Niemcami w 1939 roku?

Nie.

A z ZSRR?

Nie, Józef Stalin tylko czekał na chwilę, kiedy będzie mógł pomścić klęskę roku 1920. Dla niego wielkim problemem był traktat ryski, a nie traktat wersalski czy Gdańsk. Chociaż Wolne Miasto Gdańsk – zamieszkanе przez Niemców i Polaków terytorium pod zarządem Ligi Narodów – to nie był polski wybór. W chwili, gdy Hitler żądał Gdańska, 99 proc. Francuzów powiedziało sobie: kto mieszka w Gdańsku? Niemcy. Czego chce Hitler? Niemieckiego Gdańska. W porządku.

Czyli rzeczywiście Zachód nie chciał umierać za Gdańsk?

Nie, ponieważ tylko bardzo nieliczni zrozumieli, że za Gdańsk trzeba było umierać. Nie chodzi o miasto, ale o to, czego Gdańsk był symbolem – o porządek wersalski. Co ciekawe, również Hitler nie chciał tego miasta. Nie chce Gdańska, chce wojny – to są jego słowa, o to mu chodziło. ➤

Dość negatywnie portretuje Pan Józefa Becka, szefa polskiej dyplomacji. Z jednej strony pisze Pan, że jego polityka prowadziła do osamotnienia Polski, z drugiej – zwraca uwagę, że błędy Polaków w polityce zagranicznej są znane, ale zbyt często nie mogli oni postąpić inaczej.

Nie przypadkiem ciągle podkreślam coś, co powinno być oczywiste, ale nie dla wszystkich jest: Polska była krajem napadniętym, ofiarą. Nie była współodpowiedzialna za to, co się stało. Część historiografii lewicowej próbowała Polskę przedwojenną, Polskę „obszarniczą”, Polskę „pułkowników”, również Polskę „klerykalną”, w jakiejś mierze obciążyć odpowiedzialnością za wojnę, mówiąc: samiście tego chcieli. Polska jest ofiarą, chociaż polska polityka zagraniczna też miała swój udział w tym, że stan rzeczy w roku 1939 przyczynił się do późniejszych wydarzeń. Beck stawiał na równowagę. Dwa paktów o nieagresji z wielkimi sąsiadami dawały nadzieję, że uda się jakoś utrzymać poprawne stosunki z jednym i drugim państwem. Polska miała bardzo trudne relacje ze wszystkimi sąsiadami, a także z Francją, która wówczas uchodziła za największe militarne mocarstwo świata. Na taką politykę nie mogła sobie pozwolić. Potem, w latach 1938–1939, działy się rzeczy niezrozumiałe, jak na przykład list gratulacyjny ministra spraw zagranicznych Józefa Becka do Włochów po zajęciu i aneksji Albanii, a także wojskowe rozwiązanie sprawy Cieszyna. W tym wypadku do Polski otrzymała depezę gratulacyjną od III Rzeszy.

W książce *Umierać za Gdańsk* określa Pan Polskę mianem hieny biorącej udział w rozbiórce Czechosłowacji. Czy nie jest to zbyt mocne słowo?

Zdanie nie jest moje, ale odzwierciedla reakcję Europy na postawę Polski. Wszyscy mamy złe i dobre strony. Nie obrażam się, kiedy ktoś mi mówi, że 10 czerwca 1940 roku, wypowiadając

wojną Francji, Mussolini zadał leżącemu krajowi cios nożem w plecy. Powinniśmy poznać wszystkie karty historii swojego kraju. Włosi użyli gazów bojowych w Abisynii. Z czego tu być dumnym? Ale to się zdarzyło.

Jak zatem osobiście ocenia Pan wkroczenie Polaków na Zaolzie?

Szaleństwo dyplomatyczne, polityczne i wojskowe. Dodają do siebie: hańba.

W książce silnie akcentuje Pan winę tzw. polskich pułkowników. Wydaje się, że zabrakło w tym oskarżeniu spojrzenia na duże inwestycje, które zostały wykonane, m.in. port w Gdyni, Centralny Okręg Przemysłowy oraz modernizację polskiej armii w latach trzydziestych.

Tak, ale Polska, mimo tych wszystkich inwestycji, przemysłowo ciągle była państwem słabym. To, że Piłsudski nie znosił lotnictwa, jest oczywiście bajką. Tyle że Polska postanowiła, że sama dla siebie będzie produkowała samoloty. To dobre maszyny, ale przemysł nie był w stanie sprostać zamówieniom. To trochę przypomina Włochy. W latach dwudziestych i trzydziestych Włosi ustanawiali wszystkie możliwe rekordy lotnicze, ale to była wspaniała wytwórczość manufaktur, produkcja rzemieślnicza, a przemysłowi udało się wyprodukować prototyp. Nie było sił na produkcję seryjną. W Polsce i we Włoszech drugiej połowy lat trzydziestych mieliśmy zastój technologiczny, podczas gdy Niemcy dokonały wówczas skoku w tej dziedzinie. Polacy i Włosi byli w stanie wyprodukować tylko małe czołgi, a Niemcy projektowali już wtedy wielkie maszyny, mieli również inny sposób ich wykorzystania na polu bitwy. Dla Polski i Włoch to broń pomocnicza piechoty. Niemcy mówili i myśleli o czołgach jako samodzielnej broni.



► Wizyta Adolfa Hitlera w Gdańsku po włączeniu miasta do Rzeszy, wrzesień 1939 roku

Pisze Pan, że w Polsce silniej rozwijano kawalerię niż wojska pancerne, co nie do końca jest prawdą, ponieważ do Wojska Polskiego wprowadzono nowy sprzęt pancerny.

Owszem, ale z wielkim opóźnieniem. Istniały przeszkody w mentalności oficerów. Wykorzystanie wojsk pancernych rzeczywiście było planowane, nawet dużo o tym pisano. Trzeba też powiedzieć, że to opóźnienie Polski stawia ją w tej sprawie w bardzo licznym towarzystwie. To nie był tylko polski błąd.

Kiedy według włoskiej historiografii wybuchła II wojna światowa?

10 czerwca 1940 roku, kiedy Mussolini wypowiedział wojnę Wielkiej Brytanii i Francji, moim zaś zdaniem 7 grudnia 1941 roku, kiedy uczestnikiem wojny stają się Stany Zjednoczone.

Jak Pan ocenia postawę żołnierza polskiego we wrześniu 1939 roku?

Przytoczyłem zdanie Churchilla. Powiedział, że to byli najodważniejsi żołnierze z najbardziej tchórzliwymi dowódcami. Mogę przywołać zdanie wypowiedziane przez niemieckiego lekarza, który w Auschwitz badał Witolda Pileckiego i innych znajdujących się tam oficerów: „gdybyśmy mieli takich żołnierzy jak wy...”.

A Westerplatte?

To przede wszystkim wielki symbol odwagi i polskiego ducha oporu. W historii można zająć godne miejsce również wskutek porażki, ale poniesionej z honorem. Któż dzisiaj pamięta o Niemcach, którzy wzięli Westerplatte? Wszyscy pamiętają o Polakach, którzy się bronili.

Które bitwy września 1939 roku uważa Pan za najważniejsze?

Bitwę nad Bzurą. Ale jest jeszcze coś ważniejszego – postawa wojska, które staje na głowie, by przez Rumunię i inne kraje dotrzeć do Francji i natychmiast podjąć walkę na nowo. Również przy Bitwie o Anglię stale się zapomina o roli polskich i czeskich pilotów, którzy przyczynili się do uratowania Wielkiej Brytanii.

Czy wśród naukowców i w społeczeństwie włoskim jest świadomość ogromu strat, które poniosła Polska w czasie II wojny światowej?

Nie jest ona bardzo rozpowszechniona. Widzę to po twarzach studentów, gdy mówię, że Polska podczas II wojny światowej straciła co szóste go obywatela. Patrzą zdumieni. Nie są w stanie sobie tej liczby wyobrazić. To jest dalekie pokłosie usunięcia Polski z grona państw, które

wygrały II wojnę światową. Gdy pytam o to, kto uwolnił Włochy, słyszę, że Anglicy i Amerykanie. Kiedyś komuniści jeszcze dodawali, że bardziej niż owi Anglicy i Amerykanie Włochy uwolnili partyzanci. Ale dzisiaj wiele się zmieniło.

Jak zapamiętano obecność polskich żołnierzy z II Korpusu we Włoszech?

Polacy różnili się od żołnierzy wszystkich innych krajów, ponieważ nie zachowywali się jak zdobywcy. Nie okazywali pogardy, jak to często zwycięzcy mają w zwyczaju. Przez mój region, Abruzję, przeszli żołnierze jedenastu państw, ale tylko Polaków wspomina się jako bardzo ludzkich żołnierzy. Pamiętajmy też o tym, że trudno było się wtedy porozumiewać, bo w małych miasteczkach, na wsi, nawet po włosku ludzie nie mówili. Polacy przynieśli poza tym bardzo ważną nowinkę społeczną – kobiety za kierownicą ciężarówek. Tego we Włoszech nikt wcześniej nie widział...

Jak ocenia Pan relacje polsko-włoskie po agresji niemieckiej?

Ta polityka rozgrywała się na dwóch płaszczyznach. Jedna to polityka oficjalna, zewnętrzna, to, co głosiła propaganda. Hitler i Mussolini byli sojusznikami, ale Mussolini Polsce wojny nie wypowiedział. Włoska prasa, już wtedy od dawna kontrolowana przez reżim, pisała życzliwie o Hitlerze, była po jego stronie. Wiele informacji, które włoscy korespondenci wojenni przysyłali z frontu, podlegało cenzurze. Dlaczego? Ponieważ dziennikarze nie chwalili Wehrmachtu, lecz odwagę Polaków. Co do włoskiej opinii publicznej, nie ma wątpliwości, że była w całości po stronie polskiej.

A oficjele?

To dotyczy także znacznej części włoskich kół oficjalnych. Najgłośniejszym przykładem jest minister spraw zagranicznych Galeazzo Ciano. Włochy nie uznały rozbioru Polski. Dyplomacja otrzymała rozkaz, by wydawać wizy wjazdowe bez żadnych formalności tym wszystkim, którzy o nie poprosili. Póki było to możliwe – a przestało dopiero wtedy, gdy Niemcy całą swoją siłą wymusiły na Włochach inną postawę – każdy otrzymywał wizę. Po aresztowaniu profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego rząd włoski domagał się od niemieckiego ich uwolnienia, a potem nie był już w stanie nic zrobić.

W jaki sposób Niemcy reagowali na taką politykę Włoch?

Byli bardzo rozdrażnieni. Dla nich był to kolejny dowód włoskiego sentymentalizmu. Do czegoś podobnego zresztą doszło później na obszarach, które znalazły się pod kontrolą wojska włoskiego – w Grecji, Jugosła-



Fot. Maciej Foks

wii i Francji – a na których szukali schronienia Żydzi. Aż do zawieszenia broni z 8 września 1943 roku nie było Żyda, który by został przez włoskie władze przekazany Niemcom. Dla Niemców było to nie do zniesienia. Włosi, mimo dwudziestu lat dyktatury faszystowskiej, byli narodem, który w szrankach wojennych znalazł się wbrew swojej woli.

Doprawdy?

Nie było powodu, by wojować. Jeśli był, to był nim tylko prestiż reżimu faszystowskiego. Zdaniem części historyków, Mussolini wstąpił w szranki wojenne, by jakoś zrównoważyć przemożną siłę, którą w Europie zyskał Hitler. To może jest częściowo prawdą, ale z pewnością nie jest całą i najważniejszą prawdą.

Jaka była reakcja Włoch na sowieckie uderzenie na Polskę 17 września 1939 roku? Jak Pan ocenia porozumienie ZSRR z Niemcami?

Sam Mussolini tego nie rozumiał. Mówił sobie, że będąc członkiem paktu antykominternowskiego, uczestniczy w krucjacie antybolszewickiej. Odnośnie do 17 września mogę użyć zdania, którym posłużyłem się, pisząc o Śląsku Cieszyńskim. To nie jest moje zdanie, ale je wykorzystuję. Wkroczenie Sowietów nastąpiło bez wypowiedzenia wojny. Potem odbyła się farsa z referendum, w których uczestniczyli żołnierze Armii Czerwonej. Włochy tego nie uznały.

Czy opowiadały się za zachowaniem państwa polskiego?

Po klęsce wrześniowej Włochy chciały odtworzenia Polski, mniejszej, na przykład w granicach etnicznych. Niemcy wybrali drogę, którą przeszli w Czechosłowacji. Tam stworzyli Protektorat Czech i Moraw, a w tym przypadku Generalne Gubernatorstwo. Polska była dodatkowym przeciwnikiem, po prostu przyczółkiem przed wojną ze Związkiem Radzieckim.

Jak we Włoszech postrzega się Związek Radziecki i jego politykę podczas II wojny światowej?

Ocenia się ją z dwóch punktów widzenia. Jedno to spojrzenie czysto historyczne, drugie jest również historyczne, ale pojawiają się w nim polityka i ideologia. We Włoszech działała najsilniejsza partia komunistyczna świata zachodniego. Historiografia lewicowa, przynajmniej jej część, była nie tylko zyczeniwa Związkowi Radzieckiemu, lecz także Jugosławii. 350 tys. Włochów zostało po II wojnie światowej na mocy traktatu paryskiego z 1947 roku zmuszonych do opuszczenia ziem, które znalazły się w granicach tego państwa. Przez tę historiografię i część opinii publicznej byli traktowani jako faszyci, opuścili bowiem „doskonały świat” – świat socjalizmu. Transporty odbywały się nocą. W Bolonii kolejarze zastrajkowali, żeby ich nie przyjąć. W końcu często miejsce dla nich znajdowano tam, gdzie dawniej trzymano więźniów, jeńców wojennych. Wielu wyjechało do innych państw – Kanady, Australii – ponieważ za dobrze pamiętali o koszmarze, którego byli świadkami



► Włoski dziennik „Corriere della Sera”, komentując wybuch wojny we wrześniu 1939 roku, pisał o „rozsądnych” propozycjach Hitlera, na które Polska nie chciała przystać

w Jugosławii. Ale tej stronie nie chciano wówczas otwierać. Kiedyś podczas konferencji powiedziałem, że od paktu Ribbentrop–Mołotow do 22 czerwca 1941 roku Hitler i Stalin byli sojusznikami. „Co pan wygaduje, chce pan na nowo napisać historię. Stalin podpisał pakt z Ribbentropem, żeby mieć czas na przygotowanie wojny z Hitlerem” – powiedział obecny na sali działacz komunistyczny. Spytałem wtedy o Polskę i Bałtów. „Żeby poprawić granicę” – padła odpowiedź.

Jak traktowana jest pamięć o żołnierzach włoskich walczących na froncie wschodnim?

Pamięta się o nich jako o żołnierzach posłanych bez powodu, bez przyczyny i bez sensu. Pamięta się, jak się do nich odnosili Niemcy – nie tylko po Stalingradzie, ale zwłaszcza przed nim – jak do podrzędnych towarzyszy, jak do służby albo jeszcze gorzej. Ale pamięta się też, że gdy już dostali się do niewoli lub próbowali się przedrzeć w ojczyście strony, pomagali im Polacy – w obozach, w których się znaleźli, albo w drodze do Włoch. Pamięta się też, jak wyglądali, jak byli uzbrojeni i wyposażeni, z jaką zazdrością patrzyli na żołnierzy niemieckich, których dowództwo przygotowało na rosyjską zimę. Odwaga, żeby powiedzieć „nie” Mussoliniemu, była pierwszą prawdziwą postacią oporu wobec faszystów. Po zawieszeniu broni z 8 września 1943 roku żołnierzom i oficerom włoskim pojmanym przez oddziały niemieckie we Włoszech, Francji, Jugosławii i Grecji – było ich prawie 600 tysięcy! – wystarczyło podpisać oświadczenie lojalności wobec Mussoliniego, żeby opuścić obozy, ale należało również iść na służbę do jego armii. Mało kto to

zrobił, wybierając cierpienie głodu, zimna, chorób, okrutnego więzienia zamiast walki dla faszyzmu. Należy też dodać, że wśród tych, którzy się jednak na to zdecydowali, wielu skorzystało jedynie z szansy powrotu do Włoch, gdzie przy pierwszej okazji porzucali armię faszystowską. To również opór moralny. Dobrze o tym wiecie wy, Polacy, od kiedy na próbę rusyfikacji odpowiadaliście obroną języka, kultury, obyczajów. Dość długo patrzono na żołnierzy, którzy powiedzieli „nie”, jakby dokonali najwygodniejszego wyboru. Nie był taki. Trzeba było więcej odwagi, żeby pozostać w obozach, niż żeby podpisać deklarację lojalności i wrócić do Włoch, by znaleźć się w szeregach armii, którą tworzył Mussolini po 12 września 1943 roku. Wśród tych żołnierzy nie brakowało takich, którzy wcześniej znaleźli się w Rosji. Widzieli rozstrzeliwania i to, ile pogardy i nienawiści Niemcy żywili wobec Słowian. Był to świat, w którym ci włoscy żołnierze się nie odnajdywali. Gdy wracali do Włoch, władze faszystowskie troszczyły się o to, by przywożące ich pociągi nie zatrzymywały się na stacjach i jeździły nocą. Nie chcieli, by dzielili się spostrzeżeniami, dawali świadectwo. W końcu jednak docierali do rodzin, przyjaciół i opowiadali o tym, co zobaczyli. Mówili, jakie jest prawdziwe oblicze niemieckiego sojusznika, jak bardzo różni się od tego, co wpajała Włochom propaganda. Wielu żołnierzy oddziałów alpejskich – Włosi są z nich bardzo dumni – zostało potem partyzantami.

Jest Pan również autorem książki o Witoldzie Pileckim. Co Pana zainspirowało do jej napisania?

Chcę, by inni wiedzieli, że byli tacy ludzie. Mogą stanowić dobry przykład w czasach, w których dobrych wzorców jest naprawdę za mało. Ludzie szybko przyzwyczajają się do wolności, wydaje im się, że jest ona czymś oczywistym. Często dokonuję porównania między wolnością a wodą w domu. Dopiero kiedy jej zabraknie, rozumie się, jak jest ważna.

Dwa lata temu jeden z polskich profesorów zasugerował, że po wojnie Pilecki poszedł na współpracę z komunistami. Jak Pan to skomentuje?

Pilecki był torturowany, przesłuchiwany. Powiedział to, co i tak wiedziała bezpieka, nikogo nie zdradzając. Nikt z ubeków nigdy nie chwalił się tym, że zmusił go do nie wiadomo jakich wyznań. Prokurator wojskowy Czesław Łapiński, któremu po



Fot. Bundesarchiv/Hans Lachmann

► Wojska włoskie w ZSRR, lato 1942 roku

1989 roku groził proces, mógł przecież powiedzieć: co to za bohater, on też gadał, on też wszystko powiedział. To o czym mówimy? Gdyby Europejczycy mieli dziesięciu Pileckich, znalazłoby mniej koszmaru.

Uczestniczył Pan w akcji protestacyjnej przeciwko stosowaniu określenia „polskie obozy koncentracyjne”. Skąd, według Pana, taka terminologia się bierze?

Z powierzchowności. Czy Polacy stworzyli te obozy? Nie. Polacy siedzieli w obozach. Czy Polska jako państwo istniała, gdy te obozy były tworzone? Mamy coś podobnego we Włoszech. Risiera di San Sabba to znajdujący się w pobliżu Triestu obóz koncentracyjny. Ale przecież Triest nie był już wtedy częścią Włoch. Po 1943 roku został w pewien sposób anektowany przez III Rzeszę. Nikt nie mówi „austriackie obozy”. Tam zawsze mówi się „nazistowskie obozy”. Mówienie o „polskich obozach” jest mylne pod każdym względem – historycznym, moralnym i filologicznym również. Nie wolno tak mówić. Auschwitz to Auschwitz, nie Oświęcim. Przypomnijmy jeszcze określenie o „Polakach w Wehrmachcie”. Chodzi o Śluzaków, na ogół ludzi biednych, którzy nie mieli żadnego wyboru. To określenie wzięło się stąd, że byli to żołnierze dwujęzyczni – tym się wyróżniali. Warto by to poza Polską, a może również wśród Polaków, lepiej wyjaśnić. 🇺🇸

► Monte Cassino, widok współczesny



Fot. Maciej Foks

Chcemy się dowiedzieć, kim byli

Biologia jest nieubłagana. Żeby zidentyfikować kolejne ofiary totalitaryzmów, potrzebujemy materiału porównawczego od bliskich krewnych – mówią **Andrzej Ossowski** i **Marcin Zwolski** w rozmowie z Emilią Świętochowską

25 i 26 czerwca odbyła się w Białymstoku konferencja naukowa dotycząca poszukiwań ofiar zbrodni systemów totalitarnych. Czy skupiono się jedynie na historycznym aspekcie tego zagadnienia, czy potraktowano je szerzej?

Marcin Zwolski: Tematyka wystąpień podczas konferencji „Poszukiwania i identyfikacja ofiar zbrodni systemów totalitarnych. Doświadczenia polskie w kontekście europejskim” obejmowała wiele zagadnień, ponieważ obrady miały charakter interdyscyplinarny. Podobnie zresztą jak badania prowadzone obecnie w Polsce i w całej Europie. Poszukiwania miejsc pochówków i identyfikacja ofiar zbrodni totalitaryzmów wymagają współpracy archeologów, medyków sądowych, historyków, genetyków. Jeśli zależy nam na wymiernych efektach podejmowanych działań – a nikt nie ma wątpliwości, że tak właśnie jest – konieczna jest współpraca.

Jakie tematy poruszali zaproszeni goście?

M.Z.: Pierwsza część konferencji była poświęcona poszukiwaniom historycznym: gromadzeniu dokumentacji, kwerendum i zbieraniu relacji świadków. Ten etap jest bardzo istotny – zanim wbijemy w ziemię pierwszą łopatę, musimy zdobyć jak najwięcej informacji, które zawężą, skonkretyzują nam pole badań. To często praca żmudna i czasochłonna, ale niezbędna do dalszych etapów. Dyskutowali o tym głównie historycy, nie tylko zresztą z Polski, lecz także z Litwy i Rosji.

Sesja druga była poświęcona badaniom terenowym. Uczestniczyli w niej przede wszystkim archeolodzy, bo właśnie na nich spoczywa ciężar realizacji kolejnego etapu prac poszukiwawczych. Ich zadanie polega na tym, aby – po otrzymaniu opracowań sporządzonych przez historyków – dokonać weryfikacji terenowej tychże ustaleń. Najpierw są to prace sondażowe przy wykorzystaniu pełnego warsztatu pracy archeologa, a później, po zlokalizowaniu miejsca pochówku, stopniowo jest odkrywany cały teren.

Praca archeologów rzadko kojarzy się z historią najnowszą. Większość ludzi, mówiąc „archeologia”, myśli raczej o czasach dużo wcześniejszych.

M.Z.: To prawda. Chciałbym podkreślić, że badania archeologiczne dotyczące dziejów ostatnich kilkudziesięciu lat to nowy



dr n. med. Andrzej Ossowski (ur. 1978) – biolog i kryminalistyk, zajmuje się genetyką sądową, kryminalistyką i antropologią sądową. Jest kierownikiem Zakładu Genetyki Sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie, pomysłodawcą i szefem Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów. Uczestnik prac poszukiwawczo-ekshumacyjnych około 10 tys. osób z okresu II wojny światowej i powojennego w Polsce i Europie; przeprowadził identyfikację około tysiąca osób.

trend. Coraz więcej archeologów interesuje się zastosowaniem metod swojej pracy w badaniach nad historią najnowszą. Z naszego punktu widzenia jest to bardzo pozytywne zjawisko. Wydaje mi się, że jest to dziedzina, której możliwości nie są jeszcze w pełni wykorzystywane. Warto zauważyć, że badacze specjalizujący się w archeologii totalitaryzmu spotykali się już kilka razy zarówno w Polsce, jak i za granicą. Odbyły się też dziesiątki konferencji, podczas których dyskutowali historycy zajmujący się tą problematyką. Nie było jednak jeszcze wspólnego spotkania przedstawicieli tych dwóch, a także innych dyscyplin nauki i okazji do tak szerokiej wymiany poglądów czy refleksji, jak podczas konferencji, o której mówimy. Podzielenie się doświadczeniami przez wielu różnych specjalistów było niezwykle cenne i kształtujące dla wszystkich.



Fot. Paweł Niziołek

dr Marcin Zwolski (ur. 1977) – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Białymstoku. Badacz powojennych represji komunistycznych i dziejów opozycji w końcowym okresie PRL. Opublikował m.in. *Więzienie w Białymstoku w latach 1944–1956* (2011) i *Śladami zbrodni okresu stalinowskiego w województwie białostockim* (2013).

Ostatnia część konferencji dotyczyła medycznego aspektu poszukiwań.

M.Z.: Tu głos zabierali antropolodzy, medycy sądowi i genetycy, którzy uczestniczą we wszystkich pracach. Ich rola jest najważniejsza na ostatnim etapie. Można to porównać do sztafety: najpierw pracują historycy, zbierając dokumentację danego obszaru, później pałeczkę przejmują archeolodzy, którzy odkrywają jamy grobowe, wydobywają z nich szczątki, którymi następnie zajmują się antropolodzy i genetycy. To oczywiście pewne uproszczenie, bo – jak już wspomniałem – najlepiej jeśli od początku do końca prac poszukiwawczych, przy wszystkich czynnościach jest obecny cały zespół.

Wspomniał Pan o genetykach. Jaka jest ich rola w procesie poszukiwań ofiar zbrodni totalitaryzmów?

M.Z.: Można śmiało powiedzieć, że w genetyce pokładamy teraz największe nadzieje, jeśli chodzi o identyfikację ofiar,

bo tylko ta dziedzina medycyny pozwala przywrócić im tożsamość. Pobierane ze szczątków próbki DNA umożliwiają identyfikację konkretnej osoby, pod warunkiem, że mamy materiał porównawczy. Poszukiwania ofiar zbrodni systemów totalitarnych, jeśli chodzi o prace terenowe i historyczne, nie tylko w Polsce, ale w całej Europie Środkowo-Wschodniej, przebiegają podobnie i możemy tu mówić o naprawdę znaczących osiągnięciach. Wspominali zresztą o tym referenci z takich krajów, jak Rosja, Litwa, Czechy, Rumunia, Chorwacja, Holandia czy Izrael. Natomiast identyfikacja ofiar przebiega dużo trudniej i wolniej – i jest to również zjawisko charakterystyczne dla wszystkich państw, które takie prace prowadzą.

Czy zdarzały się przypadki zidentyfikowania kogoś bez sięgania do badań genetycznych?

M.Z.: Owszem, zdarzały się sytuacje, w których udało się zidentyfikować ofiarę tylko na podstawie znaleziska czy wiedzy historycznej. Są to jednak sytuacje tak rzadkie, że w żadnym razie nie można tu mówić o jakiejś regule. Podczas ekshumacji przy Areszcie Śledczym w Białymstoku tylko raz natrafiliśmy na pochówek trumienney z imieniem i nazwiskiem ofiary na wieku (pochówki trumienne mieliśmy dwa, ale w drugim nie było danych personalnych). Był to jedyny przypadek identyfikacji pozagenetycznej na ponad 350 znalezionych na tym terenie ofiar. Oczywiście, nawet w tej sytuacji postaramy się potwierdzić te informacje genetycznie.

Jednym z celów konferencji było ukazanie doświadczeń polskich w kontekście europejskim. Jak zatem wypadamy na tle innych krajów?

M.Z.: Nie da się ukryć, że Polska jest dzisiaj liderem w tej dziedzinie. Należy jednak podkreślić, że w naszym kraju prace zaczęły się dość niedawno, inne zaś państwa rozpoczynały je znacznie wcześniej i dotyczy to całej Europy, a nie tylko naszego regionu. Na pewno duże osiągnięcia ma Rosja, sukcesami może się również pochwalić Litwa. Wiele wysiłku w poszukiwanie ofiar systemów totalitarnych włożyły kraje bałkańskie, które stanowią jednak odrębny temat, bo tam odnajdywane są pola grobowe z tysiącami ofiar. Skala popełnianych zbrodni i liczba ofiar jest zatem nieporównywalna. Wspomniałem już, że podczas prac w Białymstoku odnaleźliśmy do tej pory ponad 350 szkieletów, a jest to w skali naszego kraju liczba porażająca. W innych krajach można zaobserwować swego rodzaju wyhamowanie czy wyciszenie badań. Ma na to wpływ wiele czynników politycznych, ekonomicznych i społecznych. Takiej sytuacji w Polsce nie ma. To, co nas wyróżnia, to na pewno największa w tej chwili intensywność prac. Nie da się też uciec od tak prozaicznych problemów jak finanse. Wydaje się, że jest to wspólny mianownik tego typu badań, niezależnie od tego, gdzie są prowadzone: prace są bardzo kosztowne i chyba ekipy we wszystkich krajach borykają się z brakiem funduszy. W Polsce na szczęście jest teraz dobry czas na taką aktywność. Prace trwają, nie są blokowane ani z przyczyn finansowych, ani politycznych. ➤

Andrzej Ossowski: Zaangażowanie instytucji państwowych w prace poszukiwawcze jest bardzo istotne. W Rosji na przykład nie ma instytucjonalnej ochrony dla badań, o których rozmawiamy. Od lat prowadzą je wolontariusze, a ponadto zbyt często na pierwszy plan wysuwają się cele polityczne, a nie naukowe. Tymczasem dla nas, naukowców, genetyków, nie ma czegoś takiego jak wartościowanie, ocena ofiar. Wszyscy zasługują na to, aby przywrócić im tożsamość i zapewnić godny pochówek. Do historyków należy przedstawienie okoliczności, w jakich ci ludzie zginęli. My chcemy się dowiedzieć, kim byli.

Czy podczas konferencji wskazano nowe pola działań w dziedzinie medycyny albo genetyki w badaniach nad historią najnowszą?

A.O.: Chciałbym podkreślić, że interdyscyplinarny charakter obrad był niezwykle ważny. Po pierwsze, możliwość wymiany doświadczeń jest zawsze potrzebna i cenna. Po drugie, zaproszenie specjalistów z tak różnych dziedzin wpisało się w nurt europejski. Ośrodki naukowe z Wielkiej Brytanii czy Norwegii od lat tworzą zespoły naukowców, których wiedza i warsztat nawzajem się uzupełniają, oni ze sobą nie rywalizują. Taka praca jest bardzo efektywna, więc trend do budowania grup interdyscyplinarnych jest w Europie stały. Wynika on nie tylko z potrzeb konkretnych badań, lecz także z rozwoju nauki i pewnej zmiany pokoleniowej, co – nie tylko w nauce przecież – jest czymś nieuchronnym. Drugim nurtem wartym zauważenia są próby identyfikacji pojedynczych osób. Każda zidentyfikowana z imienia i nazwiska ofiara zbrodni totalitaryzmu jest sukcesem, ma ogromny emocjonalny przekaz. W Europie zainteresowanie tym tematem jest ogromne, w Polsce chyba jeszcze wciąż nieco mniejsze.

Konferencja odbywała się w czasie, kiedy przy białostockim Areszcie Śledczym trwa kolejny etap ekshumacji. Obaj Panowie od początku biorą w nich udział. Czy można już dokonać jakichś podsumowań?

M.Z.: Prace na terenie aresztu w Białymstoku trwają od 2013 roku. Podczas etapu zakończonego w lipcu natrafiliśmy na siedemnaście jam grobowych, z których podjęto szczątki siedemdziesięciu osób. Od momentu rozpoczęcia prac przy areszcie udało nam się odnaleźć w sumie 359 ofiar. Na ostatnim etapie, w porównaniu do poprzednich, trafiliśmy procentowo na dużo więcej ofiar ze śladami postrzałów. Były też dwa przypadki dość szczególne. Jeden

to mężczyzna, który został pochowany w mundurze wojskowym i miał przy sobie znaczną ilość amunicji. Odnalezienie jego szczątków potwierdza to, co wcześniej wynikało z dokumentów, mianowicie, że na terenie aresztu grzebano nie tylko zamordowanych tam więźniów. Pochowani tam są również ludzie, których zwłoki przywożono z innych miejsc, m.in. z akcji terenowych UB lub MO. Więźniów nie mógłby mieć przy sobie takiej ilości amunicji, w dodatku poupychanej po kieszeniach, nieukrytej, bo zostałyby znalezione podczas rewizji i skonfiskowane. Drugi przypadek to kobieta pochowana w trumnie. Zgodnie z umieszczonym na niej napisem są to najprawdopodobniej szczątki Augustine Decoux. W latach trzydziestych XX wieku pracowała ona w Białymstoku jako guwernantka i nauczycielka języka francuskiego. Będziemy się starali dotrzeć do jej rodziny, o odnalezieniu szczątków poinformowaliśmy ambasadę francuską. Każdy etap prac czymś nas zaskakuje, nie możemy przyjmować żadnych prostych założeń. Znaków zapytania jest bardzo wiele, a trudno też jest z całą pewnością stwierdzić, że zakończenie prac przyniesie odpowiedź na wszystkie pytania, które sobie stawiamy.

Czy wiadomo, kiedy zakończą się ekshumacje przy Areszcie Śledczym?

M.Z.: Nie. Przed nami dość trudny, jeśli nie najtrudniejszy z dotychczasowych etapów badań. Będziemy eksplorować teren, który nie jest wprawdzie tak rozległy jak poprzedni, ale wydaje się najbardziej skomplikowany. Jest on w największym stopniu nasycony dużymi, zbiorowymi jamami grobowymi, dlatego też spodziewamy się, że niektóre z nich będą wkopane w inne. Już w czerwcu archeolodzy pracowali nad odkrywaniem jam, które były wkopywane w poprzednie. Jest to utrudnienie, z którym sobie poradzimy, ale niewątpliwie może się ono przyczynić do wydłużenia prac.

Białostockie pole śmierci przy Areszcie Śledczym jest przerażająco duże. Ogromna liczba znalezionych tu ofiar nasuwa pytanie: czy kiedyś poznamy je z imienia i nazwiska?



A.O.: Wszystko zależy od tego, czy będziemy dysponowali materiałem porównawczym od krewnych ofiar. W Białymstoku identyfikacja jest trudna z kilku powodów. Ofiary pochodzą z różnych okresów: zarówno z czasów wojny, jak i lat powojennych, nie mamy pełnej listy osób, które mogły tu stracić życie, poza tym nie można wykluczyć, że będą to osoby różnych narodowości. Jednocześnie jednak szanse na przywrócenie tym ludziom ich tożsamości są realne. Jest to możliwe dzięki temu, że w Polskiej Bazie Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów materiał pobrany od członków rodzin, których krewni mogli tracić życie w białostockim więzieniu, stanowi większość. To wynik nie tylko zainteresowania rodzin. Historycy i prokuratorzy z Oddziału IPN w Białymstoku sami dotarli do wielu krewnych ofiar. Ich zaangażowanie jest tu niezwykle istotne. Warto zaznaczyć, że badania identyfikacyjne w Białymstoku są największym zadaniem genetyki sądowej prowadzonym obecnie w Europie.

Czym jest Polska Baza Genetyczna Ofiar Totalitaryzmów?

A.O.: Baza powstała na mocy porozumienia zawartego między Instytutem Pamięci Narodowej a Pomorskim Uniwersytetem Medycznym w Szczecinie. Jednym z głównych zadań tej instytucji jest zebranie jak największej ilości materiału porównawczego DNA od krewnych ofiar, które straciły życie po 1939 roku. My ten materiał przechowujemy, aby w przyszłości, w miarę odnajdywania kolejnych ofiar, móc przeprowadzić badania porównawcze. Tylko w taki sposób możemy przywrócić pomordowanym imię, nazwisko, godność. Tylko tak możemy dać ich krewnym możliwość zapalenia świeczki na grobie bliskiej osoby.

Dlaczego tak ważne jest, aby do bazy szybko zgłaszały się rodziny ofiar?

A.O.: Może to zabrzmieć brutalnie, ale biologia jest nieubłagana. Za kilkanaście lat będziemy już mogli pobierać materiał genetyczny tylko od dalszych krewnych. A im bliższe pokrewieństwo, tym łatwiej jest zidentyfikować daną osobę. Na przykładzie Białegostoku widać dobrze, że osób blisko spokrewnionych z ofiarami jest niewiele, jest to najmniejsza grupa. Największa to osoby o dalszym stopniu pokrewieństwa.

Z genetycznego punktu widzenia, kto jest bliskim, a kto dalszym krewnym?

A.O.: Genetycznie najbliżsi krewni to rodzice i dzieci. Nie pamiętam przypadku – ani z prac w Białymstoku, ani z warszawskich Powązek – żebyśmy dysponowali materiałem porównawczym od żyjących rodziców ofiary. Najczęściej mamy do czynienia z materiałem pobieranym od rodzeństwa, a to już dalsze pokrewieństwo. W wielu przypadkach udało nam się zidentyfikować ofiary dzięki DNA dzieci. W Białymstoku znaczną część ofiar stanowili ludzie młodzi, dlatego mamy nadzieję, że ich dzieci jeszcze żyją. Z tego powodu tak

ważne jest, aby z informacją o naszej działalności docierać do jak największej grupy ludzi.

Jak – w skrócie – wygląda praca Pańskiego zespołu?

A.O.: Podjęte szczątki badają najpierw antropolog i medyk sądowy, którzy dokonują odpowiedniej analizy i sporządzają opis. Po zakończeniu badań antropologicznych i medycznych pobieramy materiał w postaci fragmentów kostnych, który później jest badany laboratoryjnie. I to właśnie ten etap zajmuje najwięcej czasu. Badania terenowe można zobaczyć. Są, jeśli można to tak określić, dość spektakularne. A później następuje żmudny, czasochłonny proces prac genetycznych w laboratoriach. Gdybyśmy mieli to przedstawić w odsetkach, to prace terenowe zajmują jakieś 15 proc. całości badań. Reszta rozgrywa się w laboratorium.

Czy istnieje ryzyko pomyłki w identyfikacji ofiar?

A.O.: Przy zachowaniu wszystkich procedur nie ma możliwości błędnej identyfikacji. Ale właśnie z tego powodu prace laboratoryjne są tak czasochłonne. Wymagają bowiem wielokrotnego powtarzania analiz.

Ile osób udało się zidentyfikować do tej pory?

A.O.: Około pięćdziesięciu w ramach projektu PBGOT. Dotyczy to badań prowadzonych w Polsce. Całościowo nasz zespół zidentyfikował przeszło tysiąc ofiar wojen i systemów totalitarnych.

Czy jest coś charakterystycznego, co Pan jako genetyk dostrzega na terenie Białostocczyzny i co jest istotne przy identyfikacji znalezionych tu ofiar?

A.O.: Populacja na tym terenie jest dość specyficzna. Są to osoby, które od bardzo długiego czasu zamieszkują niewielki obszar i są blisko ze sobą spokrewnione. Powoduje to zubożenie puli genowej. Jest to w naszej pracy swego rodzaju pułapka, bo z jednej strony komplikuje proces identyfikacji przez konieczność przebadania większej liczby cech genetycznych, żeby te osoby zróżnicować. Z drugiej strony udaje nam się wyodrębnić dalszych krewnych wśród badanych ofiar. A to naprowadza na trop kolejnych osób i zwiększa szansę na identyfikację następnych ofiar.

Najistotniejszym elementem jest zatem zgromadzenie jak największej ilości materiału porównawczego?

A.O.: Tak. Dlatego model, który funkcjonuje w Białymstoku, jest tak efektywny. Bo oprócz naszej pracy mamy zaangażowanie instytucji, historyków, prokuratorów i mediów w poszukiwanie krewnych ofiar i docieranie do nich z informacją o tej działalności. To po prostu zwiększa szansę na sukces. ■

Niemiecka odpowiedzialność

Gerhard Gnauck

Dla ogromnej większości Niemców jest dziś jasne, kto odpowiada za II wojnę światową. Wiedza o cierpieniach Polaków i ich heroicznej walce z okupantem wciąż jednak z trudem przebija się do świadomości społecznej.

Co wiedzą Niemcy o wybuchu wojny? Wyciągnąłem z szafy mój szkolny podręcznik historii dla czterech ostatnich klas przed maturą – tom czwarty *Zeiten und Menschen* (Czasy i ludzie), poświęcony historii najnowszej od roku 1917 do teraźniejszości. Wydrukowany w 1978 roku w RFN, 276 stron. Kartkuję go i odświeżam pamięć. Po 24 stronach na temat różnych aspektów reżimu narodowosocjalistycznego następuje rozdział „Polityka zagraniczna Hitlera” – 18 stron z dobrze dobranymi zdjęciami i amerykańską karykaturą Führera jako „anioła pokoju”. W poprzek na dwóch stronach – obraz Picassa *Guernica*, poświęcony ofiarom nalotu na to miasto w trakcie hiszpańskiej wojny domowej. Aż trzy fotografie dotyczą układu monachijskiego. Jedna z nich pokazuje brytyjskiego premiera Neville’a Chamberlaina, jak w 1938 roku podnosi kilka białych kartek, przypuszczalnie z tekstem porozumienia, i woła: „Uratowałem pokój naszych czasów”. Ten świstek papieru wygląda śmiesznie, jak papierowy samolot. Już wówczas, gdy chodziłem do szkoły, zwróciło to moją uwagę.

Co podręcznik mówi następnie o Polsce? Wspomina się na przykład, że Hitler wykorzystał „mało przychylną polską politykę wobec mniejszości” (chodzi o mniejszość niemiecką) jako pretekst do przygotowania swojej agresji. Jest również wzmianka o tym, że latem 1939 roku polski rząd „bardzo przeceniał siły swojego kraju”, podczas gdy znajdował się w trudnym położeniu między Berlinem a Moskwą. Pakt Hitler–Stalin (w Niemczech pakt z sierpnia 1939 roku nosi nazwę od obu dyktatorów; nazwa

► 15 lipca 2015 roku sąd w Lüneburgu skazał Oskara Gröninga, księgowego z Auschwitz, na 4 lata więzienia; wyrok miał pokazać, że Niemcy nie mają wątpliwości, kto siał nieprawość w latach 1939–1945

„pakt Ribbentrop–Mołotow” niczego nie mówi, tych dwóch panów nikt zresztą nie będzie wkrótce pamiętał) jest opisywany z detalami, łącznie z fotografią i karykaturą. Jest mowa o „czwartym rozbiórce Polski”.

Dalej są przedstawiane zwłaszcza konstelacja polityczna i działania wojenne w całej Europie. Pojawia się długi akapit o „okrucieństwie” okupacji w Polsce. Później jedna strona o „mordzie na europejskich Żydach”, do tego jedna strona ze zdjęciami – z Warszawy i Auschwitz.

Sądzę, że w liceum im. abp. Willigisa w Moguncji odebrałem dobrą edukację. Gdy nasz nauczyciel historii, pan Binninger, opowiadał o niemieckich mężczyznach i kobietach, którzy – niekiedy jako oficerowie – stawili opór reżimowi Hitlera, jego oczy promieniały, a my słuchaliśmy z rozkoszą. Ci ludzie do dziś (słusznie zresztą) są wzorem dla społeczeństwa niemieckiego. Odwaga, dylematy moralne i konspiracyjne działania oficerów skupionych wokół Clausa von Stauffenberga pozwalają zrozumieć, dlaczego ten temat zdołał zachwycić masową widownię – przeniesiony na ekran w amerykańskim filmie *Walkiria* (2008) z Tomem Cruise’em w roli głównej.

Niemiecka wina, niemieckie cierpienia

Dla większości Niemców jest w ogólnych zarysach jasne, kto siał nieprawość w latach 1939–1945. Trudno wyobrazić sobie kontrowersyjną debatę na ten temat – taką jak chociażby o I wojnie światowej. W przypadku wydarzeń sprzed stu lat australijski historyk Christopher Clark niedawno na nowo rozdzielił ciężar winy, co pokazuje już tytuł jego książki *The Sleepwalkers. How Europe Went to War in 1914* (Lunatycy. Jak Europa poszła na wojnę w roku 1914). Czasem jednak istniała (i istnieje) pokusa, by kompensować niemiecką winę za II wojnę światową inną winą. Albo inaczej rzecz ujmując: by wpisać niemiecką winę w szerszy kontekst. Dotyczyło to przede wszystkim wydarzeń przed rokiem 1939 i po 1945 roku. Czynił tak np. Gerd Schultze-Rhonhof, były generał Bundeswehry, w swojej – recenzowanej (kry-

tycznie) również w największych gazetach – książce *1939. Der Krieg, der viele Väter hatte* (1939. Wojna, która miała wielu ojców). Przyczynę wybuchu wojny generał widzi w eskalacji agresywnej polityki ze strony różnych państw, w tym Polski. Takie poglądy podziela jednak tylko niewielka mniejszość.

Inną wagę ma wskazywanie na cierpienia Niemców w prowincjach wschodnich Rzeszy, bo dotyczy to ludności cywilnej. W Polsce (w granicach z 1945 roku) ponad 8 mln Niemców musiało opuścić swoje strony ojczyste, a w całej Europie Środkowej i Wschodniej – ok. 12 mln. Ta tragedia jest znana również wielu Polakom, ale nie jej rozmiary, bo w publikacjach polskich często była mowa „tylko” o trzech milionach tych, którzy zostali „oficjalnie” przesiedleni zgodnie z postanowieniami konferencji poczdamskiej. Ale – wszystko jedno, czy mówiono o tym chętnie, czy nie – ucieczka i wypędzenie Niemców ze wschodu – tak samo jak podział Niemiec – mogą być postrzegane jako rodzaj kary za to, co wcześniej Niemcy uczynili innym.

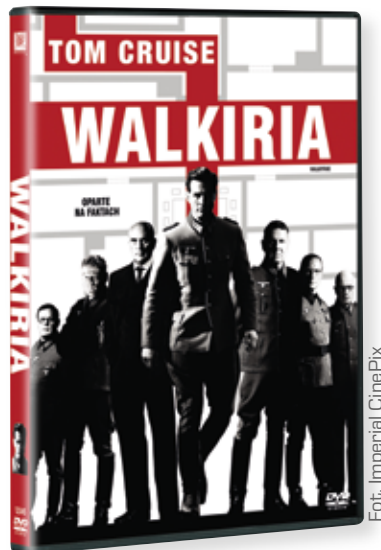
Niemiecka historia powojenna jest również historią rozliczeń okresu narodowego socjalizmu i wojny w coraz to nowszych odsłonach. Nie miejsce tu na przedstawienie wszystkich szczegółów. Zaczniemy od roku 1985, gdy ówczes-

ny – zmarły kilka miesięcy temu – prezydent RFN Richard von Weizsäcker wygłosił ważne przemówienie z okazji rocznicy zakończenia wojny. Spróbował w nim wyjść z kwadratury koła. Rok 1945 był jego zdaniem mniej „katastrofą”, a bardziej „wyzwoleniem”. Przemówienie Weizsäckera było kamieniem milowym; mimo to w Niemczech słowo „wyzwolenie” nie przyjęło się na dobre, prawdopodobnie właśnie dlatego, że wydarzenia roku 1945 były nazbyt bolesne.

Mit rycerskiego Wehrmachtu

Już w zjednoczonych Niemczech wielką rolę odegrały dwie (prezentowane w latach 1995–1999 i 2001–2004) wystawy pt. „Zbrodnie Wehrmachtu”. Po raz pierwszy bowiem pokazały wyraźnie, że sprawcami zbrodni były nie tylko gestapo i SS. Te wędrujące przez Niemcy i Austrię ekspozycje spotkały się z czymś, co dzisiaj z pewnością byłoby już nie do pomyślenia – z ostrymi demonstracjami przeciwników i zwolenników, a nawet zamachem bombowym. Koncentrowały się na zbrodniach z udziałem Wehrmachtu popełnionych w ZSRR i Jugosławii. Gdy jednak Bogdan Musiał i inni historycy wykazali w 1999 roku, że część egzekucji udokumentowanych na planszach pokazuje zbrodnie NWKD, pierwsza z wystaw została wycofana.

Ważnym uzupełnieniem była kilka lat później ekspozycja „Z największą brutalnością...« Zbrodnie Wehrmachtu w Polsce, wrzesień – październik 1939 r.”. Została ona przygotowana przez Jochena Böhlera, wówczas pracownika Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie, we współpracy z IPN. Społeczeństwo niemieckie stopniowo zaczynało rozumieć, że wojna i okupacja na wschodzie Europy miały inną, dużo gorszą twarz niż na zachodzie. Kolejne nieporozumienie polega na tym, że w dużej mierze jest dostrzegany tylko wysiłek wojskowy „wielkich” aliantów, a więc Sowieców, Brytyjczyków, Amerykanów i w najlepszym razie również Francuzów, podczas gdy Polacy ze swoim wkładem rozdzielonym na wiele frontów i walkę w podziemiu często nie są zauważani. ▶



▶ Claus von Stauffenberg jest dziś wzorem dla społeczeństwa niemieckiego



► Wystawa „Zbrodnie Wehrmachtu” (tu w wersji z 2001 roku) uświadomiła Niemcom, że sprawcami zbrodni były nie tylko gestapo i SS

Zbrodnie sowieckie – do niedawna tabu

Wracając do wystaw: to, że zdjęcia zbrodni sowieckich zostały przez pomyłkę wykorzystane jako dowody zbrodni niemieckich, jest w pewnym sensie symboliczne. Niemcom do dziś nie jest łatwo mówić o zbrodniach innych państw. Dotyczy to nawet ZSRR i przejawia się w tym, że związek między wybuchem wojny i paktem Hitler–Stalin jest często przemilczany. Kto twierdzi, że Niemcy i ZSRR wspólnie rozpętały II wojnę światową, szybko staje się w Niemczech podejrzany o to, że chce relatywizować niemiecką winę. Również oficjalny dyskurs niemiecki jest do dziś bardzo ostrożny. Być może 75. rocznica podpisania

paktu była znakiem, że to się zmienia. Tego dnia, w sierpniu 2014 roku, kanclerz Angela Merkel udała się do Kijowa, co było wyraźnym znakiem solidarności z Ukrainą. Na temat rocznicy paktu Hitler–Stalin powiedziała wówczas krótko, że dziś już Niemcy nie biorą udziału w sianiu nieprawości.

Jeszcze parę słów o Merkel. Na Westerplatte 1 września 2009 roku miała pełne godności wystąpienie. Mówiła o roli Niemiec – i tylko Niemiec – w 1939 roku. Ale najważniejszym słowem, jakie wypowiedziała, nie była „wina”. Jeśli dobrze pamiętam, używała przede wszystkim słowa „odpowiedzialność” (w sensie odpowiedzialności Niemiec z powodu przeszłości i wobec przyszłości). Był to

► Świadomość niemieckiej winy nie wyklucza upamiętnienia własnych, cywilnych ofiar wojny – przekonuje Gerhard Gnauck



Fot. PAP/EPA/Wolfgang Kumm

Fot. East News

subtelny sygnał, że Niemcy występują dziś na arenie międzynarodowej z większą pewnością siebie.

Dystans do historii?

Niemcy roku 2015 z pewnością nie są narodem, który boryka się z głębokimi, ostrymi traumami. Jeśli miarą tego są dobra sytuacja gospodarcza, rosnące wpływy i popularność ich kraju w świecie, to można by powiedzieć: Niemcom powodzi się tak dobrze jak rzadko kiedy w ich historii. Dzięki temu łatwiej jest im – 70 lat po 1945 roku – zyskać spokojniejszy, bardziej „normalny” stosunek do swojej historii, nie kwestionując przy tym tego, że II wojna światowa była obłędem, a terror okupacyjny i Holocaust – gigantycznymi zbrodniami.

Równocześnie jednak istnieje potrzeba upamiętnienia własnych (cywilnych) ofiar wojny i okresu powojennego, a więc ofiar wypędzeń (w Polsce zwykle określanych mianem wysiedleń) i bombardowań alianckich, którym rozgłos nadał m.in. pisarz Winfried Georg Seebald.

Pojawiają się przy tym zupełnie nowe, łagodniejsze formy obchodzenia się z przeszłością – właśnie z reżimem narodowosocjalistycznym: satyra i slapstick. Trzy lata temu wielki sukces odniosła powieść *Er ist wieder da* (*On wrócił* – wyd. polskie 2014). Autorem jest Timur Vermes, syn Węgry zbiegłego do Niemiec w 1956 roku. W tej powieści Hitler budzi się w 2011 roku w Berlinie, próbuje się zorientować w nowym otoczeniu i szybko staje się gwiazdą popkultury. Chociaż jednak „zmarłychwstały” Hitler wspomina w którymś momencie o kampanii wrześniowej 1939 roku, satyra jest wymierzona w postać „Führera” i w dzisiejsze społeczeństwo medialne, a nie w wojnę z jej okrucieństwami, które raczej nie mogą być przedmiotem drwin.

Jak zapamiętają wojnę wnuki pokolenia, które ją przeżyło? Ich zainteresowanie tą tematyką to również nowe zjawisko. Niedawno berliński dziennik „Tagesspiegel” napisał, że od dwóch, trzech lat w Archiwum Federalnym daje się zauważać niesłychany wzrost liczby zapytań dotyczących roli włas-

nych przodków w czasach III Rzeszy. Dzisiejsi dorośli chcą poznać „swoją” historię (rodzinną) i zarazem nie muszą już się jej bać. Książka *Wir Kriegsenkel* (My, wnuki wojny) Sabine Bode wywołała jednak ostatnio nową dyskusję. O ile matki i ojcowie, którzy w 1945 roku byli już dorośli, mieli traumę z powodu wojny, bombardowań, wypędzeń, biedy i utraty najbliższych i tym samym silnie wpłynęli również na swoje dzieci, o tyle można postawić tezę, że te z kolei dzieci przekazały swoim potomkom trudne dziedzictwo. Psychoterapeuci, których w Niemczech są tłumy, z pewnością jeszcze długo będą się zajmować tym tematem.

Fot. PAP/Barbara Ostrowska



Po pierwsze: edukacja

A co z prawnukami i praprawnukami? Nauka historii pozostanie rzeczą ważną – przede wszystkim dlatego, że musi się zmierzyć z obrazami historii funkcjonującymi w popkulturze i z wielkim brakiem zainteresowania wszystkim, co minione. Dziennik „Badische Zeitung”, wydawany w dalekim Fryburgu w południowo-zachodnich Niemczech, zainicjował niedawno cykl krótkich tekstów „Wytlumacz mi to”. Jest on skierowany do czytelników mających mniej niż 14 lat. O początku II wojny światowej czytamy tam: „Wówczas niemieccy żołnierze zaatakowali Pol-

► W czasie wystąpienia na Westerplatte w 2009 roku kanclerz Niemiec Angela Merkel (na zdjęciu m.in. z Donaldem Tuskiem) mówiła dużo o niemieckiej odpowiedzialności

skę. W Niemczech panowali bowiem narodowi socjaliści, którzy głosili idee pogardy wobec innych ludzi. Chcieli zdobyć ten kraj, by osiedlić tam Niemców i wypędzić Polaków. W ten sposób rozpoczęła się II wojna światowa, która pozostawiła w wielu krajach tej ziemi straszliwe spustoszenia. Niedługo po Niemcach ze wschodu weszli do Polski Rosjanie – wcześniej uzgodnili to potajemnie z Niemcami. Potem Niemcy napadli również na Rosjan. Z ich [Niemców] winy bardzo wielu ludzi

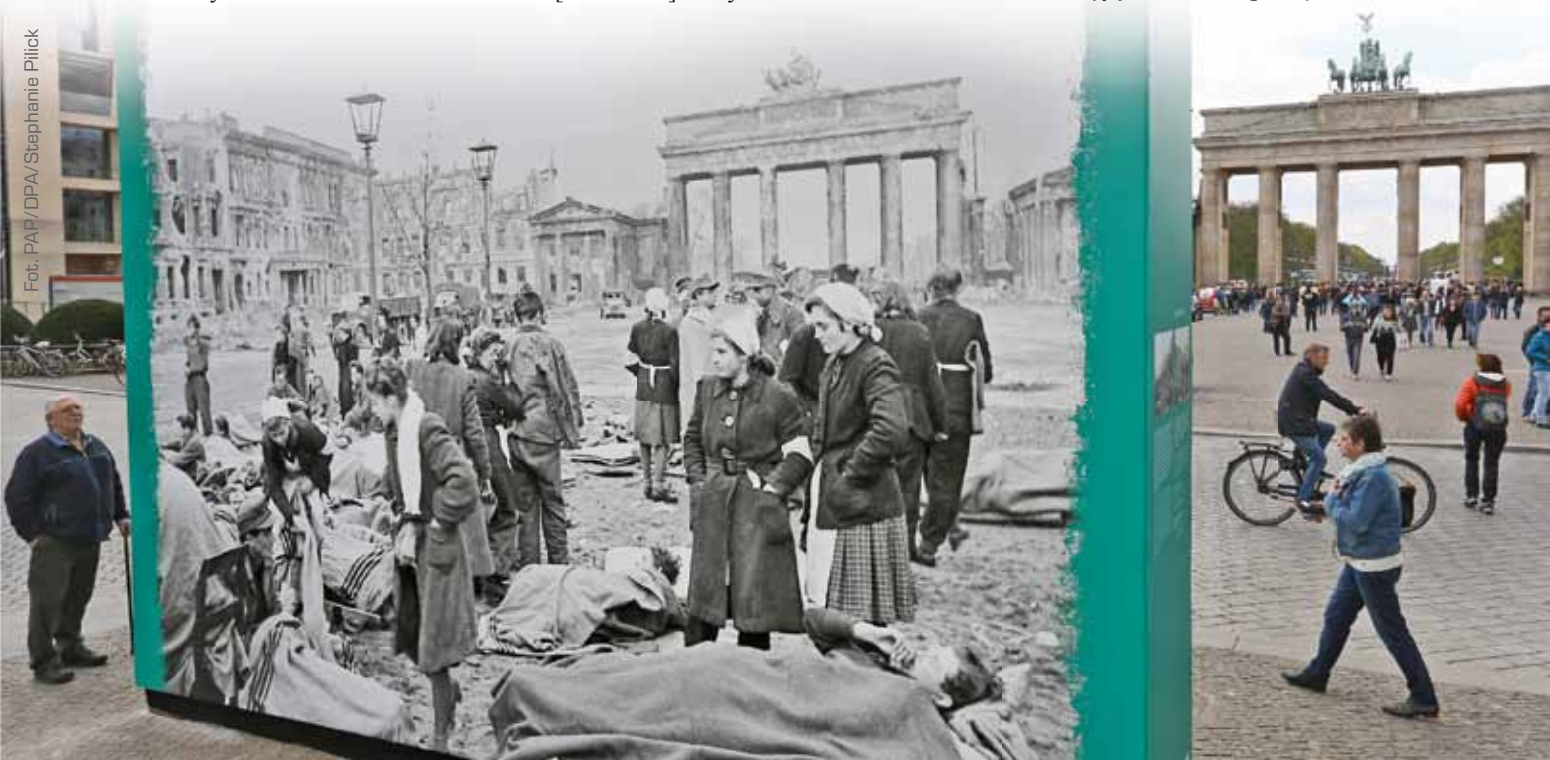
umarło przez wojnę i mordy, szczególnie w Polsce. Niektórzy nazywają to więc cudem, że 75 lat później Polacy i Niemcy wspólnie, jako przyjaciele, upamiętniają [II] wojnę światową”.

Artykuł „Badische Zeitung” to dobry przykład tego, jak w niewielu słowach można zdumiewająco precyzyjnie opowiedzieć wielką historię. 🇺🇸

dr Gerhard Gnauck – historyk, warszawski korespondent dziennika „Die Welt”, autor m.in. książki *Marcel Reich-Ranicki. Polskie lata* (2009)

Przekład z języka niemieckiego: Filip Gańczak

Fot. PAP/DPA/Stephanie Plick





Sceptycyzm „wyzwolicielei”

Sławomir Kalbarczyk

Raporty NKWD pokazują, że – mimo wysiłków kremlowskiej propagandy – wielu „ludzi radzieckich” bez entuzjazmu przyjęło napaść Armii Czerwonej na Polskę we wrześniu 1939 roku.

Gdyby Związek Sowiecki był krajem demokratycznym, należałoby pisać po prostu o stosunku sowieckiej opinii publicznej do inwazji na Polskę. Problem w tym, że w totalitarnym państwie Stalina, w którym rządził strach przed represjami, „opinia publiczna”, tak jak ją dzisiaj rozumiemy, właściwie nie istniała. Najpotężniejszy cios zadała jej masakra z końca lat trzydziestych, zwana wielką czystką (ponad 700 tys. rozstrzelanych), po której mało kto odważał się mówić to, co naprawdę myśli – szczególnie publicznie.

Unicestwienie opinii publicznej nie oznaczało, że władza sowiecka nie oczekiwała od „ludzi radzieckich” po-

siadania poglądów. Przeciwnie: „człowiek radziecki” bezwzględnie powinien je mieć, jednak pod warunkiem, że całkowicie pokrywały się one z poglądami rządzących. Co więcej, wymagano, by bezwarunkowej afirmacji polityki partii i państwa dokonywano publicznie – na organizowanych przez władze zebraniach, pochodach i masówkach. Część „ludzi radzieckich” czyniła to z prze-

konania, część – z przymusu. Ci ostatni, może nie wszyscy, musieli zdawać sobie sprawę z tego, że wypowiedanie opinii sprzecznych z obowiązującą linią może mieć fatalne skutki. Oslawiony paragraf 58 sowieckiego kodeksu karnego uznawał bowiem za jedno z przestępstw „kontrewolucyjną agitację”, co oznaczało, że właściwie każdą krytyczną wypowiedź można było sklasyfikować jako

„Rząd Radziecki polecił [...] Naczelnemu Dowództwu Armii Czerwonej, by wydało wojskom rozkaz przekroczenia granicy i wzięcia pod ochronę życia i mienia ludności Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi”.

Z noty odczytanej 17 września 1939 roku w Moskwie przez zastępcę Ludowego Komisarza Spraw Zagranicznych Związku Sowieckiego, Władimira Potiomkina, polskiemu ambasadorowi w Moskwie – Wacławowi Grzybowskiemu

НЯХАЙ ЖЫВЕ НЕРУШЫМЫ
СОВЕЦКАГА САЮЗА; ЗА

kontrewolucyjną, a jej autora wysłać na kilka lat do syberyjskiego łagru.

Jak więc w warunkach spędzania wolności wypowiedzi „człowiek radziecki” reagował na wkroczenie Armii Czerwonej do Polski? Czy – sterroryzowany przez państwo – tylko powtarzał tezy oficjalnej propagandy? A może – w odruchu moralnego sprzeciwu albo nieświadomy zagrożenia – zdobywał się na niezależny sąd?

Z Niemcami wbrew nastrojom

Zanim odpowiemy na te pytania, przypomnijmy, że wkroczenie wojsk sowieckich do Polski przewidywał pakt Ribbentrop–Mołotow z 23 sierpnia 1939 roku. Tajny protokół do tego dokumentu oddawał Moskwie wschodnią połowę Polski. Tyle tylko że nie wyznaczono w nim żadnego terminu, w którym Związek Sowiecki miał zająć te tereny. W przeciwieństwie do Hitlera, który już kilka dni po dokonaniu w Moskwie „czwartym rozbiórce Polski” wyciągnął rękę po „swoją” część Rzeczypospolitej, Stalin zastosował taktykę kunktatorską. Był przekonany, że wojna potrwa długo, i – tymczasem – nie zamierzał się w nią wikłać. Wygodniej było czekać, aż wojujące strony się wykrwawią, i dopiero wtedy wkroczyć do akcji. Powstrzymując się na razie od działań zbrojnych i udając neutralność wobec toczącej się wojny, sowiecki dyktator liczył także, że całe odium za napaść na Polskę spadnie na Hitlera. W rezultacie właściwie do połowy września 1939 roku społeczeństwo sowieckie nie było propagandowo

przygotowywane do wkroczenia wojsk sowieckich na teren Polski.

Tymczasem kalkulacje Stalina okazały się błędne: Niemcy szybko parli do przodu, a do tego uporczywie naciskali na wschodniego sojusznika, by wcielił w życie ustalenia moskiewskie. Trzeba było zatem zmienić taktykę i zacząć działać. Ale przejście do czynu nie było proste. Społeczeństwo sowieckie nic nie wiedziało o tajnym protokole dodatkowym do układu Ribbentrop–Mołotow, choć – jak wynika z raportów NKWD – po napaści Niemiec na Polskę co bardziej przenikliwi domyślali się, że oprócz układu o nieagresji zawarto także tajne porozumienie o podziale Polski. Ludzie, karmieni od lat propagandą antyniemiecką, nie bez oporów przyjęli pakt z III Rzeszą. Bo chociaż władze przedstawiały układ z Hitlerem jako mądre posunięcie, wpisujące się w prowadzoną przez Związek Sowiecki politykę pokoju i pozwalające uniknąć konfliktu z potężnymi Niemcami, nie wszystkim trafiało to do przekonania. Wielu bowiem wciąż postrzegało Niemcy jako największe zagrożenie dla państwa bolszewickiego. Był to zresztą pogląd całkowicie słuszny, w przeciwieństwie do iluzji żywionej przez sowiecką wierzchość, że wojna Niemiec z Wielką Brytanią i Francją okaże się długotrwała i przygotuje grunt do sowieckiej inwazji na wykrwawioną „kapitalistyczną” Europę. Tak więc zaraz po podpisaniu układu o nieagresji z III Rzeszą niektórzy „zwykli” mieszkańcy Związku Sowieckiego przewidzieli

z podziwu godną przenikliwością zajęcie przez Niemcy Gdańska, rozprawienie się z Polską i wreszcie – potraktowanie przez Hitlera sierpniowego układu ze Stalinem jako bezwartościowego świstka papieru i uderzenie na Związek Sowiecki.

O silnie zakorzenionych nastrojach antyniemieckich społeczeństwa sowieckiego najlepiej świadczy to, że kiedy 6 września 1939 roku władze na Kremlu, szykując się do wykonania tajnej części układu Ribbentrop–Mołotow, zarządziły mobilizację kartkową (czyli obejmującą wybranych rezerwistów) w siedmiu zachodnich okręgach wojskowych, najczęściej interpretowano to jako zapowiedź wojny... z Niemcami. Sądono, że nie zadowolą się oni Polską i ignorując pakt o nieagresji, pójdą dalej na wschód. Pojawiły się też opinie, że mobilizację przeprowadza się dlatego, że pobite wojska polskie będą przechodzić na terytorium sowieckie i trzeba je będzie brać do niewoli. Wynikający z niedoinformowania lęk przed starciem z III Rzeszą wywołał zrozumiałe skądinąd zjawisko wycofywania oszczędności z banków. Podjęte środki posłużyły do masowego wykupywania żywności ze sklepów – czyniono tak, spodziewając się tego, że wkrótce władze wprowadzą system kartkowy, a w czasie wojny pieniądź będzie tracił na wartości.

Innym przykładem na antyniemiecką orientację społeczeństwa sowieckiego w pierwszych dniach wojny jest przebieg wiecu, zorganizowanego przez władze



БРАЦКІ САЮЗ НАРОДАў
ЗАХОДНЯЙ БЕЛАРУСІ!

► Transparent nad ulicą w Białymstoku: „Niech żyje nierozzerwalny braterski związek narodów Związku Sowieckiego i Zachodniej Białorusi”



► Obrady Zgromadzenia Ludowego Zachodniej Białorusi, Białystok, 1939 rok; delegaci głoszą przez uniesienie ręki

8 września 1939 roku w parku im. Gorkiego w Moskwie. Przemawiający na nim partyjny agitator usiłował wzbudzić u zebranych antypolskie nastroje, rzucając rozmaite oskarżenia pod adresem Rzeczypospolitej, ci jednak nie dali się porwać i reagowali bez entuzjazmu. Dopiero kiedy padło retoryczne pytanie, czy naród sowiecki i rząd mają patrzeć z założonymi rękami, jak „bracia” Ukraińcy i Białorusini cierpią z winy „pańskiej Polski”, tłum się ożywił i zakrzyknął jednym głosem: „Naprzód, naprzód, na wstrętnych Niemców”. Nie o taką, oczywiście, reakcję chodziło.

Wyzwoleńczy sojusz z faszyzmem?

Propagandowe przygotowanie marszu Armii Czerwonej na zachód rozpoczęło się nieomal w przededniu agresji: dopiero 14 września 1939 roku w „Prawdzie” ukazał się napisany przez Andrieja Żdanowa i poprawiony przez Stalina artykuł *O przyczynach klęski militarnej Polski*, który tworzył grunt do dalszej akcji propagandowej. Wyrażano w nim pogląd, że szybka klęska Polski, która w ciągu „około dziesięciu dni” utraciła jakoby niemal wszystkie ośrodki polityczne i gospodarcze, wynikała nie tyle z przewagi technicznej armii niemieckiej, ile z braku jedności społeczeństwa, spowodowanego uciskiem narodowym, który najboleśniej dotykał Ukraińców i Białorusinów. Teza o „ucisku” mniejszości białoruskiej i ukraińskiej, które – jak pisano – były

„obiektem najbardziej brutalnej i bezwstydnej eksploatacji obszarników polskich”, stała się później fundamentem hasła „wyzwolenia” spod polskich rządów, z którym Armia Czerwona wkroczyła na ziemię Rzeczypospolitej.

Prawdziwą lawinę komentarzy wywołało wystąpienie ludowego komisarza spraw zagranicznych Związku Sowieckiego Wiaczesława Mołotowa, wygłoszone przez radio 17 września 1939 roku. Podał on trzy przyczyny wkroczenia Armii Czerwonej na terytorium zachodniego sąsiada: utrata przez Polskę państwowości i jej następstwo, to jest unieważnienie traktatów wiążących Polskę i Związek Sowiecki; niestabilność sytuacji w pobliżu granicy sowieckiej, stanowiącą realne zagrożenie dla Związku Sowieckiego; zaniepokojenie losom „braci” Ukraińców i Białorusinów, rzuconych na pastwę losu przez polskich polityków.

Spółeczeństwo sowieckie, do którego było skierowane przemówienie Mołotowa, przyjmowało je najczęściej aprobując. Podzielano wyłożony przez kierownika dyplomacji sowieckiej pogląd, że należało wziąć pod opiekę ludność ukraińską i białoruską na – jak to ujął jeden z komentatorów – „porzuconym przez rząd polski terytorium”, i ciesząco się z „wyzwolenia” Ukraińców i Białorusinów z „polskiego jarzma”. Jednak w opiniach o wkroczeniu wojsk sowieckich na ziemię zachodniego sąsiada dochodziły do głosu nie tylko antypolskie, ale tak-

że antyniemieckie resentymenty; niejednokrotnie wyrażano satysfakcję z tego, że wspomniane ziemie nie dostały się w ręce Niemców, argumentując, że nie mogą oni rościć sobie pretensji do terenów zamieszkałych przez ludność ukraińską i białoruską.

U niektórych mieszkańców Związku Sowieckiego zajęcie części Polski wywołało nastroje imperialistyczne. Uważano, że Związek Sowiecki powinien „odzyskać” kolejne ziemie, przy czym najczęściej wskazywano tu rumuńską Besarabię, rządzie państwa bałtyckie. Hurraoptymiści, których także nie brakowało, wzywali wręcz do dalszego marszu na zachód i „wyzwolenia” całej Europy od „kapitalistycznego ucisku”.

Czujny NKWD wyłapał nie tylko pozytywne, lecz także negatywne oceny wkroczenia wojsk sowieckich do Polski. Autorem jednej z nich był członek redakcji ukraińskiego wydawnictwa „Sztuka” – Michał Dragomanow. Jego zdaniem, akcja wojsk niemieckich i sowieckich była w rzeczywistości „czwartym rozbiorem Polski”, który dokonał się wskutek wcześniejszego porozumienia Stalina z Hitlerem. W innych odnotowanych wypowiedziach krytycznych wskazywano, że wejście wojsk sowieckich nie miało charakteru „wyzwolenia”, lecz było zaborem cudzej ziemi. „Co powie świat? – martwił się aspirant Instytutu Folkloru Akademii Nauk Ukrainy. – Powiedzą, że razem z faszystowskimi Niemcami dzielimy Polskę. Anglia i Francja wypowiedzą nam wojnę, co oznacza, że będziemy

walczyć z nimi razem z Niemcami. Co wtedy powiedzą komuniści na Zachodzie i robotnicy całego świata?”. Niekiedy zwracano uwagę na niekonsekwencję sowieckiego stanowiska wobec zaborczej polityki Hitlera: w czasach Monachium była ona potępiana, teraz jest aprobowana. Krytyka władz Związku Sowieckiego za sprzymierzenie się z faszyzmem, za paradoksalny i zaprzeczający ideologicznym pryncypiom sojusz komunizmu z narodowym socjalizmem, była *leitmotivem* negatywnych komentarzy do wystąpienia Mołotowa.

Jeszcze inni krytyczni komentatorzy wskazywali na fałszywy charakter tezy o „pomocy” udzielonej Ukraincom i Białorusinom, przytomnie zauważając, że ani jedni, ani drudzy o żadną „pomoc” nie prosili.

Krytycznie – co oczywiste – wobec zaboru części polskiego terytorium wypowiadali się Polacy mieszkający w Związku Sowieckim. Ich generalny sąd był taki, że hasło udzielenia pomocy Ukraincom i Białorusinom to tylko pretekst do zagarnięcia części państwa polskiego. Na przykład kolchoźnik Łaszewicz ze wsi Boljarki w rejonie emilceńskim na Ukrainie stwierdził, że władza sowiecka we wschodniej części Polski nie utrzyma się długo, a państwo polskie szybko się odrodzi. Niektórzy liczyli na jakąś akcję wojskową, skierowaną przeciwko Związkowi Sowieckiemu.

Zamieszkała w miejscowości Korostyszewo na Ukrainie Polka Sokołow-

ska oświadczyła, że wojska polskie formują się w Rumunii i wystąpią przeciwko Związkowi Sowieckiemu razem z Rumunami. Inny Polak, mieszkaniec rejonu ojażyńskiego w obwodzie nowosybirskim, przewidywał, że „bracia Polacy” wkroczą na terytorium sowieckie i zaprowadzą tu kapitalizm.

Wielu komentatorów litowało się nad losem „wyzwolonych” Ukraińców i Białorusinów, przewidując, że już wkrótce zateśnią oni za rządami polskimi, bo władza sowiecka wprowadzi terror, kołchozy itd., i wszyscy oni, tak jak dotychczasowi obywatele sowieccy, będą wkrótce głodni, bosy i obdarci. Wskazywano na odejście od głoszonej wcześniej tezy, że Związek Sowiecki nie zamierza zająć żadnego cudzego terytorium.

Wiary w trwałość rządów wschodniego okupanta na terenach zabranych Polsce nie mieli także Niemcy mieszkający w Związku Sowieckim. Sądziли oni, że Hitler szybko – nawet w ciągu dwóch miesięcy – zabierze tę część Rzeczypospolitej, którą zajął Stalin, a nawet pójdzie dalej na wschód, przynosząc Niemcom mieszkającym w Rosji „wyzwolenie” z komunistycznego ucisku.

Puste półki u agresorów

A jak postrzegali wkroczenie do Polski sami „wyzwoliciele”, czyli żołnierze Armii Czerwonej? Czy rzeczywiście uważali, że przynioszą Ukraincom i Białorusi-

nom wolność od ucisku i nędzy, swobodę i dobrobyt? Trudno odpowiedzieć ściśle na to pytanie, bo informacje na ten temat są bardzo skąpe. Ostrożnie można stwierdzić, że przed znalezieniem się na polskim terytorium wiara w przekonanie o „wyzwoleńczej” misji była zdecydowanie mocniejsza aniżeli potem. Bo kiedy czerwoarmiści zobaczyli na polskich Kresach – rzekomo bezwzględnie eksploatowanych przez „polskich panów” – schludne domy, dobrze ubranych i odżywionych ludzi, czyli obraz tak odmienny od tego, co widzieli na co dzień w swoim zabiedzonym i wygłodzonym kraju, to przynajmniej niektórzy z nich uznali, że padli ofiarą kłamliwej propagandy.

Także później, przy okazji innych wydarzeń, powracały – jako punkt odniesienia – oceny akcji sowieckiej przeciwko Polsce we wrześniu 1939 roku. Kiedy Związek Sowiecki napadł na Finlandię, inżynier Antoniuk z Kijowa stwierdził, że w przypadku „Zachodniej Ukrainy” Związkowi Sowieckiemu udało się „wykręcić”, odwołując się do „wyzwolenia”. W przypadku wkroczenia do Finlandii jednak mieliśmy już do czynienia z jawną agresją, skierowaną przeciwko słabszemu państwu. Mieszkająca w tym samym mieście Nina Bojko przewidywała z kolei, że bolszewikom nie pójdzie w Finlandii „tak prosto” jak w Polsce i napaść na ten kraj przyniesie agresorowi kolosalne straty. Podobnego zdania był inny mieszkaniec

▶ Pantelejmon Ponomarienko, I sekretarz KC Komunistycznej Partii Białorusi (drugi z lewej), po wojnie ambasador sowiecki w PRL



Kijowa, niejaki Frenkiel, który oświadczył: „[Finlandia] to nie Polska, Finowie umieją walczyć”.

Przekonanie, że Polskę udało się zdobyć „gołymi rękami”, było w tym czasie wyrażane dość często, choć niektórzy przyznawali, że Związek Sowiecki zawdzięczał to Niemcom, ponieważ wkroczył do akcji wówczas, kiedy Polska była już pokonana. „To nie marsz do Polski po jej rozbiciu przez wojska niemieckie i zagarnięciu zdobyczy wojennej” – oceniał kampanię fińską czerwoarmista Drobot z 37. korpusu strzeleckiego 12. armii Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego. W niektórych opiniach zwracano uwagę na to, że Związek Sowiecki stał się agresorem, a zaczęło się to od napaści na Polskę (po której poszły wymuszone układy z państwami bałtyckimi o sowieckich bazach wojskowych na ich terenie), skończyło zaś na inwazji na Finlandię. Charakterystyczna dla opinii tego typu była wypowiedź żołnierza 97. dywizji strzeleckiej 6. armii Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego, Słobodzianiuka, który stwierdził: „Do Finów strzelać nie będę, bo nie są moimi wrogami, moi wrogowie u mnie w domu. Polska żyła z nami dobrze, a my na nią napadliśmy, a teraz robimy to w odniesieniu do Finlandii”.

Wojna z Finlandią pogłębiła dramatyczny stan zaopatrzenia sowieckiej ludności w towary konsumpcyjne, co wywołało gwałtowny wzrost niezadowolenia społecznego. Jednak problemy w tym zakresie przyniosła już agresja na Polskę. Tak pisał o nich w liście do Mołotowa robotnik jednej z fabryk w miejscowości Ordżonikidzegrad w obwodzie orłowskim: „Tow[arzyszu] Mołotow, Wy w swoim wystąpieniu mówiliście, że problemów z produktami nie będzie, a okazało się na odwrót. Po przekroczeniu polskiej granicy w naszym mieście przestały się pojawiać liczne towary: makaron, cukier, nigdzie nie ma sera i kielbasy”.

W liście nawiązywano do wspomnianego wystąpienia Mołotowa z 17 wrześ-

nia 1939 roku, w którym skrytykował on gromadzenie żywności i innych towarów po wprowadzeniu częściowej mobilizacji (wyrażając jednocześnie obawę, że niepotrzebnie zakupione produkty mogą się zepsuć) i zapewniał, że rząd nie zamierza wprowadzić systemu kartkowego, a kraj jest zaopatrzony we wszystko, co niezbędne.

Kolejne odniesienia do wkroczenia Armii Czerwonej do Polski pojawiły się w 1940 roku z okazji święta 1 Maja. Jak zwykle uczczono je z wielkim rozma-



► „Dostali długo oczekiwaną prawdę” – głosi sowiecki plakat propagandowy

chem, m.in. urządzając w Kijowie paradę formacji Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego. Jeden z żołnierzy tego okręgu, komentując pochwały pod adresem wojska, zauważył: „Armię Czerwoną wychwalają za wyzwolenie Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi, a tak naprawdę było inaczej. Działania wojenne na Zachodniej Ukrainie i Zachodniej Białorusi pokazały, że Armia Czerwona szła w bój jak na paradę i w sposób chaotyczny, było wiele przypadków, że swoi bili swoich. Tak

więc widzicie, że Armia Czerwona jest do wojny nieprzygotowana”.

Ośmielili się myśleć

W państwie, o którym mowa, nie istniała możliwość swobodnego wyrażania poglądów. Nie możemy zatem ze statystyczną ścisłością podać, jaka część społeczeństwa sowieckiego popierała zabór ziem polskich we wrześniu 1939 roku, jakiej było to obojętne, a jaka była przeciw.

Bo chociaż znamy – przynajmniej w części – raporty NKWD, obrazujące reakcje „ludzi radzieckich” na wydarzenia w Polsce, łącznie z negatywnymi opiniami na temat wkroczenia Armii Czerwonej na terytorium zachodniego sąsiada, nie wiemy, czy obrazują one postawę całego społeczeństwa, czy też mają charakter wyrwykowy. Nie negując bowiem tego, że społeczeństwo sowieckie było obiektem bezustannej inwigilacji, trudno przyjąć, że miała ona charakter totalny i nie podlegała naturalnym ograniczeniom. W przeciwnym razie musielibyśmy przyjąć absurdalne założenie, że przy każdej osobie wyrażającej publicznie czy prywatnie swój pogląd na zajęcie wschodniej Polski przez wojska sowieckie stał agent NKWD.

Mimo tych trudności można sformułować pogląd, że w społeczeństwie sowieckim, albo z przekonania, albo z przymusu popierającym agresję na Polskę dokonaną 17 września 1939 roku, znalazły się jednostki, które zachowały niezależność sądu i ośmielały się myśleć, a co więcej – wypowiadać przeciwko linii partii i rządu. Zjawisko to dowodzi niezbicie, że żaden, nawet najokrutniejszy system nie jest w stanie do reszty stłumić wolnego ducha ludzkiego. O tych, którzy zdobyli się na odwagę mówienia prawdy i potępiili, nierzadko narażając się na więzienie czy łagier, sowiecką napaść na Polskę we wrześniu 1939 roku, historia w ogólności, a Polacy w szczególności nie powinni zapominać. 🇺🇸

dr Sławomir Kalbarczyk – historyk, naczelnik Wydziału Badań Naukowych BEP IPN, m.in. redaktor naukowy tomu *Zbrodnia katyńska: w kręgu prawdy i kłamstwa* (2010)

Wątpliwości zwycięzców

Marcin Przegiętka

Nie brakowało Niemców, którzy krytycznie przyjęli pakt Ribbentrop–Mołotow i wybuch II wojny światowej. Malkontenci głośno wypowiadający swoje zdanie narażali się na surowe represje ze strony gestapo.

„**N**a życzenie Rosji [sowieckiej] niemieccy przywódcy komunistyczni zostaną zwolnieni z obozów koncentracyjnych i przewiezieni do Rosji”. Taka pogłoska krążyła po Hamburgu w październiku 1939 roku. Według innej plotki, jedną z konsekwencji paktu Ribbentrop–Mołotow miało być wycofanie książki manifestu Hitlera *Mein Kampf* z niemieckich księgarń. To tylko dwa przykłady obrazujące, jak bardzo zdezorientowani byli niektórzy Niemcy po nieoczekiwanym zawarciu paktu przez Hitlera i Stalina 23 sierpnia 1939 roku.

Spółeczeństwo pod kontrolą

Historycy rzadko zadawali sobie pytanie o to, jakie nastroje panowały w Niemczech w pierwszych miesiącach wojny. Stwierdzenie, że polityka prowadzona przez Adolfa Hitlera cieszyła się powszechnym poparciem, jest oczywiście prawdziwe, ale upraszcza nieco obraz społeczeństwa III Rzeszy. Jak wiadomo, NSDAP legalnie doszła do władzy, wygrywając wybory do Reichstagu w listopadzie 1932 roku (zdobyła 33,1 proc. głosów). Kolejne wybory miały już jednak niewiele wspólnego z demokracją. Odbywały się w atmosferze ograniczania swobód obywatelskich: wprowadzono stan wyjątkowy, polityków socjaldemokratycznych i komunistycznych osadzono w obozach koncentracyjnych, później zdelegalizowano inne partie polityczne; gestapo i bojówki SA rozpięły terror. W kwietniu 1938 roku „wybory” do Reichstagu, w których można było głosować tylko na NSDAP, zostały połączone z referendum w sprawie włączenia Austrii w granice Rzeszy. Zgodnie z oficjalnymi wynikami partia Hitlera uzyskała poparcie

► Mapa „wielkich Niemiec” na ścianie banku, Wiedeń, marzec 1938 roku

99,1 proc. głosujących, przy frekwencji wynoszącej 99,5 proc. (!).

Kierownictwo NSDAP zdawało sobie sprawę z tego, że takie wyniki nie odzwierciedlają w pełni poglądów społeczeństwa. Gdy 1 września 1939 roku Niemcy wkroczyły na ścieżkę wojenną, dla władz w Berlinie stało się jasne, że należy jeszcze dokładniej nadzorować i kontrolować nastroje, aby zdusić w zarodku wszelki defetyzm, niezadowolenie i krytykę. Zadanie to wzięły na siebie gestapo i Służba Bezpieczeństwa (SD) Reichsführera SS, stanowiące trzon aparatu represji III Rzeszy.

Czytając zachowane doniesienia SD i gestapo, trzeba zachować daleko idącą ostrożność. Po pierwsze dlatego, że pozyskane przez te służby informacje nie zawsze były weryfikowane. Aresztowano nieraz na skutek pomówień. Po drugie, w raportach odnotowywano nawet pojedyncze zachowania lub opinie, które były niezgodne z linią polityczną narodowych socjalistów. Trudno zatem na podstawie odosobnionych przypadków wysnuwać daleko idące wnioski na temat poglądów panujących w całym społeczeństwie. Z pewnością zachowania opisane w raportach gestapo i SD nie były powszechne. Zwracano na nie uwagę, ponieważ odbiegały od normy, którą było manifestacyjne poparcie dla NSDAP lub w ostateczności zachowanie odrębnego zdania dla siebie.

Aby odciąć społeczeństwo niemieckie od wiadomości ze świata, już 1 września 1939 roku na wniosek Josepha Goebbelsa, ministra propagandy i oświecenia publicznego, Rada Ministrów ds. Obrony Rzeszy wydała zarządzenie zakazujące słuchania zagranicznych rozgłośni radiowych. Za rozpowszechnianie informacji pochodzących z zagranicy groziła nawet kara śmierci. W październiku 1939 roku na podstawie tego tylko paragrafu gestapo zatrzymywało każdego tygodnia co najmniej kilkadziesiąt osób. Takie metody miały sprawić, że społeczeństwo będzie interpretować wydarzenia dokładnie tak, jak życzy sobie tego NSDAP, a propaganda nieprzyjaciół nie będzie na nie oddziaływać.

Pakt z Moskwą: dezorientacja

Niemiecy komuniści zaliczali się do grup społecznych najbardziej zaskoczonych paktem Ribbentrop–Mołotow. Według raportu konfidenta gestapo z 25 września 1939 roku, berlińscy komuniści byli zupełnie zdezorientowani: „milkną, gdy tylko mowa jest o Związku Sowieckim. Tylko nieliczni nazywają Stalina największym i najsprytniejszym strategiem, któremu udało się gigantyczna sztuczka. Inni nie mówią jednak nic, przerywają rozmowę, albo czynią ironiczne uwagi pod adresem Kominternu lub Związku Sowieckiego”.

W Niemczech nie brakowało głosów, że porozumienie ze Stalinem oznacza nie tylko reorientację polityki zagranicznej, lecz również ważne zmiany w polityce wewnętrznej Rzeszy, np. legalizację działalności komunistów. Byli członkowie Komunistycznej Partii Niemiec (KPD) byli przekonani, że niebawem zostanie podpisana specjalna umowa między Niemcami a ZSRR o amnestionowaniu osób skazanych w Rzeszy za działalność komunistyczną. Nic takiego nie nastąpiło, a represje nie ustawały. Mówiono także o ponownym zalegalizowaniu KPD (początą pantoflową podawano nawet termin: 1 grudnia 1939 roku), co również okazało się wiadomością wysaną z palca. O tym, że pakt Ribbentrop–Mołotow w niczym nie zmienił sytuacji komunistów w Rzeszy, przekonał się dorożkarz Max Emil Lange z Żytawy w Saksonii, były działacz antyfaszystowski, który miał już za sobą półroczny pobyt w obozie koncentracyjnym w 1933 roku. Za propagowanie komunizmu wśród żołnierzy Wehrmachtu został aresztowany przez gestapo.

Z kolei w ulotkach austriackich komunistów wkroczenie Armii Czerwonej do Polski 17 września 1939 roku skomentowano jako „jej wielki czyn bohaterski”, dzięki któremu Stalin „uniknął ataku Niemiec na Związek Sowiecki”. Twierdzono wręcz – mocno na wyrost – że „ostatnie wydarzenia zadały decydujący cios faszyzmowi Hitlera”. Pomięto przy tym pakt Ribbentrop–Mołotow. Nie brakowało optymistycznych prognoz na przyszłość,

zgodnie z którymi wojna miała doprowadzić do rewolucji. W Berlinie pocztą rozesłano anonimowe ulotki następującej treści: „Robotnicy tak bardzo ucierpią, że po zakończeniu II wojny światowej większość europejskich narodów zerwie kajdany rządów burżuazji i zlikwiduje wyzysk człowieka przez człowieka”.

Komentarze dotyczące paktu Ribbentrop–Mołotow odnotowano również w środowisku duchowieństwa katolickiego, przy czym za większe zagrożenie jedni uważali Hitlera, inni Stalina. Do tej drugiej grupy zaliczał się ks. Moder z Hesji, który w niedzielnym kazaniu powiedział, że „zagrożenie komunizmem rośnie, a za sprawą pobratania się Stalina z Hitlerem jest jeszcze większe”. Inny katolicki kapłan, ks. Neumann z okolic Drezn, powiedział w trakcie uroczystości dożynkowych, że „diabeł objawił się na ziemi pod postacią Hitlera” i „nie jest wolą Boga, aby ludzie ze sobą walczyli”. Sprawę obu duchownych, których wypowiedzi zostały odnotowane przez SD, przekazano gestapo. Paradoksem jest to, że jesienią 1939 roku w Niemczech do czynienia z gestapo można było mieć zarówno wtedy, gdy się Stalina chwaliło (można było zostać posądzonym o propagowanie komunizmu), jak i wówczas, gdy się przed nim przestrzegało (ponieważ w ten sposób krytykowano postępowanie Hitlera).

Niektóre wypowiedzi odnoszące się do paktu Ribbentrop–Mołotow wyrażały zdziwienie postępowaniem Hitlera. Niemcy, także członkowie NSDAP, nie mogli zrozumieć, dlaczego ich przywódca niespodziewanie zawarł pakt z ZSRR, który przez lata był przedstawiany przez narodowych socjalistów jako wróg numer jeden. Tak należy interpretować postępowanie studenta, który w ulotce rozsyłanej pocztą przypadkowym odbiorcom ośmielił się zauważyć, że Hitler w *Mein Kampf* uznał Moskwę za „śmiertelnego wroga” Niemiec, a obecnie zawarł z nią sojusz. Wiele odnotowanych wypowiedzi wieszczyło w związku z tym katastrofę Niemiec. Kolejarz Josef Frank z Wiednia, pogardliwie wypowiadając się o zawarciu paktu Ribbentrop–Mo-

łotow, stwierdził, że „teraz rządzi Stalin”. W grudniu 1939 roku donoszono z pruskiej prowincji Pomorze ze stolicą w Szczecinie, że miejscowa ludność z coraz większą nieufnością odnosi się do paktu z ZSRR: „nikt nie ufa w tę przyjaźń, a wiara w pomoc gospodarczą Rosji [Sowieckiej] jest bardzo niewielka”. Zmiany tego powszechnego w niemieckim społeczeństwie nastawienia nie mogła dokonać w krótkim czasie propaganda Goebbelsa, która ZSRR zaczęła prezentować w pozytywnym świetle, zwłaszcza że tworzony przez nią latami stereotyp Związku Sowieckiego był zupełnie inny. Hitlera i Ribbentropa nazywano zdrajcami, a zamiary Stalina uważano za agresywne wobec III Rzeszy. Opowiadano, że na okupowanych ziemiach polskich zbudowano już linię umocnień i fortyfikacji oraz że trzeba tam utrzymywać silną armię, aby móc powstrzymać spodziewany atak. „Stalin okłamał Hitlera. W końcu wszyscy będziemy bolszewikami” – to jeden z odnotowanych głosów. Coraz większa nieufność wobec Moskwy była zapewne reakcją nie tylko na rozpo-

czętą 30 listopada 1939 roku sowiecką inwazję na Finlandię, ale i na wkroczenie Armii Czerwonej 17 września 1939 roku na ziemie wschodnie Rzeczypospolitej oraz podporządkowanie sobie przez Moskwę Litwy, Łotwy i Estonii.

Wojna '39: entuzjazm, niepokój, obojętność

Wybuch wojny 1 września 1939 roku nie wywołał w niemieckim społeczeństwie takiego entuzjazmu jak 25 lat wcześniej. Goebbels, który uważnie śledził nastroje w stolicy Rzeszy od pierwszych dni inwazji na Polskę, 2 września zapisał w swoim dzienniku, że w Berlinie „wszystko dobrze, ludność jest spokojna i opanowana”. Jednak z prowincji nadeszły wkrótce sprawozdania, w których z niepokojem konstатовano, że od wybuchu wojny wzrosła liczba wiernych uczestniczących w nabożeństwach katolickich.

Z wielu regionów Niemiec donoszono o entuzjastycznym powitaniu wracających z Polski oddziałów Wehrmachtu. Jak informował raport SD z 9 października 1939 roku, były one owacyjnie witane przez mieszkańców Olsztyna, Elbląga, Wiednia i Liberca w Sudetach, na Śląsku oraz w Gdańsku. Żołnierzom rozdawano papierosy i owoce, wręczano kwiaty. Dziś trudno dociec, w jakim stopniu podobne „spontaniczne” demonstracje poparcia dla wojennej ekspansji Rzeszy były wyreżyserowane. Jak wynika z tego samego raportu, władze były jednak zawiedzione z powodu umiarkowanego entuzjazmu po kapitulacji Warszawy. Wprawdzie domy w całym kraju – zgodnie z wytycznymi Ministerstwa Propagandy i Oświecenia Publicznego – zostały oflagowane, ale – jak pisało – „nie odzwierciedlało to nastrojów społecznych”. Nie brak jednak i relacji ▶

VÖLKISCHER BEOBACHTER

wskazujących na euforię, jak w sprawozdaniu z grudnia 1939 roku, które trafiło do Abwehry (niemieckiego wywiadu i kontrwywiadu wojskowego) na terenie prowincji Pomorze: „W odróżnieniu od zajęcia Austrii i Czech, które w swoim czasie zostało przyjęte przez społeczeństwo z zauważalną obojętnością, kampania wojenna w Polsce ze zrozumiałych względów cieszy się ogromną popularnością”. Wkrótce jednak entuzjazmowi zaczął towarzyszyć niepokój: wprawdzie Wehrmacht pokonał Wojsko Polskie, ale wojna i niedogodności z nią związane trwają nadal.

W Niemczech powszechne było przekonanie, że konflikt zbrojny z Polską nie musi wcale przerodzić się w światowy. Trzeba było je zrewidować po 3 września, gdy wojnę Rzeszy wypowiedziały Wielka Brytania i Francja, co dla Niemców było wstrząsem. Chociaż na froncie zachodnim trwała „dziwna wojna”, a nie regularne walki, kampania wojenna w Polsce została zaś dość szybko rozstrzygnięta, wizja przedłużającego się konfliktu z pewnością nie podnosiła morale społeczeństwa niemieckiego. Nie spełniły się nadzieje na zawarcie pokoju z mocarstwami zachodnimi, a to ozna-

czało, że nie dojdzie do zniesienia rządzeń związanych z wojną. Nie brakowało głosów zapowiadających klęskę III Rzeszy, co w opinii władz oznaczało sianie defetyzmu. W okolicy niemieckiego wówczas Kluczborka, na zapleczu oddziałów Wehrmachtu atakujących Polskę, odnaleziono 6 września 1939 roku ulotki zatytułowane „Czego jeszcze nie wiecie, niemieccy żołnierze!”, w których pisano: „Wielka Brytania i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę! 3 września rozpoczęły się walki na froncie zachodnim! Nie dajcie się zaślepić błyskawicznymi sukcesami w Polsce! Losy wojny zmieniają się. Pod wodzą Hitlera nasz naród zmierza do katastrofy!”.

W listopadzie 1939 roku z Koblencji donoszono, że w społeczeństwie coraz bardziej daje się zauważyć brak zainteresowania wojną, a nawet zmęczenie informacjami na jej temat. W rozmowach prywatnych padały pytania: „W końcu jest ta wojna, czy jej nie ma?”. Pokazuje to, w jaki sposób odbierano atmosferę „dziwnej wojny”, nazywanej w Niemczech „wojną siedzącą”. Zaczęto kwestionować zarządzenia wydane w związku z jej wybuchem: reglamentację żywności, obowiązek zaciemnienia.

Po fali zwycięstw Hitlera (od anshlusu Austrii) społeczeństwo niemieckie oczekiwało wzrostu poziomu życia, a nie wyzwoleń.

Zdarzało się, że z podobną sympatią, z jaką spotkały się powracające ze zwycięskiej kampanii oddziały Wehrmachtu, witano żołnierzy polskich, przewożonych do obozów jenieckich w głębi Rzeszy. W Feuerbach w Badenii-Wirtembergii kilka osób obserwujących na dworcu przyjazd pociągu z jeńcami wręczyło im papierosy, owoce i chleb. W prowincji Pomorze przechwycono trzydzieści listów, które Niemcy napisali do jeńców. Oburzenie władz Rzeszy wywoływało zbyt przyjazne traktowanie przez niektórych Niemców Polaków, którzy z niewoli zostali skierowani do pracy na roli lub w zakładach przemysłowych. Znaczenie miała również wspólnota wyznaniowa. W katolickich regionach Rzeszy zdarzało się, że polscy jeńcy otrzymywali lepsze wyżywienie niż pracujący w tym samym miejscu robotnicy niemieccy, którzy nie byli katolikami. Wkrótce wydano zarządzenia zabraniające nawiązywania bliskich relacji z pokonanym narodem. Z czasem regulacje te były coraz bardziej zastrzane i przewidziano w nich surowe kary, łącznie z karą śmierci dla Polaków.

► Wizyta Adolfa Hitlera w St. Pölten po anshlusie Austrii, 14 marca 1938 roku



Fot. NAC

„Za Rzeszę walczyć nie będę”

W raportach gestapo znajdują się informacje o osobach aresztowanych za niewłaściwe słowa lub niepożądane zachowania związane z agresją niemiecką na Polskę. Jeden z takich dokumentów z 8 września 1939 roku zawiera wiadomość o Walterze Schlesigerze, piekarzu z Saksonii, który skrytykował kierownictwo III Rzeszy i powiedział, że „nikt bardziej nie chce wojny niż Hitler”. To stało oczywiście w sprzeczności z oficjalną wersją rządu niemieckiego, który utrzymywał, że Niemcy zostały sprowokowane do wojny, a winę za jej wybuch ponoszą wyłącznie władze polskie i brytyjskie. Schlesiger został aresztowany przez gestapo. Podobny los spotkał Rose Funke, twierdzącą, że „to Hitler rozpoczął wojnę, kto inaczej myśli, jest naiwny”, i ślusarza Jakoba Reiferscheida

z okolic Akwizgranu. Według Reiferscheida, propozycje złożone przez Hitlera Polsce były beczelnością sugerującą, że „Niemcami rządzą idioci”. Z kolei emerytowany górnik Hermann Müller z Gersdorf, nie dając się zwieść propagandzie Goebbelsa, trzeźwo osądził: „w Polsce odbywa się to samo, co wcześniej w Austrii i Sudetach: tam Niemcy również prowokowali, aby zawiesić flagi ze swastykami”.

Za defetystyczną wypowiedź o tym, że „na froncie [w Polsce] wielu żołnierzy zostało rozstrzelanych, ponieważ nie chcieli walczyć za Hitlera”, został aresztowany Otto Hüsken, który zapewniał ponadto, że jeśli zostanie powołany do Wehrmachtu, „rzuci broń i odda się do niewoli”. Podobny był sens wypowiedzi Wilhelma Rausa, który deklarował, że nie będzie walczyć za Hitlera: „Jeśli nie zostaną wzięty siłą [do Wehrmachtu], na ochotnika nie pójdę. Dobrze wiem, co robić, gdy wyślą mnie na front. Za Rzeszę walczyć nie będę, byłem już wystarczająco wiele razy okłamywany”. On również został aresztowany przez gestapo. Z kolei murarz Emil Studt zapewniał, że jeśli zostanie powołany do wojska, nie odda nawet jednego strzału ani do Polaków, ani do Francuzów. Robotnik z Magdeburga, Franz Mysiak, powiedział publicznie: „Czego Niemcy chcą od Polski, przecież ona walczy tylko o swoją wolność. Jeśli pójdziesz na front, nie strzelaj do Polaków” oraz „wołałbym raczej być w Warszawie, niż w zniewolonych Niemczech”. Na krytyczne słowa pod adresem Hitlera zdecydowali się nawet szeregowy członek NSDAP i rolnik z prowincji Pomorze: „Jeśli Hitler rzeczywiście tak bardzo kocha swój naród, jak o tym mówi, może jeszcze coś dla niego zrobić: może ustąpić ze stanowiska. Tylko to może nam teraz pomóc”.

Siedemdziesięcioletnia Adele Ott została aresztowana przez gestapo za to, że krytykowała rządy Hitlera i rozgłaszała, że „Polacy pobiją Niemców”. Podobnego zdania był robotnik Josef Rapp z Austrii, który opowiadał wielu osobom, że „Niemcy dostaną od Polaków ciężkie baty”. Także on został aresztowany. Taki



sam los spotkał byłego członka Socjaldemokratycznej Partii Niemiec, urzędnika Kurta Eulitza z Drezna, który powiedział swoim współpracownikom, że „przyjdzie czas, gdy Adolf [Hitler] dostanie po pysku”, naśladując przy tym gest pchnięcia bagnetem. We wrześniu i październiku 1939 roku w Kolonii i Heidelbergu znaleziono wśród przesyłek pocztowych kartki z tekstami „podjudzającymi” przeciwko Hitlerowi i Goebbelsowi. Najodważniejsza odnotowana i zachowana w dokumentach wypowiedź padła z ust Emilie Hofer, pielęgniarki z Wiednia: „Teraz chcę być na froncie w Polsce i strzelać, ale nie przed siebie, lecz do pewnego człowieka z tyłu”. Nietrudno się domyślić, że chodziło o Hitlera. Również ona została aresztowana przez gestapo.

Przedstawione wyżej krytyczne lub defetystyczne wypowiedzi to tylko jednostkowe głosy sprzeciwu wobec polityki Hitlera i rozpoczętej przez niego

wojny. Tylko w nielicznych przypadkach negatywnym opiniom o postępowaniu władz III Rzeszy towarzyszyła sympatia okazywana Polsce. Trudno doszukiwać się w nich przejawów zorganizowanego oporu przeciwko dyktaturze i totalitaryzmowi. Można się domyślać, że część głosów krytyki była spowodowana przede wszystkim troską o los własny i najbliższych podczas wojny. Dawano w ten sposób wyraz obawom przed powołaniem do armii, głodem i bombardowaniami oraz niezadowoleniu w związku ograniczeniem racji żywnościowych. Takie wypowiedzi dowodzą jednak, że społeczeństwo nie zajmowało jednolitej postawy wobec polityki Hitlera. Nie wszyscy myśleli tak samo, a indoktrynacja – choć powszechna i wszechobecna – nie przesłoniła oczu całemu społeczeństwu. Niektórzy nawet odważyli się wypowiedzieć głośno swoje zdanie, co wiązało się ze sporym ryzykiem. ❀

dr Marcin Przegiętka – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN

Młot na „reakcję”

Dawid Zagził

Broszura *Obóz reakcji polskiej w latach 1939–45*, wydana w czasach stalinowskich przez Informację Wojskową, nawet dziś poraża skalą kłamstw. Z bohaterów podziemia komunistyczni autorzy uczynili zdrajców, ze zdrajców – wyzwolicieli.

Sporo tu o was. Starczy na trzy KS-y”. Cytowane słowa padają w jednej ze scen filmu *General Nil*, traktującego o bohater-skich, lecz tragicznych losach gen. Augusta Emila Fieldorfa. Chwilę wcześniej oficer śledczy Urzędu Bezpieczeństwa wręcza „Nilowi” pomarańczową broszurę w kształcie kapownika. Widniejący na niej tytuł szokuje i wywołuje konsternację nawet legendarnego dowódcy Kedywu.

Obóz reakcji polskiej w latach 1939–45 to agitka wydana przez Główny Zarząd Informacji, skierowana do funkcjonariuszy wojskowej i cywilnej bezpieki, mająca rzekomo przypomnieć im, kto kim był w latach okupacji. Opracowana jako materiał szkoleniowy, książka stała się narzędziem w walce z powojennym podziemiem, będącym ostoją pamięci i tożsamości narodowej. Skala kłamstw owego wydawnictwa poraża do dziś.

SMIERSZ pod przykrywką

Początków działalności Informacji Wojskowej, czyli kontrwywiadu wojskowego „ludowej” Polski, należy szukać wiosną 1943 roku. Wówczas, na polecenie Józefa Stalina, na zachodnich rubieżach Związku Sowieckiego, rozpoczęto formowanie polskiego wojska, w którego ramach powołano do życia m.in. struktury kontrwywiadowcze. Organa te były całkowicie sowieckie, o czym świadczy dobór kadr (szefem służby mianowano sowieckiego oficera Piotra Kozuszkę), jak również to, że do 1945 roku wszelkie pisma i rozkazy

sporządzano w języku rosyjskim. Pozycją dowódcy wojsk – gen. Zygmunta Berlinga – była nominalna, a wobec Informacji żadna. „Robotę kontrwywiadowczą w polskiej armii prowadzi »SMIERSZ« [sowiecki kontrwywiad wojskowy], którego organy istnieją w wojsku polskim pod przykryciem »oddziału informacji wojska polskiego« – pisał w 1944 roku w meldunku do władz partyjnych Georgij Siergiejewicz Żukow, nadzorujący z ramienia Sowietów polskie formacje wojskowe w Związku Sowieckim. – Skład wydziałów informacji wojska polskiego jest kompletowany ze składu osobowego Zarządu »SMIERSZ« [...] który kieruje jego działalnością. [...] Twierdzenie, że większość funkcjonariuszy oddziałów informacji to Rosjanie i nie znają polskiego języka, odpowiada rzeczywistości”. Komentarz do tych słów wydaje się zbędny.

Prawdziwą, zbrodniczą twarzą Informacja – od marca 1945 roku pod nazwą Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego (GZI WP) – ujawniła już po tzw. wyzwoleniu. Mimo że następowała stopniowa polonizacja kadr (w lipcu 1945 roku powołano Szkołę Oficerów Informacyjnych), selekcja przebiegała wedle kryteriów lojalności i oddania; to zaś budziło poczucie totalnej bezkarności. Więziony mógł być każdy – od szeregowca po generała. Brutalność działań przewyższała metody UB, gdzie przecież sadystów nie brakowało. Świadczy o tym *casus* gen. Mariana Spychalskiego „Marka”, byłego wiceministra obrony narodowej i członka Biura Politycznego KC PZPR, zatrzymanego wiosną 1950 roku przez Urząd Bezpieczeństwa. Zarzut: próba obalenia ustroju „ludowej” Polski (Spychalski miał przy pomocy wojska dokonać zamachu stanu, torując drogę do władzy Władysławowi Gomułce). W rzeczywistości chodziło o powiązanie całej sprawy z Gomułką, oskarżanym o tzw. odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne. Gdy rewelacje te trafiły do szefów GZI – Dmitrija Wozniesińskiego i Antona Skulbaszewskiego – ci zażądali przekazania im „Marka” (trwały przygotowania do tzw. procesu generałów).



Fot. PAP



Akcje „Burza” oddziały A.K. starały się przeprowadzić w niektórych miejscowościach na Wołyniu, Nowogródcyźnie, i w sądzie praktycznie nie miała ona znaczenia wojtkowego, a dość groteskowym charakterze. Inaczej kształt polityczny niekiedy ustalano (nie było bowiem przeważnie podejmowane na terenie wrogim A.K. (ziemie wschodnie), gdzie z tego względu nie mogła ona sprawnie rozbudować swoich oddziałów).

„Wiem, co oni [Informacja] zrobią ze Spychalskim – grzmiał płk Anatol Fejgin, szef Departamentu X MBP. – Zakręca nim takiego młynka, że się z rozumem nie połapiemy, co on im nawygaduje”. Spór rozstrzygnął dopiero Jakub Berman, który z ramienia partii nadzorował bezpieczeństwo. Kierownictwo PZPR potrzebowało sukcesu w sprawie Gomułki, a większa niezależność Informacji budziła obawy „pogmatwania i zakłamania” śledztwa. Ostatecznie pozostało ono w gestii UB, przy wsparciu oficera śledczego GZI.



czesnej Targowicy”. Redakcję powierzono dziewięcioosobowej komisji, wśród której prym wiodli starzy, oddani komuniści, jak: Julia Brystygier – dyrektor Departamentu V Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, Stefan Jędrzychowski – były deputowany Rady Najwyższej Związku Sowieckiego, późniejszy wicepremier i członek Biura Politycznego KC PZPR, czy Juliusz Burgin – redaktor naczelny „Głosu Ludu” i wysoki funkcjonariusz bezpieczeństwa (w istocie agent sowiecki). Każdy egzemplarz opatrzone numerem (nakład wynosił 3 tys. egzemplarzy) i sygnaturą „Tajne!”, stroną tytułową uzupełniając notką: „Zatwierdzono do użytku służbowego rozkazem Szefa Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego. Dn. 12 maja 1948 r.”.

szura miała służyć „tylko jako przewodnik w labiryncie reakcyjnego podziemia i winna być traktowana jako punkt wyjścia do dalszych samodzielnych dociekań na tle każdej konkretnej sprawy [sic!]”.

Treść zasadniczą podzielono na dwie części. Skupmy się wpieryw na drugiej, w której wyodrębniono dwa rozdziały: I – Alfabetyczny spis instytucji i organizacji, organów prasowych i niektórych osób działających; II – Przybliżone daty ważniejszych wydarzeń politycznych i przemian organizacyjnych.

Poczet faszystów polskich

Równie gorliwie co zdrajców i szpiegów zwalczano wszelkiego rodzaju opozycję – akcje zbrojne, napisy antypaństwowe czy „szepetaną propagandę”. Okres stalinowski odcisnął straszliwe piętno na żołnierzach o przedwojennym rodowodzie, nierzadko bohaterach, którym komuniści nadali miano „renegatów”, „wrogów ludu”, „faszystów”. Działacze podziemia oskarżano na podstawie spreparowanych dowodów i wymuszanych siłą zeznań; jedyną racją była polityka Polskiej Partii Robotniczej, jedyną uznaną formacją partyzancką z czasów II wojny światowej – Gwardia/Armia Ludowa. W formułowaniu zarzutów pomocą służyły materiały propagandowe.

We wstępie poznajemy motywy wydania broszury i jej tytuł: „Broszura niniejsza została opracowana celem udzielenia praktycznej pomocy w orientowaniu się w dziejach polskiej konspiracji 1939–1945 roku. Z tych też względów zakres jej został ograniczony do omówienia działalności głównych reakcyjnych organizacji politycznych i wojskowych tego okresu”. Kilka wersów niżej czytamy, że całość oparto na szcątkowych danych i zdekompletowanej dokumentacji! Na nic zdały się więc zapowiedzi Reginy Kobrzyńskiej, kierowniczki Wydziału Historii Partii KC PPR, o ukazaniu „na materiale dokumentalnym prawdziwego oblicza reakcji polskiej”. Bo chociaż członkowie redakcji poszukiwali materiałów w Europie, Stanach Zjednoczonych czy na Bliskim Wschodzie (Palestyna, Teheran), efekty ich pracy odbiegały od pierwotnych założeń, że dokumenty będą taranem, który przebieje nieufność społeczeństwa. Ostatecznie bro-

W zamysle spis umożliwiał „orientowanie się w liczącym setki pozycji gąszczu nazw i kryptonimów konspiracyjnych”. Hasła osobowe zawierały następujące informacje: nazwisko, imię, pseudonim (jeśli znano) oraz krótszy bądź dłuższy biogram, np. „FIELDORF AUGUST EMIL – ps. »NIL« – szef Kedywu (oddziału dywersji) Komendy Głównej A.K., jeden z organizatorów »Nie«”. Podobnie wyglądało to w przypadku tytułów prasowych: „BIULETYN INFORMACYJNY – organ A.K., redaktor ALEKSANDER KAMIŃSKI”. Bardziej rozbudowane były natomiast hasła przedmiotowe, opisujące struktury Polskiego Państwa Podziemnego – administrację, organizacje cywilno-zbrojne oraz partie i stronnictwa polityczne.

Poniżej kilka przykładów ilustrujących sposób postrzegania polskiej konspiracji przez aparat represji.

„ARMIA KRAJOWA – skrócona popularna nazwa Sił Zbrojnych w Kraju, oficjalnej organizacji wojskowej rządu londyńskiego. Zaczątkiem jej była powstała w październiku [w rzeczywistości 27 września] 1939 r. organizacja Służba Zwycięstwu Polski, która potem przybrała nadaną jej przez gen. [Wład-

Broszurę *Obóz reakcji polskiej...* oddał do użytku służbowego w maju 1948 roku Oddział VII GZI, zajmujący się szeroko pojętą „ewidencją operacyjną” (gromadzono m.in. opinie o nastrojach żołnierzy, meldunki z pracy agentury oraz tzw. komprmaterialy, w tym szczególnie charakterystyki byłych członków AK, NSZ i innych organizacji niepodległościowych). Pomysł opracowania książki, która odgrywałaby „poważną rolę w życiu umysłowym kraju” [sic!], zrodził się w głowach partyjnych notabli pod nazwą „Czarnej księgi reakcji polskiej – współ-

Nie tylko jawnie sanacyjne grupy O.P.W. i Konwentu datyły do porozumienia z Niemcami.

Jak podawaliśmy już wyżej, rywalizował skutecznie z nimi pod tym względem duży odłam endecki, a przede wszystkim O.N.B.

Koniec 1942 i początek 1943 roku przyniosły dalszy rozwój akcji na rzecz gen. SIKORSKIEGO. Na pierwszym miejscu była wciąż wysuwana sprawa układu z Rosją Sowiecką.

Przykłady sanacji dążyli świadomie do zerwania z tym kierunkiem. Na jakichkolwiek bowiem warunkach osiągnięte porozumienie, sanacja obawiała się że będzie czymś jego kłosem ofiarnym.

Wyjście armii Andersa z Rosji umożliwiło pozycję...

sława] SIKORSKIEGO nazwę Związek Walki Zbrojnej (Z.W.Z.). W 1942 r. przybrała nazwę Polski Związek Powstańczy, a w 1943 r. nazwę Krajowe Siły Zbrojne. Na jesieni 1943 r. K.S.Z. przybrały nazwę Armii Krajowej” [formalnie nazwa „Armia Krajowa” obowiązywała od 14 lutego 1942 roku; wspomniane „Siły Zbrojne w Kraju” i „Polski Związek Powstańczy” stanowiły jej kryptonimy].

„KEDYW – Kierownictwo Dywersji – oddział sztabu A.K., któremu podlegały oddziały bojowo-dywersyjne A.K. Były one w stosunku do całości A.K. bardzo nieliczne. Podejmowały one pod koniec okupacji od czasu do czasu pewne akcje o charakterze dywersyjnym, które nie mając znaczenia militarnego, obliczone były na duży efekt propagandowy (walka ograniczona). Większość komórek Kedyu zajmowała się również wywiadem skierowanym przeciwko organizacjom demokratycznym” [w tym przypadku za organizacje demokratyczne uznawano PPR, GL/AL i ich przybudówki, jak Związek Walki Młodych czy współpracujące z komunistami PPS, SD i SL].

„NARODOWE SIŁY ZBROJNE – powstały pod koniec 1942 r. z połączenia Związku Jaszczurczego (O.N.R.) z tą częścią Narodowej Organizacji Wojskowej (Stronnictwa Narodowego), która nie chciała podporządkować się Z.W.Z. [...] Przez cały czas okupacji N.S.Z. współpracowały z gestapo w tropieniu i mordowaniu członków P.P.R. i G.L. (Gwardii Ludowej). N.S.Z. wymordował również szereg działaczy niewygodnych dla siebie w innych stronnictwach”.

„OBÓZ NARODOWO-RADYKALNY – Stronnictwo faszystowskie wzorujące się całkowicie na ruchu hitlerowskim, w czasie okupacji współpracujące z gestapo [...]”.

Ostatnie dwa hasła przedstawiono skróto – ideologiczne komunały wzięły górę nad resztkami retoryki. W końcu „narodowy” znaczył dla komunistów tyle co „hitlerowski”.

Poświęćmy jeszcze kilka słów rozdziałowi drugiemu, w którym w porządku chronologicznym odnotowano „ważniejsze” wydarzenia i przemiany.

Tak jak podkreślono w tytule rozdziału, wszystkie daty podano w „przybliżeniu” – począwszy od końca 1939 roku („Powstanie rządu emigracyjnego”), aż do roku 1945 („Przekształcenie Armii Krajowej w organizację »Niek«”); wydarzenia grupowano i datowano w przedziałach rocznych lub półrocznych (np. styczeń – czerwiec, lipiec – grudzień). Rzecz jasna, autorzy nie wystrzegali się świadomych konfabulacji, o czym świadczy chociażby zapis o powstaniu PPR i GL w roku 1942. Z pewnością myślano tu o 5 stycznia. Z tym właśnie dniem peerelowska historiografia wiązała mit założycielski partii. W rzeczywistości załóżki PPR sformowano pół roku wcześniej w Moskwie, decyzja o powołaniu jej zbrojnego ramienia zapadła zaś dopiero w marcu 1942 roku. Kolejnym przykładem może być informacja o Powstaniu Warszawskim jako o preludium do późniejszej „kapitulacji” AK przed Niemcami! Błędnie datowano też „przyjęcie nazwy” Armii Krajowej przez ZWZ czy powstanie Związku Jaszczurczego. Podobnych omyłek było niestety więcej...

Obrzydzić bohaterów

„W październiku 1939 roku rozpoczęła się walka narodu polskiego o niepodległość. Jednocześnie w ciągu pięciu lat w kraju i za granicą trwały nieprzerwane przygotowania obozu reakcji, aby po rozbiciu Niemiec znów zabezpieczyć sobie władzę w Polsce – niedopuszczyć [sic!] do władzy partii robotniczych i ludowych i uniemożliwić przeprowadzenie reform gospodarczych i politycznych” – tymi słowami rozpoczynała się część zasadnicza broszury. Kolejne rozdziały (w sumie dwadzieścia) miały charakter chronologiczno-problemowy i ukazywały, jak funkcjonowało polskie podziemie na tle polityki PPR i Związku Sowieckiego. Dowiadujemy się np. o rzekomej współpracy Narodowych Sił Zbrojnych z gestapo (rozdział VII), powiązaniach Związku Walki Zbrojnej z niemieckim kontrwywiadem (VIII) czy też o prowadzonej jakoby przez AK „walce ograniczonej” i taktyce stania „z bronią u nogi”. Czytamy: „Z.W.Z. wobec rozwijającego się ruchu oporu i walk partyzanckich zajął stanowisko jak najbardziej

negatywne. [...] Komenda główna Z.W.Z. nie chciała przeszkadzać Niemcom bić się z Czerwoną Armią, obawiając się szerokiego, zbrojnego ruchu, obawiając się, że naród polski poczuje się sprzymierzeńcem Rosji. [...] Jedynym czynnikiem organizującym samoobronę społeczeństwa i czynny opór były P.P.R. i Gwardia Ludowa”. Siłami, które blokowały ów opór, a przy tym demobilizowały szeregi tzw. frontu ludowo-demokratycznego, były naturalnie – zdaniem autorów – jednostki NSZ. Nie dość, że przy pomocy specjalnych „trójek antykomunistycznych” lokalizowały komunistów i „mordowały ich z za węgła”, to często mordowały ludzi „na chybił trafił, nawet nie sprawdzając dokładnie, kto to jest” (!). Barwne opisy nie brały się znikąd, to komuniści specjalizowali się bowiem w skrytych działaniach, osłabiając tym samym krajową konspirację. Nadmienić tu można akcje denuncjacyjne (listy z nazwiskami członków podziemia przekazywano niemieckiej policji) i wynikające z nich dekonspiracje. A czego dowiadujemy się od autorów *Obozu reakcji polskiej*...? „Kontrwywiad A.K. i delegatury stał się organizacją pomocniczą dla gestapo, która przez swoje wysunięte w głąb podziemia macki wywiadowcze, posługując się prowokacją i bandyckimi metodami walki, starała się obezwładnić i fizycznie wyniszczyć P.P.R., Armię Ludową i zbliżone organizacje”. I dalej: „Wszystko to, a zwłaszcza długoletnia współpraca i powiązania z Niemcami, stało się zarówno pod względem ideologicznym, jak organizacyjnym i moralnym, doskonałym przygotowaniem do dzisiejszej roli aktywu reakcji – agentury amerykańskiego i angielskiego wywiadu”. Widać dobitnie, jak niewiele było trzeba, aby z bohaterów uczynić zdrajców, a ze zdrajców wyzwolicieli.

Ilu stało się ofiarami systemu terroru? Odpowiedź przynoszą nam m.in. prace ekshumacyjne na warszawskiej „Łączce”, rozpoczęte w 2012 roku. Tam, w zbiorowych mogiłach, spoczywają ci, którzy polegli w nierównej walce o wolność i prawdę historyczną. ❀

David Zagził – historyk, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego-Mazurskiego w Olsztynie, pracownik administracji publicznej

z członków Komendy Głównej do nawiązania kontaktu z gestapo. Łączność taka została nawiązana za pośrednictwem szefa radom-

Pożar wagi państwowej

Jakub Szumski

Dla stojących w korkach mieszkańców Warszawy nie będzie to może dużą pociechą, ale tegoroczny pożar mostu Łazienkowskiego nie był pierwszy. Gdy do zapalenia się przeprawy przez Wisłę doszło czterdzieści lat temu, kraj huczał od plotek. Milicja badała sprawę, ale ludzie nie wierzyli, że potężny most może tak po prostu zapłonąć.

Wiktor Mikusiński we wrześniu 1975 roku był oficerem Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej. Pracował w specjalnym zespole odpowiedzialnym za duże katastrofy. – Najgorsze wypadki zdarzały się zawsze po 16.00, gdy wszyscy zbierali już się do domów, w przypadku mostu było podobnie – opowiada. We wtorek 23 września od dyżurnego przyszedł meldunek o pożarze mostu Łazienkowskiego. – Nikt początkowo nie chciał wierzyć, że pali się żelbetowy most –

dodaje były milicjant. – Na monitorach stanowiska kierowania zobaczyliśmy wielki dym, który widać było z kamery umieszczonej na pl. Na Rozdrożu – wspomina. Mikusiński wraz z dwoma funkcjonariuszami udali się na miejsce.

Płonie most

Gdy zjawili się tam o 16.30, na miejscu pracowali już milicjanci z komendy dzielnicowej. Pożar objął most na prawie całej długości, paliła się asfaltowa nawierzchnia.

Akcja gaśnicza zaczęła się o 16.18 i trwała do północy. Gaszenie mostu było

wyjątkowo trudne – brakowało doświadczenia i specjalistycznego sprzętu. W akcji brało udział 27 zastępów strażackich, dwóch funkcjonariuszy odniosło obrażenia. W rejon mostu nie udało się sprowadzić barki gaśniczej, która utknęła na mieliźnie. Długo nie padało, stan rzeki był niski. Trzeba było korzystać z jednostek należących do ZHP i z nich polewać konstrukcję. Świadkowie twierdzili później, że gaszenie było prowadzone nieudolnie, a użycie większych sił zduśliłoby ogień w zarodku. Nawierzchnia została uszkodzona, w niektórych miejscach asfalt wyrzucił się na wysokość pół metra. Most trzeba było wyłączyć z ruchu.

Szybko udało się ustalić, że źródłem ognia była drewniana budka wartownicza znajdująca się na lewym brzegu Wisły pod jednym z przeseł. Od płonącej budki zapalił się drewniany pomost konserwacyjny biegnący pod nawierzchnią, a następnie znajdujące się w nim kable elektryczne i telekomunikacyjne w gumowych izolacjach. – Na pomost przy wszelkich pracach i remontach rozlewały się łatwopalne farby i smary, wybuch był właściwie kwestią czasu – twierdzi Mikusiński.

Pożar budki zauważył dozorca pilnujący budowy na Cyplu Czerniakowskim. Próbował zdławić ogień za pomocą przenośnej gaśnicy, lecz ta odmówiła posłuszeństwa. Po chwili było już za późno – siedmiometrowe płomienie lizały konstrukcję mostu. Zdarzenie zaobserwowali także milicjanci rutynowo patrolujący Wisłostradę. Gdy zauważyli wydobywający się spod mostu dym, na sygnale pojechali na miejsce. Widząc, że sami nie opanują pożaru, zadzwonili po straż. ▶

▶ Dwa dni przed pożarem mostu Łazienkowskiego w płomieniach stanął Centralny Dom Dziecka w warszawskich Alejach Jerozolimskich; na zdjęciu: akcja gaszenia budynku, 21 września 1975 roku



► Akcja gaszenia mostu Łazienkowskiego, 23 września 1975 roku

Gorący wrzesień

W ówczesnej Polsce każde nadzwyczajne wydarzenie było traktowane niemal jak naruszenie porządku politycznego. Co dopiero fakt tak nietypowy, jak zapalenie się jednego z nielicznych mostów w stolicy. Jakby tego było mało, we wrześniu 1975 roku w Warszawie doszło jeszcze do kilku spektakularnych pożarów.

W niedzielę 21 września, dwa dni przed spalaniem się mostu Łazienkowskiego, ogień wybuchł w Centralnym Domu Dziecka w Alejach Jerozolimskich – pod taką nazwą funkcjonował wówczas Dom Towarowy „Smyk”. Pożar pojawił się tam wieczorem, gdy budynek był od ponad doby zamknięty. Trzy kondygnacje reprezentacyjnego domu handlowego doszczętnie spłonęły, a nad miastem przez dłuższy czas unosiła się łuna. Władze podały, że

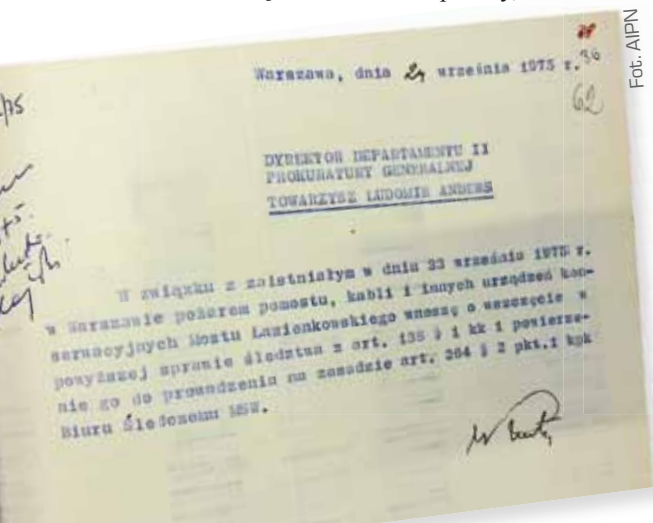
przyczyną pożaru było zwarcie elektryczne w mechanizmie schodów ruchomych, które spowodowało samozapalenie się dywanów wystawionych w pomieszczeniach handlowych. W następnych dniach miały miejsce jeszcze dwa duże, ale mniej znane opinii publicznej incydenty. W czwartek późnym wieczorem ogień pojawił się na terenie Wyścigów Konnych na Służewcu. Spłonęły stodoły i stajnie – podejrzewano celowe podpalenie. W kolejną niedzielę zaś pożar wybuchł w Zakładach Elektrycznych im. Róży Luksemburg na Woli. Tym razem miało to być wypadek wynikający z nieprzestrzegania zasad bezpieczeństwa.

W ciągu tygodnia, od 21 do 28 września 1975 roku, wybuchły więc w Warszawie cztery duże pożary. Na ich temat w lokalnej prasie ukazywały się tylko krótkie notki. W innych województwach gazety w ogóle nie informowały o warszawskich pożarach, zamieszczały za to doniesienia o katastrofach na Zachodzie. Społeczną wyobraźnię zdecydowanie najbardziej rozpałały wydarzenia związane z mostem Łazienkowskim. Z braku informacji i zaufania do ustaleń władz, interpretacje niezrozumiałych zdarzeń szybko przeszły w sferę pogłosek i plotek.

Siedem pożarów na VII Zjazd

Seria pożarów była łączona z zapowiadaną przez I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka podwyżką cen papierosów i przejazdów kolejowych i traktowana jako element walki wewnątrz partii i tajnych służb. Podpalenia miały zdestabilizować sytuację, osłabić pozycję Gierka i umożliwić jego konkurentom przejęcie władzy na – przewidzianym na grudzień – VII Zjeździe Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W pogłoskach pojawiali się nawet potencjalni podejrzani. Z jednej strony nieulubiany premier Piotr Jaroszewicz – uznawany za odpowiedzialnego za niedostatek towarów w sklepach i podejrzewany o bliskie kontakty z Moskwą. Z drugiej jako prawdopodobnego podpalacza wskazywano Franciszka Szlachcica, byłego ministra spraw wewnętrznych i sekretarza KC, odsuniętego od władzy w 1974 roku. Miał on w ten sposób, przy pomocy lojalnych ludzi z MSW, mścić się za odsunięcie go od kierowania resortem i liczyć na powrót do władzy na VII Zjeździe. Plotki o tym, że to gen. Szlachcic jest odpowiedzialny za pożary, miały dużą nośność – powtarzano je jeszcze w latach osiemdziesiątych.

Hipotezy bardziej radykalne głosiły, że pożary to – jak się wyraził jeden z tajnych współpracowników SB, opisujących ówczesne nastroje – „sabotaż zewnętrzny”, zmierzający do wywołania paniki w całym kraju. Powtarzano zasłyszane informacje ze śledztwa. W okolicach mostu Łazienkowskiego feralnego dnia miały się kręcić niezidentyfikowane osoby. Przekonywano, że zniszczenia są tak znaczne, że do ich spowodowania musiały zostać użyte materiały wybuchowe z magazynów wojskowych. Napięcie nie ograniczało się tylko do stolicy. „Niepokojące dane z frontu przeciwpożarowego” przy-



nosił trójmiejski „Dziennik Bałtycki”. Na Pomorzu ogień regularnie pojawiał się w PGR-ach i u rolników indywidualnych. „Alarm przeciwpożarowy trwa” – przypominał autor publikacji. Czy tam też działali tajemniczy podpalacze?

Objawem społecznej psychozy były hasła z ulotek kolportowanych w Warszawie. O ulotkach wiadomo niewiele, ale hasła z pewnością były przekazywane z ust do ust. W końcu września weszło do obiegu to najbardziej znane: „siedem pożarów na VII Zjazd”, mające zapowiadać kolejne katastrofy. Przypomnijmy: VII Zjazd PZPR miał się odbyć dopiero w grudniu 1975 roku. Niektóre ówczesne komentarze były raczej wynikiem frustracji spowodowanej stanem gospodarki. „Papierosy podrożały, mamy nie palić – to będzie się palić Warszawa” – można było usłyszeć. Stwierdzenie, że „partia pali się do zjazdu”, przywitanie „niech będzie podpalony” czy sugestię, że w barach nie będzie już podawany kotlet pożarski, można uznać za rodzaj dowcipu politycznego. – W milicji nikt tych rewelacji nie traktował poważnie – opowiada Wiktor Mikusiński – ale hasło „siedem pożarów na VII Zjazd” na stałe weszło do miejskiej legendy Warszawy.

Mimo wszystko Ministerstwo Spraw Wewnętrznych – teoretycznie poinformowane najlepiej – nie czuło się komfortowo. Od końca września zaczęło skrupulatnie zbierać od straży doniesienia o wszelkich pożarach w stolicy. Codziennie miały też miejsce fałszywe alarmy i telefony z pogróżkami o podpaleniach. Fałszywie alarmowano o pożarze Powszechnego Domu Towarowego „Praga”, Mostu Śląsko-Dąbrowskiego, Pałacu Kultury, hotelu „Forum”, stacji benzynowych. Mężczyzna dzwoniący z budki telefonicznej zapowiadał spalenie gmachów Komitetu Centralnego i sejmu. Inny telefonujący, który przedstawiał się jako „mjr Iwańczuk”, wielokrotnie ostrzegał przed groźnymi pożarami w Domach Towarowych „Centrum”.

„Góra” przejmuje śledztwo

Wyjaśnienie przyczyn pożaru mostu Łazienkowskiego było sprawą o dużym znaczeniu politycznym. Zakładano, że szybki

sukces śledztwa uspokoi nastroje społeczne, rozwieje pogłoski i spekulacje. Po kilku dniach dochodzenie przejęła centrala MSW. – Powiedziano nam, że mamy przekazać zebrane materiały – wspomina Wiktor Mikusiński. 26 września powołano specjalny zespół składający się z wysokich oficerów Służby Bezpieczeństwa i Biura Śledczego MSW.

Podstawowe okoliczności zdarzenia zostały ustalone właściwie już w pierwszych dniach. Wiadomo było, że most się zapalił od budki strażniczej. Pozostawało pytanie: kto spowodował jej pożar? Eksperyment na potrzeby śledztwa, przeprowadzony w milicyjnej strzelnicy na Sierkierkach, wykazał, że budka mogła się zająć ogniem w sposób przypadkowy – na przykład od niedopałka papierosa. Należało więc dokładnie ustalić, kto 23 września po południu przebywał w jej okolicach i kto mógł spowodować pojawienie się ognia.

Nie było to wcale proste. Na lewym brzegu Wisły obok przeprawy trwała budowa Wisłostrady oraz umacniano wały przeciwpowodziowe. Pracowało tam wielu robotników. Place budowy były nieogrodzone i każdego dnia poruszało się tam mnóstwo niepowołanych osób, przede wszystkim młodzież i dzieci. Dla uczniów z okolicznych szkół podstawo-

wych i średnich było to jedno z ulubionych miejsc zabaw i spędzania wolnego czasu. Bywali tam też harcerze oraz członkowie klubów żeglarskich. Prawie wszystkich trzeba było przesłuchać.

Robotnicy nie chcieli współpracować z milicją. Jak donosili ulokowani wśród nich informatorzy, wzajemnie naciskali na siebie, aby mówić jak najmniej. Do zachowania milczenia namawiał też kierownik budowy, obawiając się – słusznie, jak się potem okazało – że przy okazji wyjdą na jaw inne nieprawidłowości. Zeznania nie wniosły do sprawy niczego, przesłuchiwani odpowiadali wymijająco, ciągle zastaniali się niepamięcią. Pożary były traktowane przez robotników jako porażka władz, co było wręcz powodem do satysfakcji. Jeden z pracujących przy budowie Wisłostrady miał powiedzieć, że „jak będą tak dalej rządzić, to im całą Warszawę spalą”.

Wielkie trudności sprawiała „praca operacyjna” wśród uczniów okolicznych szkół. Przesłuchania rozpoczęto od młodzieńców, których można było posądzić o skłonności piromańskie. Badano też, czy ze szkół nie zniknęły materiały łatwopalne, takie jak sól czy fosfor. Efekt był mizerny. Wielu chłopców, chcąc zrobić wrażenie na kolegach, zwyczajnie konfabulowało. Często opowiadali zmy-



ślone historie: o rzuconych w stronę mostu butelkach z benzyną; o podpaleniu go ropą, a także o kolejnych osobach, które miały przebywać feralnego dnia w pobliżu budki.

Świadkowie przedstawiali sprzeczne wersje wydarzeń. Ktoś wspominał o drabinie opartej o filar mostu, którą widział w dniu pożaru. Ktoś inny mówił o człowieku kręcącym się wokół budki, a następnie uciekającym w stronę przystanków autobusowych. Milicjant, który pierwszy przybył na miejsce, w pewnym momencie zaczął twierdzić, że oprócz dozorczy w dniu pożaru widział jeszcze dwie inne osoby. Odtworzenie przebiegu wypadków stawało się coraz trudniejsze.

Zakładano podsłuchy i zlecano kontrolę korespondencji, zbierano masę danych. Śledztwo prowadzono też w kierunkach niezwiązanych z pożarem – badano nieprawidłowości finansowe na okolicznych budowach i przeszłość zatrudnionych tam robotników. – Służba Bezpieczeństwa próbowała z pożaru uczynić sprawę większą, niż była ona w rzeczywistości, a przy okazji zebrać jak najwięcej przydatnych dla siebie informacji – twierdzi Mikusiński.

Nieostrożna zabawa

Od końca października w wielu zeznaniach zaczęła się pojawiać informacja o ognisku palącym się po południu nieopodal budki. Idąc po nitce do kłębka, na postawie wielu pokrywających się świadectw, ustalono, że 23 września trzech uczniów szkoły podstawowej na Powiślu przebywało na Cyplu Czerniakowskim i rzeczywiście paliło tam ognisko.

Personalalia chłopców, którzy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa spowodowali pożar, udało się ustalić na początku listopada. Okazało się, że 23 września trzech uczniów z jednej klasy szkoły podstawowej przy ul. Czerniakowskiej wcześniej niż zwykle zostało zwolnionych do domów – brali udział w tzw. czynie społecznym na terenie warszawskich Filtrów. Około 14.00 udali się na Cypel Czerniakowski w pobliże przesyła mostu. Już wcześniej często tam przychodzili, poszukując różnych ciekawych znalezisk. Mówiło się, że można

tam natrafić na elementy wyposażenia wojskowego – pamiątki po szturmie na przyczółek czerniakowski z 1944 roku. Chłopcy postanowili rozpalić ognisko i wrzucać do niego kasztany. Zrobili to dwa metry od budki strażniczej, wyrzysując kawałki słomy wyrwane z leżących nieopodal mat. Ognisko podłali olejem silnikowym, którego butelkę znaleźli po drodze.

Zabawa znudziła im się po półgodzinie i przystąpili do zasypywania ognia. Przyznali, że zrobili to niedokładnie i gdy odchodzili, ogień jeszcze się tlił i wydobywał się dym. Zlekceważyli to jednak, uznając, że tak mały ogień nie może spowodować większego zagrożenia.

O pożarze mostu dowiedzieli się dopiero wieczorem. Jeden z nich pobiegł nawet na miejsce, by zobaczyć z bliska, co się dzieje. Gdy zrozumieli, że pomost konserwacyjny zajął się ogniem od drewnianej budki, zaczęli się niepokoić. Jeden z chłopców o tym, co robił 23 września, opowiedział pracującemu na nabrzeżu ojcu. Ten polecił mu, by w wypadku przesłuchania odpowiadał milicji, że był tego dnia pod mostem, ale pod żadnym pozorem nie wspominał o rozpalonym tam ognisku. Pozostali chłopcy – jak twierdzili – nikomu o incydencie nie mówili. Do wszystkiego przyznali się dopiero po konfrontacji z prokuratorem i śledczymi z MSW.

Przebieg wydarzeń odpowiadał wcześniejszym opiniom kryminalistycznym. Pożar rozpoczął się ok. 15.00, drewniana i obita papą budka zapaliła się od niedogaszonego ognia zaproszonego przez chłopców, co ostatecznie doprowadziło do katastrofy. Taki przebieg wydarzeń był zdecydowanie mniej spektakularny niż wewnątrzpartyjny spisek i celowe podpalenie mostu, ale wersję tę przyjęto jako ostateczną. W kwietniu 1976 roku sprawę zakończył wyrok sądowy – uznano winę chłopców, ale umorzono wobec nich postępowanie, oddając ich pod nadzór rodziców.

Nieszczęśliwy zbieg okoliczności

Sama – jak to określali milicjanci – nieostrożna zabawa chłopców nie wystar-

czyłaby, aby doszło do takiej tragedii. Na pożar mostu Łazienkowskiego złożyła się seria nieszczęśliwych przypadków i niedopatrzeń.

Przypomnijmy: na terenie budowy pod mostem kręciło się wielu ludzi, był on nieogrodzony i wejść mógł tam prawie każdy. Nie przestrzegano podstawowych zasad bezpieczeństwa: luzem były składowane materiały budowlane, w tym słomiane maty, które posłużyły chłopcom do rozpalenia ogniska. Niebezpieczeństwo pożarowe powodowały biegnące po pomoście i źle zabezpieczone kable elektryczne i telekomunikacyjne, co groziło zwarciami. Sam drewniany pomost nie był zabezpieczony przed pożarem – użyty do jego konserwacji impregnat w wysokiej temperaturze zadziałał wręcz jak materiał łatwopalny, roznosząc ogień po całej nawierzchni. Dyrekcja mostu nie dopuszczała władz miejskich do regularnych kontroli. Co najgorsze, jak ustaliły inspekcje prowadzone w 1975 i 1976 roku, podobnie wyglądał stan bezpieczeństwa innych strategicznych przepraw w kraju.

Wszystkie śledztwa w sprawie wrześniowych pożarów zakończono w połowie grudnia 1975 roku. MSW stwierdziło stanowczo, że „brak jest jakichkolwiek sygnałów, które wskazywałyby na istnienie związków między pożarami i uzasadniały hipotezę, iż były one wynikiem zorganizowanej akcji”. Za wzorowe wyjaśnienie sprawy grupa oficerów Służby Bezpieczeństwa otrzymała wysokie nagrody pieniężne.

Po pewnym czasie temat zniknął z raportów o nastrojach społecznych. Do kolejnych pożarów na szczęście już nie doszło. Sprzeczne zeznania, które wyłaniają się z lektury akt, sprawiają, że do dziś niektórzy podają w wątpliwość oficjalne ustalenia z 1975 roku. Wszystko wskazuje jednak na to, że wbrew rozmaitym spekulacjom przyczyny pożaru były zupełnie prozaiczne. Warszawy nie sparaliżował gen. Szlachcic. Dokonało tego trzech dwunastolatków – co także jest wielce niepokojące. ❁

Jakub Szumski – historyk, doktorant w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk



„The Day After” – wybory alternatywne

Andrzej Czyżewski

Mało kto dziś pamięta, że oryginalną formę kontestowania idei porozumienia okrągłostołowego zaproponowała wiosną 1989 roku Pomarańczowa Alternatywa. Pewnie jeszcze mniej osób wie o tym, że jednym z ważniejszych poligonów „pomarańczowej rewolucji” – obok Wrocławia i Warszawy – stała się w tamtym czasie Łódź.

Koncepcja budowania kompromisu z przedstawicielami władzy komunistycznej, przekuta następnie w formułę częściowo konkurencyjnych wyborów do parlamentu, nie zyskała na przełomie 1988 i 1989 roku całkowitej akceptacji w kręgach opozycji antysystemowej. To, co dla większości przedstawicieli obozu skupionego wokół Lecha Wałęsy było formą poszerzania granic wolności, a zarazem sposobem na wzmocnienie własnej pozycji, dla innych było niezrozumiałym oddawaniem pola przeciwnikowi, kapitulancją, a nawet zdradą. W tym

kontekście najczęściej wymienia się stanowisko Solidarności Walczącej i Konfederacji Polski Niepodległej, wspomina manifestacje uliczne organizowane pod szyldami Niezależnego Zrzeszenia Studentów, Federacji Młodzieży Walczącej czy Ruchu „Wolność i Pokój”. Pomarańczowa Alternatywa schodzi zazwyczaj na dalszy plan, o ile w ogóle jest o niej mowa.

Pomysł na formułę działania tego ostatniego ruchu zrodził się kilka lat wcześniej w głowie Waldemara Fydrycha „Majora”, wówczas jeszcze studenta Uniwersytetu Wrocławskiego. Znakiem

rozpoznawczym grupy szybko stały się aranżowane w przestrzeni miejskiej happeningi i malowane na murach krasnoludki – dlatego uczestników ruchu często nazywano krasnoludkami.

Desant w Łodzi

W Łodzi Pomarańczowa Alternatywa była dziełem środowiska skupionego wokół Krzysztofa Skiby, którego do połowy lat osiemdziesiątych nic nie łączyło z tym miastem. Pojawił się w nim z uwagi na możliwość studiowania kulturoznawstwa – kierunku, którego wówczas nie oferował uniwersytet w jego rodzinnym Gdań- ➤

sku. Skiba jeszcze w Trójmieście mocno zaangażował się w działalność kontrkulturową i podziemną, współtworzył m.in. środowisko Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego. Działalność starał się kontynuować również w Łodzi. Jak wspomina, nie było to zadanie łatwe: „O ile w Gdańsku, Warszawie czy Wrocławiu życie konspiracyjne i podziemne buzowało i kipiało energią, o tyle w Łodzi wszyscy wydawali się pogodzeni z faktem, że generał Jaruzelski rozbił Solidarność, a komuna panować będzie nam do końca świata. Dla mnie taki stan rzeczy był nie do przyjęcia! Ja chciałem robić rewolucję anarchistyczną!”. Dopomogło mu w tym niewątpliwie mieszkanie na osiedlu studenckim. To właśnie przede wszystkim lokatorzy łódzkiego „Lumumbowa” stanowili żelazne kadry przyszłych happeningów. Wśród ich twórców znaleźli się także liderzy odradzającego się – choć nadal podziemnego – Niezależnego Zrzeszenia Studentów na Uniwersytecie Łódzkim, m.in. Andrzej Jasionowski i Krzysztof Dudek, którzy w działaniach „krasnołudków” widzieli również szansę na rozruszanie dosyć biernego środowiska łódzkich żaków. Ważnym elementem pomarańczowego zbioru w Łodzi był także Tomasz Gaduła-Zawratyński, wywodzący się jeszcze z pierwszego NZS-u, osoba z licznymi i przydatnymi kontaktami w lokalnym podziemiu solidarnościowym.

Mało poważni

O tym, że na temat działań podejmowanych przez pomarańczowych pisze się mniej – a jeśli już, to raczej z delikatnym przymrużeniem oka – zadecydowało w głównej mierze to, że do tej pory postrzega się je prawie wyłącznie w kategoriach absurdalnego wygłupu. Na takie – dodajmy od razu: krzywdzące – zaszufładowanie Pomarańczowej Alternatywy wpływało kilka czynników. Po pierwsze: niska średnia wieku jej uczestników, co pozwalało bagatelizować przesłanie ich działalności, w myśl starej jak świat zasady, że młodzi ludzie pod każdą szerokością geograficzną i w każdej epoce są niedojrzali. Po drugie: do niepoważnego

traktowania „krasnołudków” zachęcało stosowanie przez nich happeningu jako podstawowego narzędzia ekspresji, czyli formuły z pozoru mało poważnej, momentami nieoczywistej, niepodającej na tacy gotowych recept, zmuszającej odbiorcę do samodzielnego myślenia. Po trzecie, decydowała o tym programowa bezkompromisowość ludzi, którzy współtworzyli kolejne akcje Pomarańczowej

Alternatywy, bez pardonu traktując zarówno władzę, jak i opozycję. Wszystkie te okoliczności niezmiennie sprawiają, że Pomarańczowa Alternatywa jest postrzegana raczej jako kolorowa ciekawostka niż poważny element złożonej rzeczywistości społecznej schyłkowego PRL.

Galopujący absurd

Z łódzkich inicjatyw – za którymi stali przede wszystkim studenci kierunków humanistycznych miejscowego uniwersytetu, wspierani przez grono licealistów – do szerszej świadomości, w tym także na karty niektórych opracowań historycznych, przebiła się jedynie akcja przeprowadzona w listopadzie 1988 roku. Trudno o lepszy komentarz do ówczesnej fatalnej sytuacji gospodarczej kraju, a zarazem do totalnej indolencji władz, kiedy pisze się o grupie młodych ludzi biegnących główną ulicą dużego miasta Polski z napisami „galopująca inflacja” i goniących ich milicjantach. Efekt śmieszności całego przedsięwzięcia, sprzyjający jego zapamiętaniu, dodatkowo wzmacniało to, że było ono obliczone na interakcję ze stróżami prawa. Pomarańczowi z góry zakładali, że prędzej czy później zostaną zatrzymani przez któryś z patroli MO, co pozwoli im triumfalnie wykrzyknąć, że „oto jednym sprawnym posunięciem władza ludowa rozwiązała problemy ekonomiczne kraju”.

Byłoby jednak dużym uproszczeniem i pewną niesprawiedliwością, gdybyśmy poprzestali na opisie tej akcji. Pomarańczowa Alternatywa w całym kraju, w tym również jej „łódzka diecezja” (bo taką autoironiczną nazwę łódzkie środowisko Alternatywy sobie nadało), zabierała głos jeszcze kilkakrotnie, a proponowana przez jej uczestników przesmiewczo-absurdalna formuła działania odnosiła się do jak najbardziej poważnych problemów i zjawisk.



„Vivat białe myszki i mleczarze”

Z pewnością jednym z ważniejszych problemów, choć niejedynym, był wspomniany na wstępie mocno krytyczny stosunek do idei kompromisu ze stroną partyjno-rządową, który dla jednych przyjęła, dla innych wywalczyła, część dorosłej opozycji. Już na początku obrad Okrągłego Stołu łódzkie „krasnoludki” zaplanowały akcję pod wymownym tytułem „Wszystko jest jasne”. Happening odbył się 15 lutego 1989 roku przy udziale kilkunastu performerów w przestrzeni obecnego pasażu Leona Schillera, przylegającego bezpośrednio do reprezentacyjnej arterii miasta, czyli ul. Piotrkowskiej. Wybór tej właśnie lokalizacji nie był przypadkowy – zapewniała ona bowiem potencjalnie dużą liczbę widzów, a przecież o to również chodziło organizatorom. Uczestnicy happeningu, ubrani od stóp do głów na biało, trzymali w górze białe transparenty bez napisów. Część z przybyłych, jak gdyby nigdy nic, krążyła spokojnie wśród zebranych gapiów, przyodziana w lekarskie kitle, by w pewnym momencie – z hasłem „Rzeczywistość jest chora” na ustach – rzucić się do bandażowania pobliskich drzew, kiosku „Ruchu” oraz przypadkowych przechodniów. W trakcie akcji organizatorzy zaczęli literalnie wybielać popularne podręczniki do historii, rzecz jasna za pomocą pędzli i białej farby, czemu towarzyszyło gromkie: „Więcej białych plam!”. Na koniec Skiba, wraz z kilkoma kompanami, wdrapał się na dach wcześniej obandażowanego kiosku i rozpoczął przemowę do coraz liczniej gromadzących się widzów: „Wszystko w naszym kraju powoli staje się jasne. Im więcej konferencji prasowych i wywiadów z przedstawicielami rządu i opozycji, tym jaśniej. »Stop – zgaś niepotrzebną żarówkę« to wrogie nam hasło. Żarówki muszą się palić, szczególnie podczas przesłuchań. Jest jasno, a będzie jeszcze jaśniej. Od płomiennych przemówień [premiera] Rakowskiego zajaśniało nam w głowach. Ilość Białych Plam w polskiej historii napawa optymizmem. Wzrasta też ilość białego niedźwiedzia na jednego mieszkańca PRL. Nawet piwo jest jasne i tylko generał jest ciemny. *Vivat bia-*

łe myszki i mleczarze”. Po wygłoszeniu *exposé* rzucił w tłum zgniłe jabłko i wykrzyczał: „oto zgniły owoc porozumienia narodowego”. Trwający kilkanaście minut happening powoli dobiegał końca.

Niecałe dwa tygodnie później młodzi ludzie skupieni wokół Skiby, którzy swoją inicjatywę ochrzcili mianem Galerii Działań Maniakalnych, zorganizowali kolejną akcję, jawnie nawiązującą do rozgrywających się wówczas procesów społeczno-politycznych. Sam tytuł przedsięwzięcia sprawiał, że nie mogło być mowy o żadnych niedomówieniach. 24 lutego „krasnoludki” próbowały bowiem wejść w przestrzeń miasta pod hasłem „Bicie piany przy okrągłym stole”. Pomarańczowi, tym razem ubrani w galowe ubrania, uzbrojeni w teczki i plakietki zarówno Solidarności, jak i PZPR, postanowili bardzo

dosłownie sparodiować obrady toczące się m.in. w stołecznym Pałacu Namiestnikowskim. Happening odbył się w okolicach „Siódemek”, niegdyś znanego klubu studenckiego, położonego w samym centrum Łodzi. Na pobliskim skwerze pomarańczowi rozmieścili na planie koła kilka niewielkich stolików, po czym postawili na nich przyniesione ze sobą misy i rozbili jajka. Rozpoczęto publiczny festiwal bicia piany, któremu akompaniowało wznoszenie haseł typu: „Nie ma wolności bez jajek”, „Program partii programem Solidarności”, czy „Jedno jajko w jednym zakładzie” (inspiracją były hasła opozycyjne: „Nie ma wolności bez Solidarności” i partyjne: „Program partii programem narodu”, „Jeden związek w jednym zakładzie”). Akcję zakończyło uroczyste mierzenie grubości ubitej piany, którą uczestnicy happeningu zaczęli wcierać sobie we włosy i ubrania. Następnie odśpiewali chóralnie piosenkę „Włazł kotek na płotek” i skandując obrazoburcze hasło „Idźcie w pokój, piana została ubita”, zakończyli przedstawienie, które zgromadziło w sumie około dwustu widzów.

Intensywne manewry

Kolejne akcje zainicjowane przez Galerię Działań Maniakalnych w Łodzi, czyli „Rajd szlakiem rzu-



conych legitymacji partyjnych”, „Klepanie biedy” oraz „Wyścig zbrojeń”, równie prześmiewcze i robione z coraz większym rozmachem, barwnie opisane w niedawno wydanych wspomnieniach Krzysztofa Skiby, nie dotyczyły bezpośrednio Okrągłego Stołu czy przygotowań do wyborów czerwcowych. W trakcie pierwszej z wymienionych – zorganizowanej notabene w „dzień wagarowicza” – na celownik wzięto przede wszystkim, przeżywającą coraz większe trudności, „przewodnią siłę społeczeństwa” (PZPR) i jej przywódców. „Klepanie biedy” było rzecz jasna zjadliwym komentarzem do fatalnej sytuacji gospodarczej kraju. Hasło wywoławcze imprezy ponownie zostało potraktowane bardzo dosłownie – pomarańczowi, przebrani za żebraków i wszelkiej maści obdartusów, raz po raz wymierzali ciosy kijami rozpostartej na ziemi płachcie ze słowem „bieda”, pisanim, co ważne, solidarycą. Z kolei „Wyścig zbrojeń” był twórczym połączeniem przynajmniej dwóch wymiarów. Chodziło zarówno o obśmianie sztandarowego wydarzenia z pogranicza sportu, polityki czy nawet kultury popularnej, jakim bez wątpienia był kolarski Wyścig Pokoju, przez wiele lat wykorzystywany propagandowo przez władze, jak i o manifestację pacyfistycznego przesłania „krasnołudków”. Tego dnia ulicę Piotrkowską wypełnił kolorowy tłum ludzi przebranych w wojskowe uniformy, strzelających z zabawkowych pistoletów, poruszających się przy tym za pomocą ręcznie zbudowanych pojazdów bojowych.

Każdy mówi to, co myśli

Nie oznaczało to jednak, że łódzkie „krasnołudki” całkowicie zrezygnowały z bezpośrednich odniesień do rozgrywających się na ich oczach, w ekspresowym tempie, przemian politycznych. Kilkanaście godzin po zamknięciu lokali wyborczych w pierwszej turze czerwcowego głosowania, ponownie w pasażu Schille-ra, Galeria Działań Maniakalnych zorganizowała jedno z największych przedsięwzięć w swojej historii. Przez happening „The Day After”, pomysły jako paro-

dia popularnych w tamtych czasach pikników prasowych, przewinęło się w sumie kilka tysięcy osób. Dużej frekwencji z pewnością sprzyjała wiadomość, znana już od godzin wieczornych poprzedniego dnia, że strona solidarnościowa odniosła w głosowaniu spektakularny sukces. W Łodzi oznaczał on wywalczenie mandatów parlamentarnych już w pierwszej turze przez sześciu spośród siedmiu kandydatów „drużyny Wałęsy”. Wszystkich tych, którzy potraktowali happening jako okazję do świętowania sukcesu wyborczego Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego, mógł spotkać jednak spory zawód. Przesłanie akcji zorganizowanej w Łodzi było dalekie od poczucia triumfu i nadziei, które – jak możemy się domyślać – przeważało wśród osób głosujących poprzedniego dnia. Oczywiście, performerzy po raz kolejny wyśmiewali przedstawicieli starego porządku, ale konsekwentnie, równie mocno, uderzali w założenia nowego, niezrozumiałego dla nich systemu, którego jednym z symboli byli świeżo wybrani parlamentarzyści ze znacznikiem Solidarności w klapie.

„The Day After” nawiązywał do idei *Hyde Parku*. W założeniu organizatorów każdy z uczestników happeningu, ale także zwykły przechodzień, który odczułby

taką potrzebę, mógł w pełni swobodnie, tzn. bez ograniczeń czasowych i tematycznych, przemawiać z przygotowanej specjalnie na tę okazję trybuny. Ta ostatnia, chyba nieprzypadkowo, kształtem łudzko przypominała konstrukcję drewnianego wychodka. *Pure nonsense* i balansowanie na granicy wulgarności



były znakiem rozpoznawczym pomarańczowych. Trudno nie dostrzec również w tak zaprojektowanej scenografii dużego ładunku autoironicznego. „Krasnoludki” obśmiewały wszystkich po równo, nie wyłączając samych siebie. Na happening nie dotarł z Wrocławia „Major”. Z wysokości sławki przemawiał za to Janusz Waluszko, jedna z najważniejszych postaci polskiego ruchu anarchistycznego. Jany – bo tak go powszechnie nazywano – mówił m.in. o tym, że każda władza, bez względu na swój rodowód i hasła, którymi się posługuje, jest z definicji niebezpieczna dla tych, którym przyszło żyć pod jej rządami. Zaprawieni już w podobnych bojach uczestnicy Galerii Działań Maniakalnych i tym razem zadbali o spektakularne zakończenie happeningu. 5 czerwca był nim pojedynek bokserski między umownymi reprezentantami PZPR i Solidarności, który nie mógł skończyć się inaczej niż obopólnym nokautem.

Pomarańczowa rewolucja wyhamowuje

Paradoksalnie akcja będąca dobitnym pokazem witalności „łódzkiej diecezji” Pomarańczowej Alternatywy okazała się ostatnim tak dużym przedsięwzięciem grupy na terenie miasta. Z dzisiejszej perspektywy nie powinno to zupełnie dziwić. Przełom 1988 i 1989 roku był czasem szczególnym. Happening i performance były w realiach późnego PRL czymś zupełnie nowym, zjawiskiem nie tylko przyciągającym naturalną koleją rzeczy „artystów, wariatów i anarchistów”, lecz także wzbudzającym autentyczną ciekawość zwykłych obywateli. W natłoku wydarzeń politycznych i przemian gospodarczych, które niebawem miały się stać głównym tematem rozmów „urynkowionych” Polaków, przyjazny klimat społeczny dla nieszablonowych, kontrkulturowych działań szybko miał przejść do lamusa.

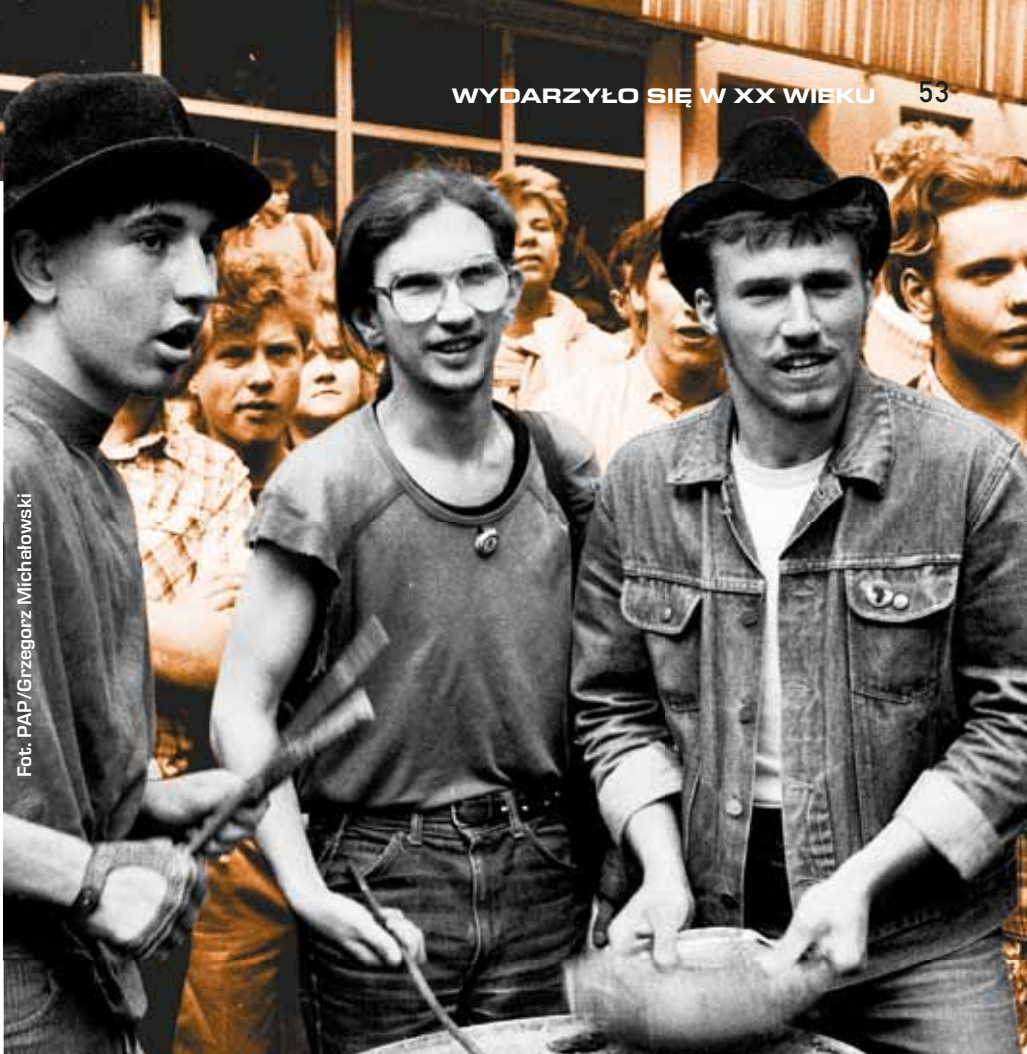
Nie należy przy tym zapominać, że Pomarańczowa Alternatywa nie była w sensie ścisłym ruchem politycznym, co więcej, nigdy nie miała cech sformalizowanej organizacji ani ambicji, by stać się takową. „Krasnoludki” same ustawiły się na pozycjach outsiderów, jak ognia unikały

zaszufladkowania, jednoznaczne przypisanie poglądów i sympatii. Pomarańczowa Alternatywa nie była jednak ruchem całkowicie apolitycznym, a podejmowane przez nią działania były rezultatem przemieszania porządków artystycznego i politycznego właśnie. Podobnie jak to się działo w innych częściach Polski, także w Łodzi dla niektórych uczestników pomarańczowych happeningów najważniejsze były swobodna ekspresja artystycznej w przestrzeni publicznej, wejście w interakcję z tłumem, wywołanie uśmiechu lub oburzenia. Innych przyciągało przede wszystkim obśmiewanie absurdów systemu politycznego, w którym dorastali, zwyczajne zagranie na nosie czerwone-mu. Dla wielu potencjalnych widzów, nie tylko zresztą ze starszych generacji, taka mieszanka stawała się z czasem zbyt wybuchowa lub zwyczajnie niezrozumiała.

Uczestnicy Pomarańczowej Alternatywy na własnej skórze dobitnie odczuwali, że PRL nie ma im niczego do zaoferowania. Pomni doświadczeń, zarówno własnych, jak i pokolenia rodziców, z niepokojem patrzyli na rozwój wypadków na przełomie 1988 i 1989 roku. W ich perspektywie idea porozumienia z ludźmi firmującymi dotychczasowy stan rzeczy była na tyle absurdalna, że wymagała z pozoru równie absurdalnej reakcji. Ten na wskroś alternatywny punkt widzenia, wsparty równie alternatywnymi sposobami jego wyrażania, do tej pory niestety nie zaistniał w poważnych dyskusjach na temat klimatu i kosztów polskiej transformacji. 🍅

Korzystałem m.in. z książek Krzysztofa Skiby, Pawła Konnaka i Jarosława Janiszewskiego *Artyści, wariaci, anarchiści* (2011) oraz Krzysztofa Skiby *Komisariat naszym domem. Pomarańczowa historia* (2014), archiwalnych numerów pisma „Przebiecie Paly”, a także nieautoryzowanych wywiadów z uczestnikami Galerii Działań Maniakalnych.

Andrzej Czyżewski – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Łodzi



CENTRA

Politycy zachodni nie przyjęli narodzić Solidarności jednoznacznie pozytywnie. O wiele częściej wybierali postawę ostrożnego wyczekiwania czy nawet obojętności, niż wyrażali nadzieję i manifestowali sympatię dla nowego ruchu związkowego. Między tymi skrajnościami pojawiła się cała gama stanowisk pośrednich, jeszcze bardziej złożonych. Łączyła je obawa przed eskalacją wewnętrznego konfliktu w PRL oraz destabilizacją geopolityczną, grożącą trudnymi do przewidzenia reakcjami Wielkiego Brata – ZSRR.

W 1975 roku władze PRL podpisały w Hel-sinkach akt końcowy KBWE, zobowiązując się do przestrzegania swobód obywatelskich. Państwom zachodnim dało to dogodną możliwość dopominania się o prawa polskiej opozycji. Z możliwości tej Zachód korzystał jednak bardzo ostrożnie. Ta powściągliwość władz często kontrastowała z nastrojami tamtejszych społeczeństw, które podeszły do polskiego ruchu wolnościowego lat 1980–1981 z wyraźną sympatią.

Tak się złożyło, że w czasie „karnawału Solidarności” we Francji i w Stanach Zjednoczonych – będących, oprócz RFN, Wielkiej Brytanii i Włoch, najważniejszymi zachodnimi partnerami PRL – doszło do bardzo ważnych zmian politycznych. Nad Sekwaną w maju 1981 roku władzę przejęli socjaliści z nowym prezydentem François Mitterrandem na czele. Nastąpił wyraźny zwrot w lewo. Z kolei w Białym Domu kilka miesięcy wcześniej Jimmy’ego Cartera zastąpił Ronald Reagan, rozpoczynając konserwatywną rewolucję i zaostrzając kurs względem ZSRR. Te doniosłe, choć tak różne wydarzenia polityczne istot-

Trochę strachu, trochę nadziei

Patryk Pleskot



► Prezydent Francji Valéry Giscard d'Estaing i kanclerz RFN Helmut Schmidt (na zdjęciu w trakcie spotkania w Paryżu w lutym 1980 roku) powściągliwie przyjęli porozumienia między władzami PRL i strajkującymi

nie wpłynęły na stosunek obu państw do wydarzeń w Polsce, który cechowały zmienność postaw i pewna niekonsekwencja w ocenianiu działań Solidarności i posunięć władz PRL.

USA: „życzliwa troska zmieszana z obawą”

Amerykańską ocenę wydarzeń w Polsce między sierpniem 1980 a grudniem 1981 roku w decydującym stopniu determinowały obawa przed radziecką interwencją (na wzór inwazji na Czechosłowację w 1968 roku), a także kulminacja prezydenckiej kampanii wyborczej. Dlatego głównym hasłem dyplomacji amerykańskiej, powtarzanym niczym mantra, było nieingerowanie w wewnętrzne sprawy polskie, które miały być rozwiązywane przez samych Polaków. Dogmat ten przyjęły w zasadzie wszystkie państwa demokratyczne na świecie, a najkonsekwentniej realizowali go członkowie NATO. Jednocześnie amerykańska strategia nie

była jednoznaczna – wahała się między dążeniem do „uspokojenia Polaków” i zapobieżenia destabilizacji a wolą wzmocnienia nastrojów antykomunistycznych w PRL jako elementu osłabiania bloku sowieckiego.

Strajki, które doprowadziły do powstania Solidarności, wybuchły w lipcu 1980 roku. Już 20 lipca amerykański wywiad sporządził dokument typu *alert memorandum* („raport o zagrożeniu”), w którym ostrzegał, że rosnący niepokój społeczny w Polsce może zostać powstrzymany siłą. W obliczu prób kompromisu, a także licząc się z kilkumilionową Polonią amerykańską, administracja Cartera pozytywnie, choć bardzo ogólnikowo, odniosła się do sierpniowej fali strajków. Problem wydarzeń na Wybrzeżu, mimo alarmistycznych doniesień CIA, uzyskał w dyplomacji amerykańskiej status *low profile*, zakładający reakcje umiarkowane. Zgodnie z przyjętą strategią Departament Stanu zapewnił 18 sierpnia ambasadę

PRL w Waszyngtonie, że uważa strajki za „sprawy wewnętrzne PRL i rządu polskiego”. Wbrew tej deklaracji 20 sierpnia około stu kongresmanów podpisało rezolucję republikanina Dona Rittera, wyrażającą poparcie dla utworzenia niezależnych związków zawodowych w Polsce i ich prawa do strajku. Z kolei 26 sierpnia, tuż przed porozumieniem komunistycznych władz ze strajkującymi, polonijny kongresman Clement J. Zablocki przedłożył w Izbie Reprezentantów projekt rezolucji, w której domagał się zwolnienia aresztowanych działaczy opozycji i niełamania postanowień aktu końcowego KBWE. Została ona jednogłośnie przyjęta na początku października.

27 sierpnia prezydent Carter wystosował list w sprawie Polski do brytyjskiej premier Margaret Thatcher, prezydenta Francji Valéry'ego Giscarda d'Estaing i kanclerza RFN Helmuta Schmidta. Stwierdził w nim, że wydarzenia w Polsce mogą zaważyć na przyszłości całego bloku wschodniego. Chociaż poparł dążenia strajkujących do reform, wyraził obawę przed reakcją Związku Radzieckiego. Sugerował, by zachodni sojusznicy wypracowali jednolity scenariusz na wypadek sowieckich ruchów wojskowych i przyjęli za podstawę swojego stosunku do Moskwy zasadę nieingerencji w wewnętrzne sprawy polskie, nie dając Kremlowi najmniejszego pretekstu do interwencji. Wkrótce CIA sporządziła raport, w którym sugerowała, że ZSRR nie zgodzi się na wolne związki zawodowe. Zdawano sobie sprawę z tego, że pełna kontrola nad PRL umożliwi Moskwie skuteczniejsze trzymanie w ryzach NRD, Czechosłowacji i Węgier, o republikach bałtyckich i Ukrainie nie wspominając. Podsumowując sierpniową postawę Waszyngtonu wobec strajków w Polsce, dziennikarz Thomas A. Sancton pisał 1 września 1980 roku o „życzliwej trosce zmieszanej z obawą”.

Francja: dyskrecja i wstrzemięźliwość

Nieco inny stosunek do wydarzeń w Polsce miała Francja. Odchodząca ekipa Valéry'ego Giscarda d'Estaing pragnęła zachować atmosferę *détente* i nie

prowokować konfliktu między blokiem wschodnim a zachodnim. Do rosnącej fali strajków z sierpnia 1980 roku władze francuskie podeszły – inaczej niż tamtejsze społeczeństwo – wyraźnie pesymistycznie. Prezydent Giscard d'Estaing zamierzał we wrześniu przyjechać do Warszawy i nie chciał psuć między państwowych stosunków.

Zawarcie porozumień w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu nie do końca przypadło ekipie Giscarda d'Estaing do gustu. Sam prezydent podobno żywił „autentyczną sympatię” wobec Gierka, którego dni były już policzone; przy Quai d'Orsay obawiano się też „destabilizacji” w rejonie Europy Środkowo-Wschodniej i reakcji ZSRR. Nawet lider socjalistycznej opozycji, François Mitterrand, przewidując przyznał 8 września 1980 roku w jednym z wywiadów radiowych: „Uważam za całkowicie niemożliwe współistnienie systemu marksistowsko-leninowskiego oraz swobód instytucjonalnych. W którymś momencie dojdzie więc do konfrontacji”. W oficjalnych deklaracjach Giscard d'Estaing wstrzymywał się przed tak radykalnymi ocenami. Podkreślał własną „dyskrecję i wstrzemięźliwość” wobec wydarzeń w Polsce i „wysoko oceniał” „metodę i wagę” osiągniętego rozwiązania konfliktu między władzami i strajkującymi. Mimo to nowe kierownictwo PZPR zaproponowało „przełożenie” (czytaj: odwołanie) wizyty francuskiego prezydenta.

RFN: „między podziwem a lękiem”

Postawa pozostałych najważniejszych państw Zachodu również nie była jednoznaczna i konsekwentna. Z pewnym uproszczeniem można stwierdzić, że stanowisko zachodnioniemieckie było bardziej pesymistyczne i ostrożniejsze niż francuskie, brytyjskie – bardziej przejrzyste niż amerykańskie w ocenie polityki polskiej, ale zarazem nacechowane większą rezerwą wobec Solidarności, włoskie i watykańskie zaś – również życzliwe.

W stosunkach polsko-niemieckich w okresie Solidarności borykano się z długofalowymi problemami, wynikającymi głównie z trudnej przeszłości ▶

▶ W Waszyngtonie silna była obawa przed reakcją ZSRR na wydarzenia w Polsce; na zdjęciu prezydent Jimmy Carter i jego doradca Zbigniew Brzezinski, 1978 rok



i jej dziedzictwa. Polskie MSZ w latach osiemdziesiątych, tak jak i w poprzednich dekadach, ostro protestowało przeciwko „rewizjonistycznym” zachodnio-niemieckim atlasom historycznym czy też działalności ziomkostw w RFN. Dużym problemem była sprawa mniejszości niemieckiej. Mimo to – czy z powodu tej delikatnej sytuacji – rządząca do października 1982 roku koalicja socjaldemokratów (SPD) i liberałów (FDP) pod wodzą kanclerza Helmuta Schmidta starała się utrzymywać poprawne stosunki z peerelowskim rządem i nie angażować się zbyt po stronie Solidarności. Ta ostatnia, jak zauważył jeden z publicystów, budziła wśród klasy politycznej wahanie „między podziwem a lękiem”.

Według dziennikarza Thomasa A. Sanctona, w sierpniu 1980 roku w otoczeniu kanclerza panowała opinia: „Ten świat jest okrutny. Cała nasza sympatia jest po stronie robotników, ale musimy być realistami”. Rząd w przeciągu tego miesiąca nie zajął oficjalnego stanowiska w sprawie wydarzeń w Polsce. Na skutek eskalacji wydarzeń na Wybrzeżu w ostatniej chwili nie doszło do planowanej na 19 sierpnia wizyty Edwarda Gierka w Bonn. Jednocześnie Schmidt odwołał wizytę w NRD, której przywódca Erich Honecker usztwytnił swoje stanowisko. W kolejnych tygodniach szef niemieckiego MSZ Hans-Dietrich Genscher unikał wypowiedzi na



Fot. PAP/Jan Młórek

▶ Papież Jan Paweł II (na zdjęciu m.in. z Lechem Wałęsą – 15 stycznia 1981 roku) sercem był po stronie polskich robotników, ale w oficjalnych deklaracjach zachowywał dużą ostrożność

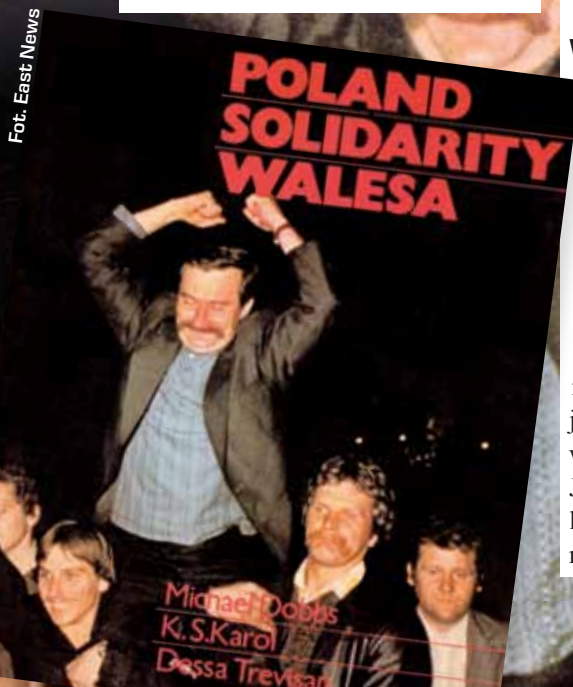
temat „zewnątrznego zagrożenia” Polski. Trzeba przy tym pamiętać, że w tym czasie trwała w Niemczech kampania wyborcza, zakończona w październiku 1980 roku kolejnym zwycięstwem Schmidta i koalicji SPD-FDP. Względy kampanii mogły powodować ostrożność wypowiedzi rządu, chcącego odróżnić się od opozycji. Początkowe sondaże pokazywały wzrost notowań chadecji, wyraźniej popierającej Solidarność, ale nie wystarczył on do przejścia władzy. Jednocześnie rozpoczęła się akcja wysyłania do Polski pomocy humanitarnej, która w pełni rozkwitła po 13 grudnia 1981 roku.

Watykan: siła modlitwy

Zdecydowanie większym zainteresowaniem polski ruch związkowy cieszył się we Włoszech – przede wszystkim z racji bliskości Watykanu i papieża Polaka. Jak donosiła ambasada PRL w Rzymie, sierpniowe strajki na Wybrzeżu znalazły się w „centrum zainteresowania włoskich ośrodków rządowych i partii politycznych”, a podpisanie porozumień przyjęto z „głębokim zadowoleniem”. Rząd włoski obiecywał pomoc gospodarczą. Jednocześnie stałe przepychanki polityczne i niestabilność włoskich ekip rządowych nie pozwalały na wypracowanie

konsekwentnej strategii względem Polski.

Z oczywistych powodów polityka włoska wobec PRL często krzyżowała się z działalnością Stolicy Apostolskiej. Chociaż, formalnie nie utrzymywała pełnych stosunków dyplomatycznych z Warszawą, traktowała Polskę jako jeden z priorytetowych kierunków w polityce zagranicznej. Cele Stolicy Apostolskiej nie były wszakże jednoznaczne: życzliwości dla ruchu opozycyjnego towarzyszyło pragnienie tonowania napięć i niedopuszczenia do eskalacji konfliktów. Z udziałem polskiego Kościoła próbowała grać rolę mediatora i moderatora, co powodowało jego pojednawcze gesty wobec władz PRL i hamowanie manifestacji pro-solidarnościowych. Jednocześnie papież Jan Paweł II był dla Solidarności jednym z najważniejszych punktów odniesienia, wręcz duchowym inspiratorem, a Kościół katolicki – symbolem walki o wolność. Ojciec Święty podzielał przy tym pogląd Reagana, że Polska jest najsłabszym ogniwem bloku wschodniego. Już 20 sierpnia 1980 roku napisał do prymasa, kard. Stefana Wyszyńskiego list ze słowami: „Modlitwą i sercem uczestniczę w tych doświadczeniach, przez jakie przechodzi – raz jeszcze – moja Ojczyzna i moi Rodacy”. List



Fot. East News

był czytany w kościołach w Polsce. Po osiągnięciu kompromisu między władzą a strajkującymi papież podkreślał wagę nieingerowania w sprawy polskie. Jego sympatia dla robotników była oczywista, jednak w oficjalnych deklaracjach pozostał bardzo ostrożny i ogólnikowy.

Brytyjska powściągliwość

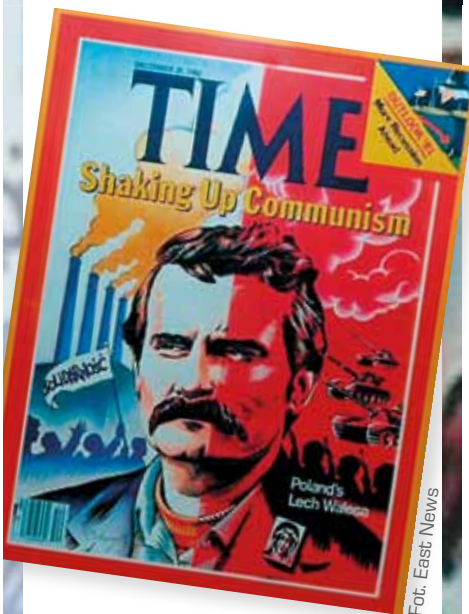
W brytyjskich reakcjach na narodziny Solidarności ścierały się ze sobą dwie tendencje: przychylne polskiej opozycji, antykomunistyczne nastawienie konserwatywnej ekipy Margaret Thatcher (rządzącej od 1979 roku) i kłopotliwa dla Solidarności brytyjska antyzwiązkowa polityka wewnętrzna. Jednocześnie Londyn starał się nie odchodzić od linii politycznej określonej przez amerykańskiego sojusznika. Strajki sierpniowe przyjęto z igraszką brytyjską powściągliwością. MSZ PRL sugerowało, że rząd Thatcher, zaniepokojony rozwojem sytuacji, naciskał na tonowanie wypowiedzi w prasie. Pani premier nie zgodziła się na zwołanie sesji parlamentarnej poświęconej sytuacji w Polsce, poleciła też politykom z Partii Konserwatywnej powstrzymanie się od wystąpień, „które nie sprzyjają stabilizacji”.

Podpisanie porozumień sierpniowych władze brytyjskie przyjęły zyczliwie. 11 września ogólnikowe poparcie dla Solidarności wyraziła opozycyjna Partia Pracy. Dzień później Margaret Thatcher wysłała do Jimmy'ego Cartera list, w którym określiła brytyjską postawę wobec wydarzeń w Polsce: popierając porozumienia sierpniowe, oceniała sytuację „jako niebezpieczną dla stabilizacji europejskiej” i obawiała się, że zbyt duża aktywność Zachodu mogłaby dać ZSRR pretekst do twierdzenia, że powstanie Solidarności zostało zainspirowane z zewnątrz.

Solidarność a reszta świata

Mniej ważne dla Polski kraje świata demokratycznego, uzależnione w pewien sposób od tych największych, kształtowały swoją politykę wobec Solidarności i PRL w ramach ogólnych założeń realizowanych przez NATO. W Hiszpanii, jak przekonywało polskie MSZ, wybuchał Solidarności spotkał się z sympatią, ale „informacje

z Polski miały na ogół dosyć zrównoważony charakter”. Obawiano się reakcji ZSRR, działań USA i powrotu zimnej wojny. Rządząca w sąsiedniej Portugalii od 1979 roku koalicja centrolewicy z centroprawicą nie traktowała fenomenu Solidarności pierwszoplanowo. Podobnie jak większość innych państw zachodnich, Portugalia deklaruwała bezwzględne przestrzeganie zasady nieingerencji w sprawy polskie. Nieco inną postawę względem Solidarności przyjęła Grecja. Tamtejsze władze, podobnie jak kanadyjskie, po prostu nie zajmowały oficjalnego stanowiska wobec wydarzeń nad Wisłą. Była to zasada nieingerencji doprowadzona *ad extremum*. Wyrażano jedynie



Fot. East News

zainteresowanie kontynuacją procesu odprężenia i rozwojem kontaktów z krajami bloku wschodniego z ZSRR na czele.

Podobnie kształtowały się postawy polityczne państw skandynawskich. Sześć norweskiego MSZ Knut Frydenlund nazywał podpisane porozumienia sierpniowe „ważną umową”, co mogło znaczyć wszystko i nic. Dania z kolei, chociaż wyrażała nieoficjalnie sympatię dla Solidarności, jednoznacznie przekonywała polską ambasadę w Kopenhadze, że nie będzie podejmować „żadnych nadzwyczajnych środków, które mogłyby komplikować sytuację międzynarodową lub stwarzać dodatkowe napięcia”. Jeszcze ostrożniej wypowiadał się rząd szwedzki. W ciągu całego „karnawału Solidarności” powsta-

rzano, że podstawowym pragnieniem Sztokholmu jest przywrócenie pełnego spokoju i stabilizacji sytuacji w Polsce. Na oficjalnym forum Riksdagu tematu Solidarności w ogóle nie podejmowano.

W Ameryce Południowej ruch Solidarności spotkał się z ogólną życzliwością, za którą nie stały jednak ważne posunięcia polityczne. Postawę zbliżoną do Skandynawii obrała Tajlandia. Przy nieoficjalnych przejawach sympatii wobec polskiej opozycji wyrażano zarazem zaniepokojenie „ekstremizmem” Solidarności. W razie rażącego ataku na Polskę gotowość potępienia Moskwy zadeklarowały m.in. Papua-Nowa Gwinea, Filipiny i Singapur. Bardziej miękkie stanowisko przyjęto w Dżakarcie i Rangunie; władze Birmy w rozmowach z przedstawicielami NATO dały do zrozumienia, że mogłyby podpisać oświadczenie ONZ potępiające atak, ale same nie zamierzały formułować odrębnych oświadczeń. Jedno jest pewne: niemal wszędzie postrzegano Solidarność przez pryzmat Kremla.

Podzielana przez właściwie wszystkie kraje zachodnie (i nie tylko) zasada nieingerencji wymuszała bardzo ostrożną dyplomację, unikającą jednoznacznych deklaracji, skupiającą się na kwestiach humanitarnych czy prestiżowych, a nie na politycznych gestach. Pomoc żywiołowa i niewielkie ustępstwa kredytowe były wszystkim, co Zachód chciał zrobić. Kosztem wsparcia Solidarności starano się powstrzymać ZSRR przed radykalnymi rozwiązaniami. Sympatii dla dążeń związkowców i fascynacji masowym ruchem społecznym towarzyszył strach przed powtórzeniem scenariusza węgierskiego z 1956 czy czechosłowackiego z 1968 roku. Nie bez znaczenia dla postrzegania Solidarności pozostawały także wewnętrzne gry polityczne w danym kraju. W realiach twardej polityki sprawę polską często traktowano instrumentalnie. Czy powinno to nas dziwić? 📖

dr hab. Patryk Pleskot – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie, autor kilkunastu książek, m.in. *Kłopotliwa panna „S”*. *Postawy polityczne Zachodu wobec „Solidarności” na tle stosunków z PRL (1980–1989)* (2013)



Hubal

Jerzy Eisler

Jednym z najpopularniejszych, a tym samym jednym z najczęściej prezentowanych w telewizji polskich filmów wojennych jest *Hubal* w reżyserii Bohdana Poręby. Wiele czynników złożyło się na sukces tego obrazu. Przede wszystkim sama iście sienkiewiczowska postać tytułowego bohatera i jego dramatyczne, a w końcu tragiczne losy.

Hubal”, czyli mjr Henryk Dobrzański (1897–1940), był wnukiem powstańca styczniowego. W czasie I wojny światowej służył w II Brygadzie Legionów Polskich, dowodzonej przez gen. Józefa Hallera. Za męstwo na polu walki został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari V klasy i czterokrotnie Krzyżem Walecznych. W Polsce niepodległej był zawodowym wojskowym i wybitnym jeźdźcem – w 1928 roku uczestniczył w igrzyskach olimpijskich w Amsterdamie.

Mężny „Hubal”, słaby „Łupaszka”

Na sukces filmu wpłynęła niewątpliwie potrzeba wykreowania pełnokrwistego bohatera, który mógłby być wzorcem ideowym dla młodych pokoleń. Była ona żywa na początku lat siedemdziesiątych, gdy obraz ten był realizowany, i jest – przy wszystkich koniecznych zastrzeżeniach i niewątpliwych różnicach – żywa obecnie. Po drugie – i to był chyba czynnik decydujący – o wielkim powodzeniu decydował artyzm tego nietuzinkowego filmu, na który składały się m.in. niezapomniana muzyka Wojciecha Kilara, znakomita kreacja Ryszarda Filipskiego, wyróżnionego za rolę „Hubala” kilkoma polskimi i zagranicznymi nagrodami, malownicze zdjęcia Tadeusza Wieżana, wreszcie sprawna reżyseria Bohdana Poręby, w którego dorobku jest to – nie tylko moim zdaniem – najlepszy film.

Scenariusz *Hubala* przygotował Jan Józef Szczepański, lecz w proteście przeciwko zmianom wprowadzonym przez reżysera wycofał swoje nazwisko z napisów tytułowych. Pierwotna wersja scenariusza pt. *Szalony major* została opublikowana na łamach wrześniowego numeru „Dialogu” z 1969



► „Hubal” (Ryszard Filipiński) z „Tereską” (Małgorzata Potocka)

roku. Nie wiem, co było przedmiotem kontrowersji, ale sądzę, że różnice w podejściu do historii. Poręba miał bowiem chyba bardziej zero-jedynkowe spojrzenie na przeszłość niż Szczepański: jeżeli ktoś był w niej tym dobrym, to musiał istnieć także ktoś, kto stanowił dla niego kontrpunkt, ktoś zły. Oczywiście, jest to pewne uproszczenie, ale jeżeli mam rację i Dobrzański był dla Poręby szlachetnym bohaterem bez skazy, to swoistą przeciwwagą dla niego jest w filmie jego bezpośredni przełożony, schorowany podpułkownik, dowódca pułku. Niewprowadzony głębiej w historię widz miał prawo sądzić, że ów zmęczony wojną, chory oficer po prostu nie ma siły i ochoty dalej walczyć, mógł posądzać go o defetyzm, a nawet tchórzostwo. W rzeczywistości sytuacja wyglądała inaczej.

Naturalnie, trudno mieć do reżysera pretensje o to, że w dziele, które miało premierę 3 września 1973 roku, słowem nie wspomniał o tym, że dowodzony przez ppłk. Jerzego Dąmbrowskiego „Łupaszka” 110. Rezerwowy Pułk Ułanów początkowo działał na przedpolu Wołkowyska, a następnie skierował się w stronę Wilna, dokąd jednak nie dotarł, gdyż dowódca zawrócił swój oddział w stronę Grodna. Po drodze w okolicznych wsiach i miasteczkach żołnierze tłumili komunistyczne, proradzieckie wystąpienia miejscowej ludności. Walczyli także z oddziałami Armii Czerwonej, przebijając się na zachód, do oblężonej Warszawy. O tym wszystkim w PRL nie można było mówić publicznie, ale nie było najmniejszej potrzeby, aby ppłk. Dąmbrowskiego w filmie prawie anonimizować i –

wbrew faktom – ukazywać jako człowieka słabego i niezdolnego do dalszej walki.

Widzowie mieli prawo odnieść wrażenie, że Dobrzański chciał walczyć dalej (i czynił to z częścią żołnierzy), Dąmbrowski zamierzał zaś zaprzestać walki i po cichu się wycofać. W rzeczywistości obaj kontynuowali walkę, z tym że rozdzielili się i prowadzili ją w różnych miejscach. Dobrzański ze swoimi żołnierzami walczył na Kielecczyźnie, a schorowany „Łupaszka” do listopada, kiedy to przedostał się do Wilna, działał w rejonie Puszczy Augustowskiej i na bagnach nadbiebrzańskich. Po zajęciu Litwy przez Armię Czerwoną został w 1940 roku aresztowany przez NKWD, poddany brutalnym torturom, skazany na karę śmierci i stracony w grudniu w Mińsku. Naprawdę nie było najmniejszego powodu, żeby z oficera odznaczonego Krzyżem Srebrnym Virtuti Militari i czterokrotnie Krzyżem Walecznych czynić bez mała kapitulanta. Z pewnością ppłk Dąmbrowski nie zasłużył sobie na takie potraktowanie.

Okrojone życiorysy

Myszę, że echo tego zero-jedynkowego spojrzenia na historię można także zauważyć w sposobie ukazania w filmie niektórych innych postaci historycznych. O ile gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz „Torwid”, stojący na czele Służby Zwycięstwu Polski i wyraźnie wykazujący zrozumienie dla partyzanckich działań „Hubala” i jego Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego, został ukazany z niewątpliwą sympatią, o tyle „Grabica”, czyli płk Stefan Rowecki, który w czerwcu 1940 roku ►



Fot. FilMOTEKA Narodowa

został komendantem głównym Związku Walki Zbrojnej, w ogóle nie pojawia się na ekranie. Co więcej, widzimy, że przesłany przez niego list, wzywający do rozformowania oddziału, ogromnie wzburzył „Hubala”, który nie zamierzał podporządkowywać się rozkazom przełożonego. Wszelako w sposób najbardziej złożony, ale przez to chyba zarazem prawdziwy, ukazano w filmie płk. Leopolda Okulickiego „Millera”, wysłannika Komendy Głównej ZWZ, a w przyszłości ostatniego dowódcę Armii Krajowej. Gdy w czasie jego pobytu w oddziale „Hubala”, zaatakowani przez Niemców partyzanci podjęli walkę, on sam natychmiast się do niej włączył, polecając mjr. Dobrzańskiemu, aby nim dysponował. Przed odjazdem od „Hubala” powiedział mu zaś otwarcie, że chyba nie wypełnił zleconej misji w sposób, który mógłby usatysfakcjonować tych, którzy go tutaj posłali. W rolę Okulickiego wcielił się Józef Nowak.

Co najmniej jeszcze jedna postać historyczna zasługuje tutaj na przypomnienie. Otóż rolę kpt. Macieja Kalenkiewicza zagrał – jak zwykle znakomicie – Tadeusz Janczar. W filmie widzimy tylko fragment jego barwnego życiorysu – dowiadujemy się, że odszedł z oddziału i wyruszył do Francji do powstającego tam polskiego wojska. Film nie pokazuje natomiast, że potem była Wielka Brytania, skąd w grudniu 1941 roku jako cichociemny w stopniu majora został przerzucony do okupowanego kraju. Wiosną 1944 roku był współtwórcą realizowanej połączonymi siłami Okręgów Wileńskiego i Nowogródzkiego AK operacji „Ostra Brama”. Podpułkownik Kalenkiewicz zginął w sierpniu 1944 roku pod Surkontami.

Pożar na planie

Ogromnym atutem *Hubala* jest obsada. Poza już wymienionymi artystami na ekranie możemy podziwiać m.in. Emila Karewicz, Andrzeja Kozaka, Zygmunta Małanowicza, Stanisława Niwińskiego, Tadeusza Schmidta, Franciszka Trzeciaka, Kazimierza Wichniarza i Małgorzatę Potocką w roli „Tereski”, za którą w 1976 roku została uhonorowana Nagrodą im. Zbyszka Cybulskiego.

W realizacji znakomitych scen batalistycznych wzięło udział w sumie pięćset osób i sto koni. Film był zresztą kręcony w oryginalnych plenerach i wnętrzach, w których przed laty rozgrywały się wydarzenia historyczne. Tak było na przykład ze zrealizowaną w tym samym barokowym kościele we wsi Poświętne, wzruszająca sekwencja nabożeństwa, na które marszowo przybyli żołnierze „Hubala” ze swoim dowódcą. Widzimy, jak w Boże Narodzenie 1939 roku ludzie kłękają wokół żołnierzy i w religijno-patriotycznym uniesieniu śpiewają *Boże, coś Polskę*, oczywiście w wersji „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”. Wśród statystów zgromadzonych na planie filmowym ponad trzydzieści lat później, znaleźli się też uczestnicy tamtej niezapomnianej mszy.

Na pewno jednak do sekwencji robiących na widzach największe wrażenie należy ta, w której wręcz naturalistycznie odtworzono pacyfikację wsi i wymordowanie ręcznymi granatami mężczyzn zagonionych przez Niemców do wykopanych zawczasu wielkich dołów-grobów. Była to okrutna kara dla chłopów za wspomaganie – działających na tamtym terenie – partyzantów „Hubala”. Naprawdę niewiele jest w polskich filmach scen równie przejmujących. Na marginesie można dodać jeszcze, że w trakcie realizacji tej sekwencji spalono przeznaczone do rozbiórki, istniejące w czasie okupacji, autentyczne chałupy wsi Swolszewice.

Cień „Grunwaldu”

Na koniec jeszcze refleksja natury ogólnej. Bohdan Poręba nie tylko był znanym reżyserem filmowym, lecz także próbował czynnie włączać się w życie polityczne. W latach osiemdziesiątych był jednym z założycieli i liderów Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald”, uważanego przez wiele osób za ugrupowanie nacjonalistyczne, o silnych tendencjach autorytarnych. Niejednokrotnie uznawano go niemal za faszystę, w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Wydaje się jednak, że była to przesada, a osobom tak kwalifikującym reżysera chodziło nie tyle o językową precyzję i wierność naukowym definicjom, ile właśnie o tę jednoznacznie negatywną konotację. O tym, że opinie tego typu przeżyły Bohdana Porębę, można się współcześnie przekonać na forach internetowych, na których część osób zabierających głos ma znacznie mniej do powiedzenia na temat filmu, będącego przedmiotem konkretnej dyskusji, niż politycznych wyborów jego autora. ❄

prof. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL oraz najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzysy* w PRL (2008), *Siedmiu „wspaniałych”. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)

„Złośnik” z RAF-u

Michał Mackiewicz

► Jan Zumbach, jeden z najsłynniejszych polskich pilotów (siedemnaście zwycięstw w powietrzu), w kabinie swojego Spitfire'a Mk V B

Chociaż Bitwa o Wielką Brytanię (10 lipca–31 października 1940 roku) miała wielu bohaterów, jej symbolem pozostaje niezmiennie samolot myśliwski Supermarine Spitfire Mk I. Mimo że pod względem liczby użytych wówczas maszyn ustępował nie mniej słynnemu Hurricane'owi (ten ostatni zanotował także większą liczbę zestrzeleń), jego doskonałe parametry bojowe okazały się jednym z czynników decydujących o klęsce niemieckiej Luftwaffe.

Samolot został zaprojektowany w latach trzydziestych przez Reginalda Josepha Mitchella, niezwykle nowatorskiego i ambitnego inżyniera z lotniczej wytwórni Supermarine, i w 1937 roku skierowany do produkcji seryjnej. Do jednostek zaś maszyny trafiły rok później – pierwsza otrzymała je 19. eskadra z Duxford. Chrzest bojowy nastąpił 16 października 1939 roku nad zatoką Firth of Forth

w Szkocji – celem ataku niemieckich bombowców była baza Royal Navy w Rosyth. Zestrzelone wówczas przez pilotów z eskadr 602. i 603. dwa jankersy Ju 88 były pierwszymi samolotami wroga strąconymi nad Wielką Brytanią.

Merlin czyni mistrza

Spitfire (ang. złośnik) był jednomiejscowym myśliwcem w układzie dolnopłata o całkowicie metalowej konstrukcji (po-

szycie kadłuba z duraluminium) i składanym podwoziu (bardzo wąsko rozstawione golenie były przyczyną wielu wypadków podczas startu i lądowania). Jednym z najważniejszych elementów decydujących o wysokich parametrach taktyczno-technicznych (a więc o wartości bojowej) spitfire'a była jednostka napędowa. Zakłady Rolls-Royce'a prace nad silnikiem lotniczym dużej mocy rozpoczęły na początku lat trzydziestych. W ich wyniku w 1937 roku pojawiła się w pełni dopracowana wersja pod nazwą Merlin II, której seryjna produkcja ruszyła rok później. To właśnie te silniki ►

► Pilot spitfire'a z Dywizjonu 303 tuż przed lotem





Fot. ze zbiorów autora

► Spitfire Mk I eksponowany w londyńskim Science Museum

Parametry samolotu Supermarine Spitfire Mk I

masa startowa	2623,62 kg
powierzchnia skrzydeł	22,2960 m kw.
moc silnika	1030 KM
prędkość maksymalna	571,3 km/h
prędkość wznoszenia	12,852 m/s
zasięg	925 km
uzbrojenie	8 x 7,7 mm

zamontowano w pierwszych seryjnych spitfire'ach. Chłodzony cieczą dwunastocylindrowy, gaźnikowy silnik tłokowy (układ V) Rolls-Royce'a miał moc 1030 KM. Pozwalał rozpędzić się maszynie do 557 km/h na wysokości 4724 m (spotyka się też inne wartości); na wysokości 4572 m samolot wzbijał się w ciągu 6 minut i 51 sekund (prędkość wznoszenia ok. 13 m/s). Zasięg lotu wynosił 1014 km przy prędkości przelotowej, jednak praktyczny, uwzględniając sytuacje bojowe, był mniejszy. Doskonały silnik w połączeniu z perfekcyjną aerodynamiką zapewniał spitfire'owi znakomite zdolności manewrowe, co objawiało się zwłaszcza przy tzw. kątowej prędkości przechyłu (uznawanej za najważniejszy wskaźnik zwrotności samolotu), wynoszącej 90 stopni na sekundę (ale tylko do prędkości ok. 400 km/h). Warto na koniec odnotować pewną zaletę niemieckiego rywala – otóż silnik Daimler Benz DB 601A, w który wyposażono Messerschmitta Bf 109E (głównego przeciwnika w 1940 roku), miał bezpośredni wtrysk paliwa, co wpływało na jego płynną i niezawodną pracę nawet przy dużych przeciążeniach – nie

da się tego samego powiedzieć o gaźnikowym merlinie (z czasem silnik zmodyfikowano, eliminując możliwość utraty dopływu paliwa przy większych przeciążeniach). Swojego konkurenta, wspomnianego „Emila”, spitfire przewyższał długością (9,118 m), rozpiętością (11,227 m) i wysokością (3,480 m) sylwetki, ale przede wszystkim powierzchnią charakterystycznych eliptycznych skrzydeł (22,2960 m kw. wobec 16,1646 m kw. w „stodzieciątce”), dzięki czemu mimo zdecydowanie większej masy startowej (2623,62 kg wobec 2505,23 kg) miał dużo mniejsze obciążenie powierzchni nośnej (117,67 kg/m kw. wobec 154,98 kg/m kw.), co wpływało

na lepsze zdolności manewrowe. Bardzo udanie rozwiązano także konstrukcję owiewki kabiny pilota – charakterystyczne wybrzuszenie znacznie poprawiało obserwację (dodatkowo na szczycie owiewki montowano na zewnątrz wsteczne lustro), a co za tym idzie, umożliwiało łatwiejsze dostrzeżenie zagrożenia nadciągającego z tylnej półsfery („Niemiec” był pod tym względem niemal zupełnie „ślepy”). Początkowo drewniane, dwułopatowe śmigło zostało zastąpione trójłopatowym, metalowym de Havillanda lub Rotola.

Kaemy kontra działka

Uzbrojenie Spitfire'a Mk I stanowiło osiem karabinów maszynowych umieszczonych w skrzydłach (po cztery w każdym). Odpalano je hydraulicznie. Były to browningi produkowane na licencji Colta w brytyjskiej firmie BSA Guns Ltd z Birmingham. Browninga przyjęto na uzbrojenie samolotów Royal Air Force (RAF) w połowie lat trzydziestych w wyniku testów, w których okazał się bezkonkurencyjny wobec rywali. Zasadniczą różnicą w stosunku do amerykańskiego pierwowzoru był kaliber – wersję brytyjską dostosowano do naboju 0,303 cala o łusce z wystającą kryzą (7 X 56 R); oryginalny Colt-Browning strzelał amunicją 0,30 cala z łuską bez kryzy. Co więcej, karabin przebudowano tak, aby strzelał z zamka otwartego, gdyż zamknięcie lufy między strzałami utrudniało chłodzenie i zwiększało niebezpieczeństwo samozapłonu nabo-



Fot. ze zbiorów autora

► Silnik Rolls-Royce Merlin III (Science Museum, Londyn)

ju wprowadzonego do rozgrzanej komory (miało to jednak i pewien minus – broni nie można było osadzić w części nosowej samolotu z uwagi na problem z synchronizacją śmigła – problemu tego nie miała wersja amerykańska, strzelająca z zamka zamkniętego). Powstało w sumie kilka nieznacznie różniących się wersji brytyjskiego browninga, najliczniej produkowaną była Mk II (1937 rok). Do 1939 roku zakłady BSA dostarczyły 27 tys. karabinów, a do końca wojny blisko 470 tys. Karabin działał na zasadzie krótkiego odzutu lufy, miał taśmowe zasilanie (taśma metalowa) i był chłodzony powietrzem. Ważył blisko 11 kg. Pocisk opuszczał lufę z prędkością 740 m/s, szybkostrzelność wynosiła 1150–1200 strz./min. W ciągu dwóch sekund pilot spitfire’a mógł wypuścić trzysta pocisków – uważano, że te dwie sekundy to górna granica czasu, w ciągu którego przeciętny pilot potrafił utrzymać przeciwnika na celowniku. Z kolei masa salwy sekundowej (masa pocisku pomnożona przez szybkostrzelność broni) ośmiu browningów wynosiła 1,52 kg; uzbrojony w dwa działka kal. 20 mm i dwa karabiny kal. 7,9 mm Messerschmitt Bf 109E przewyższał w tym parametrze spitfire’a – jego salwa sekundowa sięgała 2,46 kg.

Dyskusja o przewagach spitfire’a nad messerschmittem lub na odwrót ma w zasadzie charakter akademicki i trudno ją rozstrzygnąć. Owszem, w dobie Bitwy o Wielką Brytanię myśliwiec RAF okazał się lepszy, będąc bardziej predysponowanym do roli defensywnej (mniejsza prędkość, ale za to większa manewrowość w porównaniu do „stodziewiątki”). Jednak kluczem do sukcesu były wyszkolenie pilotów, ich doświadczenie i umiejętności oraz taktyka walki i dyscyplina pracy w zespole. Jak się wydaje, Niemcy popełnili także karygodne błędy w planowaniu operacyjnym, dość spektakularnie marnując swój potencjał bombowy.

Spitfire’y na złom

Chyba najlepszą laurkę wystawił spitfire’owi niemiecki as nad asami, słynny Adolf Galland – doskonały pilot, dowódca i uczestnik walk na brytyjskim niebie. Podczas odprawy wysokich oficerów lotnictwa z marszałkiem Rzeszy Hermannem Göringiem, dowódca Luftwaffe, zirytowany brakiem zdecydowanych postępów powietrznej ofensywy nad Anglią, zapytał, czego jego myśliwscy piloci potrzebują do odniesienia zwycięstwa. Galland odparł: „eskadry spitfire’ów”. Odpowiedź ponoć rozwścieczyła Göringa, a epizod został wykorzystany w słynnym i do dziś zapierającym dech w piersiach filmie *Bitwa o Anglię* z 1969 roku, reżyserowanym przez Guya Hamiltona.

Spitfire’y były bezustannie modernizowane pod kątem właściwości aero-

dynamicznych, osiągow i uzbrojenia (wprowadzono m.in. dwudziestomilimetrowe działka), zwłaszcza kiedy na niebie pojawił się doskonały niemiecki Focke Wulf Fw 190. W sumie powstało ponad dwadzieścia wariantów, w tym samoloty myśliwsko-bombowe, rozpoznawcze oraz pokładowe (Seafire). Bojowo wykorzystywano je jeszcze w latach pięćdziesiątych, m.in. podczas wojny w Korei. Wyprodukowano ponad 20 tys. maszyn.

Myśliwiec RAF jest także nierozdzielnie związany z polską historią. Co prawda w trakcie Bitwy o Wielką Brytanię gros naszych pilotów myśliwskich latało na hurricane’ach (tylko Polacy walczący w składzie brytyjskich eskadr pilotowali spitfire’y; szacuje się, że zestrzelili siedemnaście maszyn wroga), ale w 1941 roku „złośnik” stał się już standardem w dywizjonach myśliwskich Polskich Sił Powietrznych, a konto zestrzeleń powiększały na nim takie asy, jak: Stanisław Skalski, Witold Urbanowicz, Jan Zumbach czy Aleksander Gabszewicz.

Jedyny egzemplarz spitfire’a w naszym kraju znajduje się w kolekcji krakowskiego Muzeum Lotnictwa Polskiego. Jest to wersja LF Mk XVI E. Samolot ten trafił do nas w stosunkowo spokojnych latach siedemdziesiątych, dzięki czemu przetrwał aż do dzisiaj. Mniej szczęścia miały trzy maszyny (także w wersji LF Mk XVI E), które przyleciały do Polski w 1945 roku w związku z organizowaną w Warszawie wystawą o Royal Air Force. Wszystkie pochodziły z polskich Dywizjonów: 302, 308 i 317 i miały za sobą służbę bojową. Jeden z nich



► Jedna z późniejszych wersji spitfire’a eksponowana w holenderskim muzeum w Overloon

wylądował omyłkowo na poznańskiej Ławicy i po kilkudniowych perturbacjach z Sowietami, którzy zajmowali lotnisko, pilotowi nakazano powrót do brytyjskiej strefy okupacyjnej w Niemczech. Dwa pozostałe szczęśliwie wylądowały na Okęciu i aż do 1950 roku były prezentowane na ekspozycji plenerowej w Muzeum Wojska Polskiego (obie maszyny zostały nam bowiem ostatecznie подарowane). Niestety, apogeum stalinizmu i antykapitalistyczna fobia komunistów okazały się katastrofalne w skutkach. Władza „ludowa” nie ceniła sobie wówczas takich pamiątek, toteż zgodnie z decyzją Głównego Zarządu Politycznego WP oba samoloty pocięto na żyletki. 🗑️

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historycznowojskowej, współautor książki *Kirchalm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

Policyjne orły z wytwórni platerów

Tomasz Zawistowski



Fot. ze zbiorów autora

► Orzeł wz. 27 przeznaczony do noszenia w latach trzydziestych na hełmach stalowych przez szeregowych Policji Państwowej; egzemplarz bez wyciętego numeru osobistego (wyrób fabryki Bracia Henneberg)

„Melduję, że Dca Dyonu Konnego zwrócił się do tut. Kmdy o przydział 197 szt. hełmów stalowych. Jako uzasadnienie konieczności przydziału hełmów dla całego stanu Dyonu przytacza Dca Dyonu fakt, że w czasie zajęć w Miechowie, woj. kieleckim, uniknęli szereg[owi] Dyonu Konnego poważnych uszkodzeń cielesnych tylko dzięki posiadanym hełmom stalowym”.

Cytowany meldunek komendanta Policji Państwowej m.st. Warszawy do Komendy Głównej dotyczy stanu wyposażenia Dywizjonu Konnego PP podczas pacyfikowania manifestacji zorganizowanej przez Stronnictwo Ludowe w kwietniu 1937 roku. Szczególnie liczne w tym roku wypadki strajków i manifestacji, których tłumienie zlecano oddziałom policji, obnażyły krytyczne braki w wyposażeniu. W dalszym ciągu tego samego pisma czytamy: „Kmda m.st. W-wy jest w posiadaniu 624 szt. hełmów stalowych. Ilość ta w żadnym wypadku nie może zaspokoić potrzeb związanych ze stanem osobowym policji m.st. W-wy, czego przykładem jest dzień 1 maja, w którym do służby użyto 47 ofic., 1968 szer. sł. mundur. i 60 szer. kon. Z wyżej podanego stanu policjantów zaopatrzonych było w hełmy stalowe tylko 624, pozostali zaś pełnili służbę w czapkach [...]. Meldując o powyższym, proszę o przydzielenie dla potrzeb m.st. W-wy i Dyonu Kon. 2500 szt. hełmów stalowych”.

Hełmy stalowe w Policji Państwowej

Materiały archiwalne pokazują, że w latach dwudziestych hełmy stalowe były, co prawda, używane w policji, niemniej stopień nasycenia nimi był niezbyt duży. Na większą skalę takie hełmy wprowadzono dopiero na początku kolejnej dekady, co wiązało się z zaawansowaniem prac nad nowym typem hełmu przeznaczanego dla wojska. Rozwiązanie to, przyjęte ostatecznie jako wzór 1931, zaczęło wstępnie od 1932, a na skalę masową



► Przdownik Policji Państwowej Józef Woliński w hełmie typu niemieckiego; poniżej orła widoczna wstęga z numerem ewidencyjnym; przdownik Woliński był do 1939 roku komendantem posterunku PP w Łochowie; aresztowany przez NKWD, został zamordowany w Twerze i pochowany w Miednoje (zdjęcie wykonane między 1928 a 1939 rokiem)

od 1934 roku, wypierać używane dotąd w wojsku hełmy wzoru niemieckiego i austriackiego. Powstała w ten sposób nadwyżka mogła zostać przekazana policji.

Wojskowe hełmy wz. 16 i wz. 17, produkcji austriackiej i niemieckiej, w różnych odmianach, były w latach trzydziestych najpopularniejszymi hełmami stalowymi używanymi przez Policję Państwową. Biorąc pod uwagę, że różniły się jedynie elementami wyposażenia, a miały identyczną sylwetkę, łatwo można zrozumieć, dlaczego w dokumentacji policyjnej figurują jedynie „hełmy stalowe niemieckie”.

Jednostką odpowiedzialną za zaopatrzenie policji w hełmy stalowe była Główna Składnica Uzbrojenia nr 1, która dysponowała zapasem wystarczającym do pokrycia zapotrzebowania z nawiązką. Pierwsze otrzymały hełmy stalowe jednostki Rezerwy Policyjnej oraz Szkoła Szeregowych PP (na całe swoje stany osobowe). Wyposażenie pozostałych jednostek w hełmy postępowało bar-

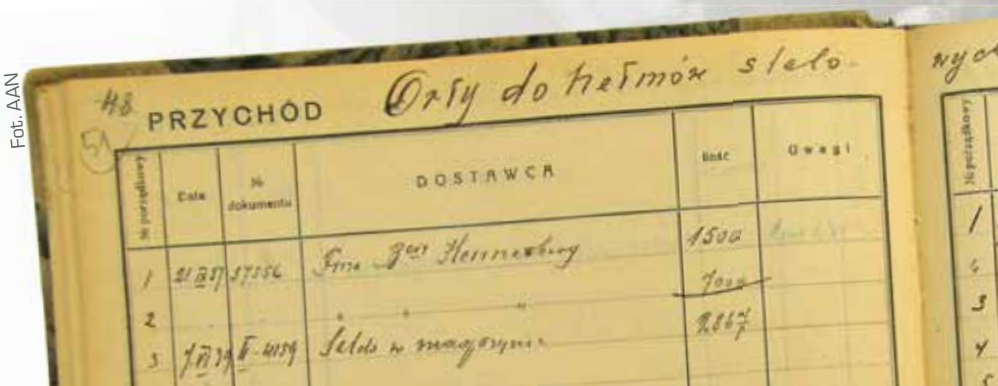
dzo powoli. Sprawozdanie z postępów szkolenia kandydatów kontraktowych w 1. Szwadronie Rezerwy Policyjnej we Lwowie, prowadzonego w listopadzie i grudniu 1938 roku, w opisie stanu umundurowania i uzbrojenia zawiera jednoznaczny uwagę: „Brak szwadronowi hełmów stalowych – najlepiej nadałyby się dla policji konnej hełmy typu francuskiego”.

Orły na policyjnych hełmach

Pierwszy przepis ubiorczy Policji Państwowej określił, że nakryciem głowy funkcjonariuszy ma być okrągła, granatowa czapka z daszkiem, na której otoku, poniżej orła państwowego, umieszczano numer osobisty policjanta. Ten sam przepis, przewidując w przyszłości wprowadzenie hełmów, określił od razu sposób ich oznakowania: „z orłem dużego formatu z numerem osobistym policjanta”.

Najwcześniejszym sposobem znakowania niemieckich hełmów stalowych w policji, stosowanym w latach dwudziestych,

► Karta z zeszytu ewidencji materiału uzbrojenia w aktach Wydziału II Gospodarczego KGPP, dokumentująca nazwę dostawcy orłów do hełmów stalowych



► Obchody 3. rocznicy działalności Grupy Rezerwy Policji Państwowej w Gołędzinowie w kwietniu 1939 roku; komendant główny Policji Państwowej Józef Kordian Zamorski dekoruje złotym krzyżem zasługi dowódcę Grupy Rezerwy Policji Państwowej Gołędzinów nadkomisarza PP i majora rez. WP Jana Zdanowicza

było nakładanie na nie orłów wojskowych z tarczami amazońskimi, poniżej których malowano numery osobiste funkcjonariuszy. Wprowadzenie w roku 1925 hełmów skórzanych (por. „Pamięć.pl” nr 4/2014) z orłami zaowocowało pojawieniem się godła państwowego o rozmiarach dopasowanych do wielkości hełmu, uzupełnionego – w przypadku niższych funkcjonariuszy – wstęgą przeznaczoną do umieszczenia na niej numeru osobistego. Było to naśladowaniem rozwiązania stosowanego w policji carskiej.

Około roku 1930, wraz z rozpoczęciem wprowadzania do powszechnego użycia w policji hełmów stalowych, zaistniała potrzeba ich oznakowania. Masowe użycie orłów wojskowych z tarczami amazońskimi nie wchodziło w rachubę, było bowiem – w świetle obowiązującej od 1920 roku ustawy – nielegalne poza wojskiem. Oznaką dobrze dostosowaną pod względem rozmiarów i widoczności na hełmie były

za to orły państwowe wz. 19, noszone na hełmach skórzanych wz. 25. Założenie ich na hełmy stalowe wydawało się najlepszym wyjściem z sytuacji.

Istniała jednak przeszkoda formalna uniemożliwiająca tak proste rozwiązanie sprawy – na mocy rozporządzenia Prezydenta RP z grudnia 1927 roku godłem Rzeczypospolitej był orzeł projektu prof. Zygmunta Kamińskiego. Zapadła zatem decyzja zastosowania sprawdzonego już wariantu, ale po dostosowaniu go do bieżącego stanu prawnego. Na hełmach stalowych oficerów Policji Państwowej zostały umieszczone orły wz. 27, na hełmach szeregowych zaś – takie same orły uzupełnione wstęgą, na której ażurowo wycinano numery osobiste. Najwcześniejsze znane zdjęcia dokumentujące używanie nowych orłów przez pojedynczych funkcjonariuszy pochodzą z 1930 roku, a podczas obchodów Święta Policji w listopadzie 1931 roku obiektyw fotografa Jana Binka uwiecznił oddziały zwarte defilujące w hełmach stalowych z orłami wz. 27.

Podjęcie decyzji o ozdobieniu hełmów stalowych dużymi, metalowymi orłami nie ułatwiało jeszcze sprawy, należało bowiem znaleźć wykonawcę nowych godła o gabarytach przekraczających możliwości produkcyjne większości firm gawerskich. Realizacji

► Uczestnik pochodu Ligi Morskiej i Kolonialnej ucharakteryzowany na czarnoskórego piechura wojsk kolonialnych; orzeł policyjny produkcji firmy Bracia Henneberg został wykorzystany jako element kostiumu (Toruń, rok 1939)

zamówienia podjęła się warszawska firma Bracia Henneberg, specjalizująca się w produkcji sreber stołowych, platerów i brązów, dla której rozmiary policyjnego orła nie stanowiły wyzwania.

Fabryka przy Wolskiej 17

Historia przedsiębiorstwa zaczęła się od założenia w 1857 roku manufaktury wytwarzającej platerę i brązy w Warszawie, przy ul. Ceglanej. Do swojej ostatecznej siedziby przy ul. Wolskiej firma przeniósła się w roku 1862; w rok później zatrudniła 61 robotników. Kilka sklepów fabrycznych znajdowało się w Warszawie, jeden w Moskwie, a przedstawicielstwa w Petersburgu, Tyflisie i Irkucku.

Okres *prosperity* trwał aż do wybuchu Wielkiej Wojny. Światowy konflikt bez mała zrujnował przedsiębiorstwo, na co złożyły się brak surowców, zniknięcie znacznej części dotychczasowych odbiorców oraz zniszczenie dużej części parku maszynowego. Bezpowrotnie utracono największy rynek zbytu, którym było carskie imperium.

Ratunkiem w trudnej sytuacji odbudowywania firmy i jej rynków zbytu były krajowe kontrakty rządowe i wojskowe. Konkurencyjne przedsiębiorstwo Norblin już w 1919 roku podjęło wysokonakładową produkcję łusek karabinowych z własnej blachy mosiężnej. Firma Bracia Henneberg również próbowała zaistnieć w tej branży, ale udało jej się to w znacznie mniejszym stopniu. Jedynie w roku 1931 sprzedała dostawę blachy mosiężnej do Zakładów Amunicyjnych „Pocisk”. Znamienna jest data realizacji tego kontraktu, znana dzięki cechom na łuskach karabinowych, przypada bowiem na lata wielkiego kryzysu. O ile jednak dosta-

wa materiału do produkcji łusek miała charakter jednorazowy, o tyle podpisana w tym samym krytycznym okresie, zapewne w roku 1930, umowa na dostawę orłów przeznaczonych na policyjne hełmy, była powtarzana aż do 1939 roku. Z zachowanych szczątkowych danych można próbować oszacować jej wielkość. W roku 1937 firma Bracia Henneberg dostarczyła 8,5 tys. orłów w cenie 1,40 zł za sztukę, z której to liczby w latach 1938 i 1939 wydano komendom wojewódzkim 5724 orły. Z pewnością nie była to pierwsza dostawa, biorąc zatem pod uwagę stan wyposażenia policji w hełmy, łączny nakład orłów trzeba szacować na przynajmniej kilkanaście tysięcy sztuk. Zachowane egzemplarze są wykonane z blachy alpakowej w odmianach posrebrzanej i nieposrebrzanej.

Orły z numerami i bez nich

Reforma umundurowania Policji Państwowej, której wprowadzanie rozpoczęto w 1936 roku, przewidywała usunięcie numerów ewidencyjnych z nakryć głowy i umieszczenie ich na oznakach noszonych na mundurze. Pierwotna forma oznaki, wprowadzona w rozporządzeniu ministra spraw wojskowych

z 15 czerwca 1936 roku, miała wejść do użycia od 1 sierpnia tegoż roku, została jednak odrzucona. Ostateczna, okrągła forma oznaki z numerem ewidencyjnym była wydawana funkcjonariuszom dopiero mniej więcej od połowy 1937 roku. Na mocy zarządzenia KGPP z czerwca 1937 roku zostało nakazane usunięcie wstęg z godła szeregowych PP, wskutek czego ich orły miały się upodobnić do orłów noszonych dotychczas przez oficerów. O trudnościach technicznych, jakich przysporzył ten proces, świadczą pisma z komend wojewódzkich, zawierające zamówienia na orły: „[...] wyjaśniam, że zapotrzebowana ilość orłów potrzebna jest na zamianę orłów, które w międzyczasie uległy zniszczeniu (połamane i pogięte). Zaznaczam, że orły przeważnie są b. cienkie, a większość z nich była tylko przylutowana do hełmów i przy zdejmowaniu dla usunięcia numeracji – została zniszczona” (KWPP w Warszawie do KGPP, 11 marca 1938 roku). „W związku z zarządzeniem Komendy Głównej z dnia 4 czerwca 1937 r. nr 20442 w sprawie usunięcia numerów ewidencyjnych z hełmów stalowych, proszę o przydzielenie 25 szt. orłów do hełmów stalowych, w miejsce zniszczonych w czasie usuwania numerów ewidencyjnych” (KWPP w Łodzi do KGPP, 19 stycznia 1939 roku).

Daty wysłania powyższych pism wyraźnie świadczą o znacznych opóźnieniach w wykonaniu zarządzenia o usuwaniu numerów. Zniszczenie tak dużej liczby orłów podczas obcinania wstęg można po części uznać za wynik wcześniejszego ich uszkodzenia. O ile godło z pękniętą łapą było utrzymywane w całości przez solidniejszą od łap wstęgę, o tyle po jej usunięciu po prostu rozpadało się na kawałki. Na zdjęciu wykonanym przez niemieckiego żołnierza w 1939 roku widać dookoła łap orła wyraźne ślady po obcięciu wstęgi. 🚫

Tomasz Zawistowski – autor czterech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*

Autor składa serdeczne podziękowania za pomoc i współpracę Jackowi Mazuro i Adamowi Hemplowi.



► Grób policjanta w Żółkwi; na roztrzaskanym hełmie utrzymały się szczątki orła (zdjęcie wykonane przez niemieckiego żołnierza w 1939 roku)

Jesień Narodów na planszy

Wojciech Sieroń

1989: Jesień Narodów znakomicie oddaje klimat schyłkowych zmagających reżimów komunistycznych z siłami opozycji walczącej o wolność i demokrację. To gra dla wyrafinowanych strategów, w której bardziej niż szczęście liczą się spryt i inteligencja.

Wydana w ubiegłym roku gra planszowa *1989: Jesień Narodów* jest kontynuacją jednego z największych planszówkowych hitów – gry *Zimna Wojna 1945–1989*. Obie wykorzystują podobną mechanikę, a więc znając jedną z nich, znacznie łatwiej przyswoimy sobie reguły drugiej.

Zimna Wojna... to gra numer jeden na liście największego na świecie serwisu poświęconego planszówkom – Board GameGeek. Jedną z przyczyn tej popularności jest tematyka – walka między USA a ZSRR o panowanie nad światem. Druga jest taka, że większość użytkowników tego serwisu to właśnie Amerykanie. Dla miłośników historii jest to zapewne miła wiadomość, że gra tak mocno osadzona w realiach historycznych cieszy się tak wielkim powodzeniem.

1989: Jesień Narodów nie powtórzyła tego spektakularnego sukcesu, ale i tak znajduje się w czołówce światowego rankingu blisko 80 tys. tytułów. Polską wersję obydwu gier wydał krakowski Bard we współpracy z TVP przy merytorycznym wsparciu IPN. Dzięki temu *Jesień Narodów* zawiera cenny komentarz historyczny do występujących w grze wydarzeń.

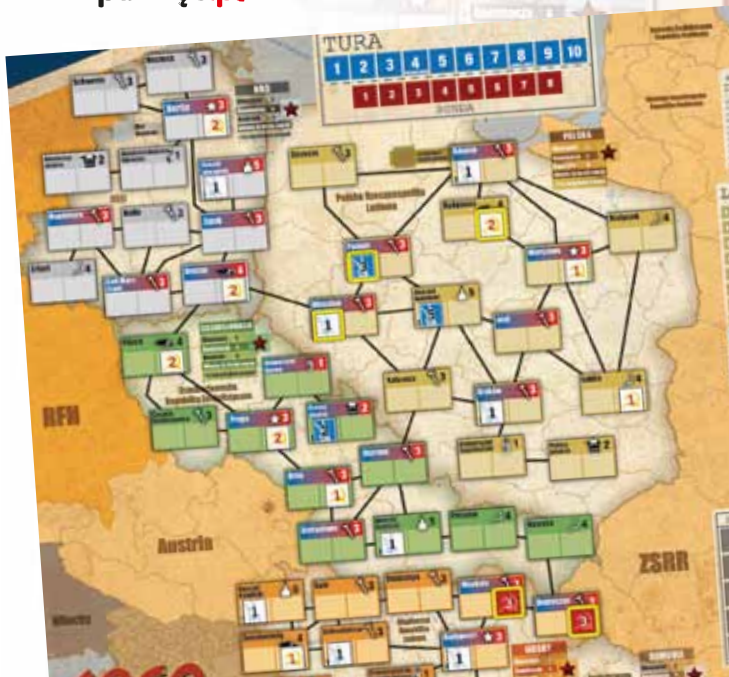
Fabula gry *1989: Jesień Narodów* jest osnuta wokół zmagających reżimów komunistycznych, za instalowanych w Europie Środ-

kowej na bagnietach Armii Czerwonej, z siłami opozycji walczącej o wolność i demokrację w swoich ojczyznach. Polem tych zmagających jest sześć krajów bloku wschodniego, ale wydarzenia odnoszą się także do samego ZSRR, w tym republik bałtyckich. Przez dziesięć rund gracze – jeden reprezentuje czerwone siły komunistyczne, drugi niebieskie wolnościowe – starają się zdobyć dwadzieścia punktów, co daje automatyczne zwycięstwo (dość rzadka sytuacja). W większości rozgrywek próbują wypracować na mapie korzystną dla siebie sytuację, aby osiągnąć przewagę w chwili punktowania sytuacji w wybranym kraju. Gra ma dość nietypowe reguły, ale świetnie przemyślane, dlatego już po pierwszej zapoznawczej partii można dać się porwać emocjom tego gorącego czasu i walczyć o rząd dusz w sześciu krajach Europy Środkowej.

Mechanika rozgrywki polega na zagrywaniu kart wydarzeń. Są to karty jednorazowe, które po zagraniu są odrzucane z gry, i karty zwykłe, pojawiające się ponownie w kolejnych rundach. Karty dzielą się też według tego, który z graczy osiąga korzyść. Mamy więc karty komunistów, opozycjonistów oraz neutralne. W czasie rozgrywki w nasze ręce mogą trafić karty każdego typu. Ale to od graczy zależy, kiedy, a przede wszystkim czy w ogóle jakieś wydarzenie pojawi się w grze.



HISTORIA NA PLANSZY



Najważniejsza jednak, z punktu widzenia osób fascynujących się najnowszą historią polityczną, jest atmosfera rozgrywki. A w moim odczuciu została ona oddana nadzwyczaj udanie. Początkowe rozmieszczenie poparcia (częściowo narzucone, częściowo określone przez graczy) pokazuje wyraźną przewagę komunistów w całym regionie, ale z mocno zarysowanymi miejscami rosnącego sprzeciwu społeczeństwa. Głównie w Polsce oraz na polach odpowiadających Kościołowi czy intelektualistom.

Z każdą zagraną kartą zmienia się równowaga sił. Bywa, że pola dotychczas niezaangażowane zostają pobudzone do działania przez komunistów. Zdarza się też, że opozycjoniści sprawdzają poparcie i wypierają, wydawałoby się wszechmocnych, przeciwników z ważnych pól. Rozmieszczanie poparcia i przejmowanie kontroli nad nowymi polami ma podstawowe znaczenie. Z jednej strony sąsiadujące pola wzajemnie się wspierają. Z drugiej zaś w każdej chwili może zostać zagrana karta punktacji (jest to obowiązkowe, nie można takiej karty przetrzymać). Punktowanie wywołuje minigrę kartami wpływów. To oddzielna talia pozwalająca określić, który z graczy wygrał zmagania o dany kraj. Przegrany może stracić część poparcia, a zwycięzca zdobyć punkty i przejąć władzę (jeśli wygrają opozycjoniści). Autorzy dodali tu ciekawy smaczek polityczny. Jeśli bowiem komuniści utrzymają się przy władzy, to mogą podjąć decyzję o... jej oddaniu w ręce opozycji. Tak jak to faktycznie się w tamtym czasie zdarzało. Kiedy zaś komuniści mają małą przewagę, oddając władzę, powodują usunięcie karty punktowania z gry! W ten sposób już nie ryzykują większych strat punktów w tym regionie. Jednak utrzymanie się u władzy jest również kuszące. Każde kolejne wygrane zmaganie o władzę daje komunistom więcej punktów! Znakomicie się to sprawdza w czasie rozgrywki, gdy trzeba podjąć decyzję tak brzemienną w skutki.

Gracze wiedzą z grubsza, kiedy dany kraj będzie punktowany. Dzięki temu gracz, któremu taka punktująca karta trafi do

ręki, może się przygotować do jej zagrania. Taka aktywność może – i powinna! – spotkać się z kontrakcją. W rezultacie zagranie karty punktacji może się przesunąć w czasie, wcale niekoniecznie dając graczowi optymalne wyniki.

To gra dla wyrafinowanych strategów, polityków obejmujących swymi planami cały wielonarodowy i skomplikowany region. Jest tu miejsce na blef, delikatne i subtelne przesunięcia wpływów. Ale także na ostrą, bezpardonową walkę o utrzymanie się u władzy i zgniecenie rodzącej się wolności (oczywiście dla gracza strony komunistycznej, w początkowym okresie gry). Im dłużej trwa gra, tym wydarzenia na kartach mocniej wspierają opozycjonistów. Wówczas stają oni przed szansą rugowania resztek poparcia komunistów i wygrania przed czasem.

Inną sprawą, bardzo przyjemną dla miłośnika historii, jest lektura opisów wydarzeń oraz analiza ich wpływu na sytuację (czasem w formie historii alternatywnej). Osoby pamiętające tamte czasy będą miały dodatkową radość z rozgrywki, przypominając sobie własne przeżycia. Młodszy, dorastający już w zupełnie nowych warunkach, będą mieli okazję dowiedzieć się o szerszym kontekście tych wydarzeń. W Polsce, co naturalne, pamiętamy głównie o sprawach dziejących się w naszym kraju albo bezpośrednio go dotyczących. Jednak Jesień Narodów to także wydarzenia mniej u nas znane, jak choćby bułgarska Ekogłasnost, działalność László Tókésa w Siedmiogrodzie i konflikty wokół mniejszości narodowych Seklerów czy bułgarskich Turków. Ponad setka kart zawiera, co prawda hasłowo, esencję kalendarium wydarzeń z całego świata, bo wydarzenia te wstrząsnęły całym globem. Może to być dobra zachęta do dokładniejszego poznania przyczyn wielu dzisiejszych zjawisk politycznych. Dodatkowo sprzyja temu opracowane przez IPN minikompendium wiedzy o tych zdarzeniach, zamieszczone w instrukcji do gry.

Z uwagi na stopień komplikacji trudno wykorzystać *1989: Jesień Narodów* na zajęciach edukacyjnych. Zwłaszcza że rozgrywka może trwać ponad dwie godziny. Dużo łatwiej skorzystać podczas lekcji z poszczególnych komponentów. Mapa zawiera sporo ciekawych informacji (choćby komunistyczne nazwy narzucone przez reżimy) o ważnych miejscach dla zmian ustrojowych. Karty, ciekawie ilustrowane z krótkimi opisami, mogą zostać użyte jako podpowiedzi podczas zajęć czy impuls do rozwinięcia mniej oczywistego zagadnienia.

Trzeba jednak nadmienić, że wydawca nie ustrzegł się błędów edytorskich. Trafiły się też literówki na kartach i planszy. Co najmniej w kilku miejscach tłumaczenie z angielskiego jest nieco mylące, co dla graczy, którzy mają mniej doświadczenia z nowoczesnymi grammi planszowymi, może być niepotrzebną przeszkodą w szybkim poznaniu mechanizmów rozgrywki. Pierwsza partia zapewne będzie przede wszystkim ćwiczebna. Jednak kolejne zmagania nad planszą – mapą Europy Środkowej – to po prostu uczta dla politycznych strategów. ♣

Wojciech Sieroń – nauczyciel, redaktor naczelny serwisu GamesFanatic.pl

Historia na wyciągnięcie ręki

Andrzej Czyżewski

Audiotrip oddany w ręce edukatorów to coś więcej niż narzędzie, które służy do wypełniania wolnego czasu. To znakomita szansa na zaznajomienie się z historią, którą codziennie mijamy najczęściej zupełnie bezwiednie. Warto z niej skorzystać.

Rok temu Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Łodzi przygotowało multimedialny przewodnik *Śladami łódzkiego getta*. Wyznaczona w nim ponad sześciokilometrowa trasa spacerowa prowadzi przez autentyczne przestrzenie, w których funkcjonowała żydowska dzielnica zamknięta. Chętni mają szansę dowiedzieć się, jakie znaczenie dla społeczności żydowskiej czasu okupacji miał Rynek Bałucki, gdzie zlokalizowano największy szpital, a także skąd odjeżdżały kolejne transporty do obozów śmierci. W sumie na trasie edukacyjnej wycieczki po Bałutach znajduje się dziewięć punktów, które razem stanowią miniprzewodnik po tragicznej historii getta i jego mieszkańców. Podobnie jak się to dzieje w przypadku większości tego typu materiałów, twórcy audiotripa po łódzkim getcie nie chcieli wyczerpywać tematu. Chodziło im o wzbudzenie zainteresowania konkretnymi miejscami ściśle związanymi z historią zagłady łódzkich Żydów, a następnie zachęcenie do dalszych poszukiwań każdego, kto ściągnie przewodnik na swój telefon.

Sukces pierwszej multimedialnej produkcji skłonił jej twórców do podjęcia jeszcze jednego wyzwania. Tym razem postanowili zmierzyć się z historią Łodzi, widzianą przez pryzmat walki o wolne słowo w tym mieście. Na nowo wytyczonej trasie pojawiły się nie tylko miejsca jednoznacznie kojarzące się z przełamywaniem peerelowskiego monopolu na informa-

cję. A zatem oprócz np. historii mieszkania Zdzisława Jaskuły i Sławy Lisieckiej, które w latach siedemdziesiątych minionego wieku stało się siedzibą drugoobiegowego salonu literackiego, słuchacze audiotripa mają także okazję poznać dzieje tajnej drukarni „Robotnika”, prowadzonej osobiście przez Józefa Piłsudskiego w czasie, kiedy Łódź była częścią Cesarstwa Rosyjskiego. To nie wszystko. Każdy, kto zdecyduje się zainstalować nową trasę do zwiedzania, ma szansę odświeżyć sobie nie tak dawną historię happeningów Pomarańczowej Alternatywy w Łodzi i na nowo odkryć postfabryczną przestrzeń wokół Pałacu Poznańskiego, gdzie w trakcie kamawału Solidarności działał dom kultury. Dowie się także, jakie pozycje z księgozbioru biblioteki miejskiej spalili Niemcy, a także czym były prohibity i kto w czasach PRL miał prawo do nich zaglądać. Na trasie wycieczki nie mogło oczywiście zabraknąć siedziby łódzkiej cenzury, której pracownicy dzień i noc czuwali nad tym, aby żadne nieprawomyślne treści nie wkrały się do książek, gazet, filmów, piosenek czy audycji radiowych.

Twórcy przewodnika przyjęli jedną ogólną zasadę: zainteresować, ale w żadnym wypadku nie zasypać informacjami. W każdym z szesnastu punktów trasy – wytyczonej w osi ul. Piotrkowskiej – na słuchacza czeka zatem zwięzłe opowiedziana historia danego miejsca. Jej wysłuchanie zajmuje każdorazowo maksymalnie cztery minuty. Podobnie jak pierwszy z opisanych przewodników, *Śladami wolnego słowa* można pobrać za darmo ze strony audiotrip.org/pl. Jedyne, czego wymaga się od słuchacza, to ok. 30 MB wolnej przestrzeni w pamięci telefonu oraz aplikacja AudioTrip, dostępna

na stronie Google Play lub Apple Store. Proces instalacji zajmuje dosłownie parę chwil. Potem można już spokojnie spacerować i poznawać historię Łodzi, opowiedzianą z innej niż zazwyczaj perspektywy. A zatem... do usłyszenia w Łodzi! 🍷

Andrzej Czyżewski – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Łodzi



Fot. Ze zbiorów ŻIH



Fot. Ze zbiorów MTN w Łodzi



Kronika pewnej agonii

W październiku 1989 roku Niemiecka Republika Demokratyczna hucznie obchodziła czterdzieste urodziny. Parada wojskowa, stutysięczny pochód młodzieży i festyny ludowe miały przekończyć społeczeństwo oraz prominentnych gości z zagranicy, że „państwo robotników i chłopów” ma się znakomicie. Za tą fasadą mocno już jednak wrzało. Zaledwie miesiąc później upadł mur berliński. Rok później NRD przestała istnieć.

Wydarzenia, które doprowadziły do zjednoczenia Niemiec, były bacznie obserwowane w stolicach Europy i świata. Także przez tajne służby, nie wyłączając Departamentu I MSW, czyli polskiego wywiadu cywilnego. Materiały „jedyńki” są dziś dostępne w zbiorach Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie. Te dotyczące Niemieckiej Republiki Demokratycznej nie cieszyły się jednak szczególnym zainteresowaniem badaczy. Publikację jednego z takich dokumentów w książce Sławomira Cenckiewicza *Śladami bezpieki i partii* (2009) można zaliczyć do wyjątków od reguły. Do niedawna brakowało bowiem pełniejszego spojrzenia na ten wycinek pracy Departamentu I. Lukę wypełniła dopiero publikacja Tytusa Jaskułowskiego *NRD w oczach szpiega. Pokojowa Rewolucja w Niemczech Wschodnich 1989–1990 w raportach polskiego wywiadu*.

Jaskułowski, pracownik naukowy Instytutu Badań nad Totalitaryzmem na Uniwersytecie Technicznym w Dreźnie, to już uznany badacz dziejów NRD i relacji polsko-niemieckich. Jego monografia *Przyjaźń, której nie było. Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego NRD wobec MSW 1974–1990* (recenzję publikowaliśmy w „Pamięci.pl” nr 1/2015) została nagrodzona w ubiegłorocznym konkursie „Książka Historyczna Roku”. *NRD w oczach szpiega* to – jak deklaruje autor – „dodatkowa ilustracja źródłowa” tamtej pracy. Także tym razem Jaskułowski stara się dowiedzieć, że na tle Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego NRD, czyli niesławnej Stasi, MSW PRL wcale „nie było tak słabe”, przynajmniej na odcinku niemieckim.

„Brak dostępu do polskich źródeł oraz relatywnie dobrze zachowane archiwa Stasi spowodowały, iż to jej działania wobec PRL, szczególnie te z lat 80. XX wieku, opisywano i analizowano” – zauważa autor. Tymczasem, jak podkreśla Jaskułowski, „polski wywiad prowadził w Niemczech Wschodnich działalność podobną do tej, którą realizowała warszawska ekspozytura Stasi. [...] Obok monitorowania sytuacji w tamtejszej partii komunistycznej, oceniał on siły i poglądy opozycji demokratycznej, problemy w relacjach Niemiec Wschodnich z ZSRR, stosunek do pierestrojki, sytuację gospodarczą, nastroje społeczne czy też, rysowane bez cienia politycznej poprawności, węzłowe problemy skrajnie złych relacji PRL–NRD”.

Zbiór *NRD w oczach szpiega* dobrze pokazuje wszystkie z wymienionych obszarów zainteresowania „jedyńki”. W książce znajdziemy pięćdziesiąt dokumentów, bez wyjątku publikowanych po raz pierwszy. Wprowadzenie ogranicza się do czterech stron.

Inaczej niż w przypadku *Przyjaźni, której nie było*, tym razem Jaskułowski pozwala przemówić dokumentom. Materiały źródłowe czyta się jednak szybko. Lekturę ułatwiają oszczędne, a przy tym rzeczowe przypisy, a także zamieszczone na końcu książki indeksy rzeczowy i osobowy oraz wykaz skrótów. W kolejnym wydaniu warto wyeliminować pojawiające się tu i ówdzie literówki.

Autor przyjął nieco szersze ramy chronologiczne, niż mógłby sugerować podtytuł zbioru. Poznajemy bowiem nie tylko przebieg pokojowej rewolucji w NRD, lecz także okres bezpośrednio ją poprzedzający. Najstarszy z dokumentów opublikowanych przez Jaskułowskiego pochodzi z 22 stycznia 1987 roku. W tym czasie symptomy kryzysu w NRD były widoczne tylko dla tych, którzy potrafili spojrzeć za parawan tamtejszej propagandy. Wydaje się, że wywiad PRL już wtedy był w stanie dość trafnie zdiagnozować problemy trawiące Niemiecką Republikę Demokratyczną. Nie przewidziano tempa zmian w NRD, ale zaskoczyło ono wszystkich, także po drugiej stronie Odry. Opozycjoniści eberdowscy nawet po upadku muru berlińskiego ludzili się, że zjednoczenie państw niemieckich będzie – jak się wyraził jeden z nich – „procesem bardzo długim”. W tym czasie w Warszawie poważnie zastanawiano się już, jakie będą konsekwencje jedności Niemiec dla Polski i układu sił w Europie.

Agonię NRD poznajemy u Jaskułowskiego m.in. przez pryzmat raportów przygotowywanych w centrali Departamentu I MSW. Trafiały one na biurka najważniejszych osób w państwie, w tym generałów Wojciecha Jaruzelskiego i Czesława Kiszczaka, a od jesieni 1989 roku także premiera Tadeusza Mazowieckiego. Obraz ten uzupełniają notatki oficerów wywiadu przeznaczone dla przełożonych i doniesienia kontaktów operacyjnych. Nie zabrakło szyfrogramów kierowanych do centrali MSW z ambasad w Berlinie, Budapeszcie, Kolonii i Pradze.

Departament I powoływał się na tak różnych rozmówców, jak dyplomata sowiecki, wysoki oficer Głównego Zarządu Wywiadu (HVA) NRD, urzędnik tamtejszego MSZ czy znany opozycjonista wschodnioniemiecki. Ich nazwiska zostały jednak w książce pominięte. Polskiego czytelnika może to dziwić, ustawa o IPN (w dzisiejszym brzmieniu) jest bowiem wyjątkowo liberalna, jeśli chodzi o ochronę danych osobowych. Przepisy i zwyczaje niemieckie są jednak dużo bardziej rygorystyczne. A książka Jaskułowskiego – choć opublikowana w języku polskim – ukazała się w Niemczech.

Cierpi na tym dystrybucja. W Polsce zbiór *NRD w oczach szpiega* jest dostępny tylko w sprzedaży internetowej (ok. 35 euro za egzemplarz!) i w nielicznych bibliotekach, np. w Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia” w Warszawie. Warto jednak zadać sobie trud sięgnięcia po to opracowanie. ■

Filip Gańczak



Tytus Jaskułowski,
NRD w oczach szpiega. Pokojowa Rewolucja w Niemczech Wschodnich 1989–1990 w raportach polskiego wywiadu. Wybór źródeł, Osteuropazentrum Berlin-Verlag, Berlin 2015, 153 s.

Krótki alians wrogów

Zawarty 23 sierpnia 1939 roku pakt Ribbentrop–Mołotow od pierwszych chwil wzbudzał wielkie emocje. Najpierw był sensacją dnia, ponieważ mało kto spodziewał się, że dojdzie do porozumienia dwóch totalitarnych państw, których ideologie były wobec siebie wrogie. Po wybuchu wojny okazało się, że pakt oznaczał *de facto* rozbiór Polski i podział Europy Środkowo-Wschodniej między III Rzeszę i Związek Sowiecki. Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej (22 czerwca 1941 roku) sprawił, że układ dwóch dyktatorów na pewien czas został odsunięty w cień. Alianci starali się nie wypominać Józefowi Stalinowi, że jeszcze nie tak dawno ich aktualny sojusznik był wspólnikiem Adolfa Hitlera.

Nieoczekiwanie wszystko wyszło na światło dzienne za sprawą Amerykanów, którzy po wojnie odnaleźli w Niemczech mikrofilm z tekstem nie tylko samego paktu, ale i tajnego protokołu dodatkowego, którego artykuł 2 dotyczył podziału ziem polskich między oba państwa totalitarne. Upublicznienie dokumentu spotkało się z ostrą reakcją samego Stalina, któremu przypisuje się autorstwo broszury *Falszerze historii*, będącej próbą usprawiedliwienia paktu z Hitlerem względami strategicznymi, a jednocześnie zaprzeczenia istnieniu tajnego protokołu dodatkowego. Po raz ostatni poważniejsze zainteresowanie towarzyszyło pakto- wi Ribbentrop–Mołotow na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku, gdy w Europie Środkowo-Wschodniej po raz pierwszy od 50 lat można było otwarcie mówić i pisać na jego temat. Ale nie ludźmy się, nie wszędzie wiedza na temat paktu i jego konsekwencji przedostała się do świadomości społecznej w takim samym stopniu.

Choć dziś porozumienie dyktatorów nie wzbudza już takich emocji, zainteresowanie nim historyków nie słabnie. Dowodem tego jest nowa książka Rogera Moorhouse'a *Pakt diabłów. Sojusz Hitlera i Stalina*. Praca powstała przede wszystkim na podstawie dostępnej dziś, bogatej literatury historycznej i wspomnieniowej oraz edycji dokumentów źródłowych dotyczących stosunków niemiecko-sowieckich od rozpoczęcia negocjacji w sprawie paktu w roku 1939 do niemieckiej inwazji na ZSRR. Książka jest próbą syntezy i ukazania stosunków między sygnatariuszami paktu i ich interpretacji, zarówno tych pisanych lub wypowiedzianych „na gorąco”, jak i z perspektywy czasu. Autor przyznaje, że napisał ją przede wszystkim z myślą o „ludziach Zachodu”, których „nie-wiedza na ten temat zaskakuje”. Na to, że publikacja ma charakter popularyzatorski, wskazuje już jej tytuł (podobnych metafor odnajdujemy więcej w tytułach rozdziałów,

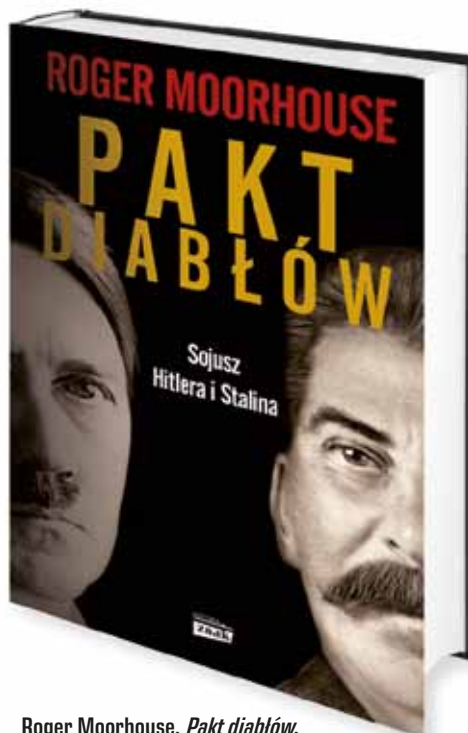
np. „Towarzysz »Kamienny Tylek« w legowisku faszystowskiej bestii” i „Poskramianie nazistowskiego tygrysa”). To wrażenie potwierdza się w trakcie lektury: książka jest napisana w przystępny sposób. Autorowi wyraźnie zależało na ożywieniu narracji. Od czasu do czasu Moorhouse skupia się na drugoplanowych wydarzeniach, szczególnie jeśli wiążą się z anegdotami bądź wątkami sensacyjnymi. Wiele z nich jest godnych uwagi, z pewnością zaskoczą znaczną część czytelników. Z pracy dowiadujemy się np. o kulisach negocjacji niemieckiego ministra spraw zagranicznych Joachima von Ribbentropa w Moskwie, niezrozumiałych czy wręcz absurdalnych reakcjach m.in. w Wielkiej Brytanii i społeczeństwa niemieckiego na zawarcie porozumienia oraz przebiegu wspólnej parady Wehrmachtu i Armii Czerwonej w Brześciu nad Bugiem.

Moorhouse pokazuje jednocześnie, że sojusz Berlina i Moskwy był niczym kolos na glinianych nogach: dążenia obu totalitarnych państw były sprzeczne i nie ulegały wątpliwości, że pakt był obliczony jedynie na doraźne współdziałanie. Żadna ze stron nie miała złudzeń, że „przyjaźń” niemiecko-sowiecka będzie trwać dłużej. Uwidoczniło się to już w czasie rozmów na temat dostaw sowieckich surowców dla III Rzeszy i aneksji Besarabii i Bukowiny przez ZSRR w 1940 roku, co oznaczało zagrożenie dla rumuńskich dostaw ropy naftowej dla III Rzeszy. O tym, jak bardzo obaj dyktatorzy sobie nie ufali, świadczy fakt, że Niemcy nie złągodziły represji wobec komunistów w III Rzeszy, a Moskwa na ogół nie brała pod uwagę protestów Berlina w sprawie traktowania ludności niemieckiej w ZSRR.

Narracja nie urywa się 22 czerwca 1941 roku. Moorhouse rekonstruuje sytuację w Moskwie w pierwszych tygodniach po niemieckiej agresji i stara się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Stalin dał się zaskoczyć Hitlerowi. Istotne dla polskiego czytelnika będzie wyeksponowanie w pracy wątków związanych z naszym krajem: od napaści Niemiec na Polskę przez wkroczenie Armii Czerwonej 17 września 1939 roku i zbrodnie obu okupantów aż po układ Sikorski–Majski z 30 lipca 1941 roku, wznawiający zerwane niemal dwa lata wcześniej stosunki polsko-sowieckie.

Interesującą i godną polecenia książkę kończy niezbyt optymistyczna refleksja autora, że na Kremlu przypomnienie o pakcie Ribbentrop–Mołotow uznaje się za przejaw „podważania autorytetu Rosji” i „pomniejszanie jej wkładu w zwycięstwo nad faszyzmem”. Ta nonsensowna interpretacja dowodzi, że nagłaśnianie wiedzy o pakcie i jego konsekwencjach jest potrzebne również dziś. ■

Marcin Przegiętka



Roger Moorhouse, *Pakt diabłów. Sojusz Hitlera i Stalina*, Znak Horyzont, Kraków 2015, 432 s.



■ Ryszard Buksa, *Zapiski internowanego*, red. A. Brożyniak, IPN, Rzeszów 2015, 184 s. + 16 s. wkł. ilustr.



■ Ryszard Kotarba, *Niemiecki obóz w Płaszowie 1942–1945. Przewodnik historyczny*, IPN, Kraków 2014, 88 s.



■ Paweł Rokicki, *Gliniszki i Dubinki. Zbrodnie wojenne na Wileńszczyźnie w połowie 1944 roku i ich konsekwencje we współczesnych relacjach polsko-litewskich*, IPN, ISP PAN, Warszawa 2015, 384 s.



■ Dominika Czarnecka, *„Pomniki wdzięczności” Armii Czerwonej w Polsce Ludowej i w III Rzeczypospolitej*, IPN, Warszawa 2015, 544 s. + 14 s. wkł. ilustr.



■ Ryszard Kotarba, *A Historical Guide to the German Camp in Płaszów 1942–1945*, IPN, Kraków 2014, 92 s.



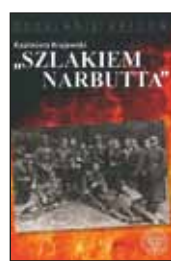
■ Karol Siemaszko, *„W trudnym okresie odbudowy państwa”. Tak zwany mały kodeks karny w świetle orzecznictwa Sądu Okręgowego w Krakowie w latach 1946–1950*, IPN, Warszawa 2015, 351 s.



■ Tomasz Dudziński, Michał Małachwaj, Krzysztof Sychowicz, *Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Grajewie (1945–1956)*, IPN, Białystok 2015, 320 s.



■ *Księgi więzienia na Zamku w Lublinie 1944–1954*, t. 5: *Księga główna więźniów śledczych 1 VIII 1947 – 22 I 1948*, red., oprac. A. T. Filipek, M. Krzysztofik, IPN, Lublin 2014, 208 s.



■ *„Szlakiem Narbutta”. Organ Polskich Sił Zbrojnych Ziemi Lidzkiej – Czasopismo Ziemi Lidzkiej 1943–1945*, wybór, oprac. K. Krajewski, IPN, Warszawa 2015, 216 s. + wkł. ilustr.



■ *Federacja Młodzieży Walczącej 1984–1990*, red. M. Wierzbicki, IPN, Warszawa 2015, 510 s.



■ Maria Małaśnicka-Miedzianogóra, *Róże dla Lone. Za wolność Polski i Danii (1939–1945)*, wprowadzenie W. Grabowski, IPN, Warszawa 2015, 368 s.



■ Robert Witalec, *Franciszek Wilk 1914–1990. Biografia ludowca niezłomnego*, IPN, Rzeszów – Warszawa 2015, 375 s. + 32 s. wkł. ilustr.



■ Ryszard Filipowicz, *Rodzina Baranowskich*, IPN, Wrocław 2015, 126 s.



■ Jarosław Pałka, Jerzy Poksiński, *Michał Żymierski 1890–1989*, IPN, Warszawa 2015, 384 s. + 16 s. wkł. ilustr.



■ *Wojenne dzieciństwo. Wspomnienia*, wstęp, oprac. E. Orzechowska, przedmowa ks. prof. Z. Zieliński, IPN, Lublin 2014, 217 s.



■ *Konfrontacje i negocjacje. Wokół konfliktów społeczno-politycznych w PRL z początku lat osiemdziesiątych XX w.*, red. M. Golon, K. Osiński, IPN, Bydgoszcz – Gdańsk 2015, 446 s.



■ Patryk Pleskot, *Miasto śmierci. Pytania o morderstwa polityczne popełnione w Warszawie (1956–1989)*, IPN, Warszawa 2015, 345 s.



■ Krzysztof Zajączkowski, *Westerplatte jako miejsce pamięci 1945–1989*, IPN, Warszawa 2015, 415 s.

Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki
PRZYSTANEK HISTORIA, ul. Marszałkowska 21/25,
00-628 Warszawa, tel. 22 576 30 05
i w księgarni IPN, ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa,
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79.

Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej.

Sprzedaż wysyłkowa publikacji

zamówienia można składać telefonicznie:
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79;
22 581 86 96; faks 22 581 89 40
pocztą zwykłą na adres IPN
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl;
joanna.pszczola@ipn.gov.pl; danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.pocztytaj.pl

Nowa gra
planszowa IPN



**W OBRONIE
LWOWA**



Rok 1920

to nie tylko Bitwa Warszawska

16 kontra **17** 

**Niezwykłe starcie polskiego lotnictwa
z bolszewicką kawalerią**



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Patron medialny:

pamięć.pl



pamiec.pl/gra7

Gra „7. W obronie
Lwowa” do nabycia
w punktach sprzedaży
IPN oraz w dobrych
skleпах z grami
planszowymi.

